



ZORZA

DZIENNIK

MŁODEMU WIEKOWI

POŚWIĘCONY.

Kto garską ziemię nosi góry się doczeka.

Czyni każdy w swoim kółku co każe duch hojny
A całość sama się złoży.

K. Brodziński.

•••••
TOM IV. •••••
•••••

WARSZAWA

W Drukarni pod firmą M. Chmielewskiego
przy ulicy Senatorskiej No. 463.

1843.

WYDAWCA
KSIĘGARNIA
MŁODKOWA WIEKOWA
TOWARNOŚĆ

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ.



P. I. 450





Wit Stawski Krakowianin
Smycerz wieku piętnastego
z prywatnego zbioru

WIT STOSS

SKRAKOWIANIN

SNYCERZ Z WIEKU PIĘTNASTEGO.

(z ryciną).



W rynku krakowskim, stoi kościół Panny Marji, budowla w stylu gotyckim. Szanowany przez sześć wieków ten wspaniały przybytek pański nosi na sobie ciężar rozmaitych wspomnień... Ileż pokoleń przemknęło koło niego? Ileż gmachów zniszczonych? Prysły domy obok niego stojące; wzniosły się gmachy zbytkiem tegoczesnym zdobne, iuż i one tracą młodość żywą, wszystko inną postać przybiera, on jeden nie przestaje tożsamością zachwycać i podziwienie wzbudzać!

Wspaniałość wewnętrzna tego przybytku chwaliły najwyższego, zgodnie odpowiada zewnętrznemu kształtowi, zgodnie też przez nich bieg lat na ziemi się oznacza — Piękne pomniki z mar-

murów i brązu, oraz wspaniałe ołtarze, do licznych należą ozdób, to poświadczają. Jakoż naczelnym i rzadkim pomnikiem starożytności sztuki, święty ustęp, gdzie lat tyle przechodzące pokolenia błagały Przedwiecznego, jest: wielki ołtarz zaczęty w roku 1477— skończony w roku 1489.

Dzieło to znakomitęj wielkości, dowodzące talentu w rzeźbiarstwie, winniśmy artyście krakowianinowi, nazwiska Wit Stoss. Rzeźbiarz ten którego wizerunek, przed oczyma mamy, urodził się w Krakowie roku 1447— Rodzice jego pochodzili z Niemiec— Wit Stoss mieszkał w Krakowie lat 53, a będąc snycerzem, malarzem i rytownikiem na miedzi pracował dla króla polskiego: Kazimierza Jagiellończyka. Doświadczywszy wiele łask tego monarchy, poświęcił dłóto swoje pamięci jego. Posiada kościół katedralny krakowski— pomnik z nakrapianego porfiru wyrobiony dla Kazimierza Jagiellończyka, na którym imię i nazwisko rzeźbiarza, oraz data śmierci króla tego są zamieszczone. *Fecit Stuos anno 1492*— Znakomite to dzieło przypominając nam króla mniej szczęśliwego, stawia nam w pamięci Mikołaja Kopernika, chwałę naszej ziemi, gdyż pod panowaniem króla tego, Kopernik nowe światu nadał prawa— Rok zaś śmierci Kazimie-

rza Jagiellończyka sławnym jest odkryciem Ameryki przez Krzysztofa Kolumba.

Lecz pominęliśmy jeszcze jeden piękny rzeźbiarstwa utwor, tegoż artysty Wita Stossa. Znajduje się w murze kamienicy na smentarzu kościoła Panny Marji — Chcemy mówić o płasko-rzeźbie w kamieniu *Chrystus w Ogrójcu* wszakże jest to tylko domniemywanie że to jest praca tegoż artysty, porównywając ją z wyrobieniem wielkiego ołtarza, wykończenie jest toż samo... lecz są to tylko domysły, do znawców sztuki należy je potwierdzić lub odrzucić.

W roku 1500 Wit Stoss opuścił Kraków i osiadł w Norymberdze, umarł w mieście tém kończąc lat sto wieku. W archiwach zaś miasta Krakowa znajduje się ten zapis: *Meister Vitus der Bilderschnitzer, hat das Altar zu Maria Virgo gemacht, und ist davor Frey - Bürger* bliższe szczegóły o budowie tego ołtarza obejmujmuje dzieło — *Kraków i jego okolice.*

J. W.

DOBRA HELENKA

POWIASTKA W ROZMOWACH.

PRZEZ

JOZEFINE O....

—•••—

OSOBY.

HELENKA, lat *dziesięć*

MATKA, Helenki.

XAWEREK, wujeczny brat Helenki *lat dziesięć*.

JAKUBEK, towarzysz zabaw Xawercia *lat jedynaście*.

EWUSIA, służąca Helenki.

MAGDALENA, siostra Ewusi.

Kilka osób starszych.

*Matka siedzi z książką w ręku przed stolikiem,
Helenka wbiega wesóło do pokoju.*

HELENKA. Mamuniu! mamuniu! co za wyborny plan (*postrzegając że matka czyta, zatrzymuje się nagle z uszanowaniem*) ah! przeszkodziłam mamie.

MATKA. Nie moje dziecię: o jakimże to tak pięknym planie donieść mi miałaś? zapewne jaki pomysł do zabawki; bo dziś rekreacja.

HELENKA. Zgadłaś mamó: oto chcę być dzisiaj cyganką. Wszak pozwolisz bym się przebrała.

MATKA (*z uśmiechem*). Aa... cóż robić; skoro ci się koczujące życie tyle podoba, zezwalam. Złóż węzełek z rzeczami, i wybieraj się: bo zapewne jako cyganka porzucisz dom, i pójdziesz w świat, na wędrowkę.

HELENKA (*śmiejąc się*). O! nie mamó; ja ni by z daleka tu właśnie przywędrowałam i tylko wróżyć będę. Dziś mają przyjechać wujostwo z Xawerciem, ja się ukryję; potem niespodzianie przyjdę, i wróżyć zacznę: a nikt mię nie pozna: bo wszakże mama kochana, ani babunia nie powiedzą nikomu że to ja. O! moja mamuniu, jak to będzie zabawnie, (*całuje matkę, potem skacze po pokoju*) jeden tylko Fidel mógłby mię być zdradzić, bo podobno pies umie i pod łachmanami poznać przyjaciela, ale biedny Fidelek! od czasu jak go te szkaradne, wielkie psy wujaszka zagryzły, już mię zdradzić nie może.

MATKA. Potrafisz zrobić sobie stosowne przebranie?

HELENKA. Pamiętasz mamuniu owych cyganów, co gościńcem wiodącym po za ogrodem naszym, szli na jarmark do Kalwarji. Otóż Ewusia widziała ich, i obiecuje ubrać mię zupełnie na wzór tej cyganki, co jój przepowiedzała długie życie, i pomyślność. (z nieśmiałością) Ale do tego wielu rzeczy trzeba.

MATKA. Naprzykład?

HELENKA. Oto wróżka miała spódnicę ciemną, dziwacznie naszywaną, czerwoną chustkę na głowie, i rodzaj płaszcza z kolorowych szmatek uszytego. Gdybyś kochana mamó dostarczyła nam materiałów do tego stroju potrzebnych? Ewusia podejmuje się tak to zrobić ze nikt nie pozna, iż nie jestem rzeczywiście cyganką.

MATKA (Podnosząc się z kanapy i otwierając szafę). Byłaś tak grzeczną, i pilną w tym tygodniu, że ci nie mogę odmówić. Musisz mi za to co przyjemnego wywróżyć.

HELENKA (z radością). O! najchętniej, najchętniej.

MATKA. Trzeba ci więc dać zapomogę do nowego stanu jaki sobie obierasz. Oto moja cyganeczko masz tu ciemną spódniczkę, którą tylko wchylić należy, bo za długa na ciebie: te okrawki czerwonej materji, zdadzą się na paski,

lub liście, któremi dół oszyć można— a i ten galon, choć szychowy, będzie jeszcze dla cyganki nader świetną ozdobą. Moja duża chustka zastąpi płaszcz obszerny. (*Helenka odbierając każdą część do przebrania swego potrzebną, skacze w górę, i klaszcze w ręce*) Czy masz już wszystko czego ci trzeba?

HELENKA. Wszystko, wszystko! Śliczne będzie przebranie: o! co za radość! jak się zdziwi Xawerek, Jakóbek i wszyscy! (*cieszy się; potem nagle zarzuca sobie chustkę na głowę, tak, że końce jej ziemi sięgają. Garbi się jak staruszka i idąc ku matce, mówi grubszym głosem*). A teraz pokaż mi jejmościulka dobrodziejka rękę; choć jeszcze nie rozpoczęłam kabał moich, pod tym płaszczem zaczynam już być jasnowidzącą, i przepowiadać mogę różne rzeczy. (*bierze dłoń matki, niesie ją do oczu swoich jakby ze zbytnej starości widzieć nie mogła i trzęsąc głową mówi*): Jejmość dobrodziejka masz córkę, dla której bardzo iesteś dobra: otóż ta córka niezmiernie jejmościulkę kocha, będzie zawsze posłuszna, łagodna, pilna do nauk, i roboty. Słowem we wszystkim tak postępować będzie, jak sobie jejmość dobrodziejka życzysz. (*zrzuca chustkę wesoło, i matkę ściska serdecznie*).

MATKA. Przepowiednia nader miła! Ręczę ci

że żadna cygańska sława nie wyrówna twojej, jeżeli te wróżby zawsze prawdziwemi będą. (*Helenka wybiega*).

MATKA (*sama*). Dobrze dziecię! w niej moje szczęście, moje nadzieje. Boże! srogie też byłyby wyroki twoje, gdybyś mi przez nią chciał umartwienia zsyłać, gdybym w jej sercu postrzeżać musiała złość, krnąbrność, lub tym podobne, szkaradne wady. Ale nie! nie mam się czego lękać; Helenka będzie dla mnie zawsze aniołem pociechy, nie zaś biczem karzącym zesłanym z nieba za grzechy, od jakich nikt wolnym nie jest. (*wychodzi*).

(*Helenka wchodzi z Ewusią*).

HELENKA. Otóż tu, będziemy robiły nasze przebranie: wyborne będzie nieprawdaż? tak już cieszę się wczesnie tą zabawą, że nie odstąpiłabym jej dziś za żadną inną. Jakaś ty dobra Ewusiu że mi plan ten podadaś.

EWUSIA. Mnie dla panienki wszystko robić miło. Czy dobrze tak będzie? (*przyklada pasek z czerwonej materji do spódnicy*).

HELENKA. Bardzom ciekawa...

MATKA (*z drugiego pokoju*). Helenko!

(*Helenka rzuca trzymane w rękę rzeczy, i bieży*).

EWUSIA. Chwilkę tylko panienko: proszę zobaczyć jak ładnie wygląda.

HELENKA. Nie mogę; mama mię woła: jój rozkaz pierwszy, reszta potém. (*wybiega*).

(*Do drzwi od przedpokoju, ktoś puka nieśmiało*).

EWUSIA. Kto tam? (*idzie ku drzwiom, które otwierają się z wolna*).

EWUSIA. Ah! Magdulka! siostra— z kądżeś tu?

MAGDALENA. Cicho, cicho: państwo w innych pokojach usłyszeć, i gniewaćby się mogli.

EWUSIA. O! nie— pani, ani panienka nie połają mię za to, że się siostrze cieszę. Ale jak się miewacie siostruniu? coś zmizernieliście.

MAGDALENA. Ot zwyczajnie; służba nie rozkosz. Człowiek zawsze na zawołaniu, jeszcze przy najlepszych chęciach dogodzić trudno,

EWUSIA. Wszak zostajesz przy małej panie Felicji B**

MAGDALENA. Tak, na nieszczęście. Do roku już tylko chwala Bogu dwa tygodnie, ale go się i tak doczekać nie mogę.

EWUSIA. Biedna Magdusiu! więc ci tak źle u niej!— Patrz ja utylam, wyrosłam, i jakoś wesoło mi się powodzi.

MAGDALENA. Dzięki niebu. Ale cóż to ty robisz? jakieś pstre szmaciny kleisz.

EWUSIA. To z własnej ochoty jedynie: robię przebranie dla mojej kochanej panienki— a

ona tak się cieszy, tak mi zawczasu ładnie dziękuje, że własnej krwi z pod serca chętniebym dołała, by jój dogodzić.

MAGDALENA. Ah! ja nieszczęśliwa, to cię już pewnie od téj roboty iść ze mną nie puści.

EWUSIA. Więc po mnie przyszłaś?

MAGDALENA. Właśnie. Słuchaj: do pani S** gdzie przeszłego roku służyłaś, przybyła jakaś bogata pani z daleka, bo aż z poznańskiego. W drodze umarła jój służąca; potrzebuje więc innéj. Jabym do niéj przystać rada, dobra ma być pani: a już co u panny Felicji, to nie stanę na drugi rok, choćby mię złotem obsypać chciano. Bieda tylko że nie jestem znajoma w L** otóż gdybyśmy razem poszły, ty, jako dawna sługa skłoniłabyś się do kolan pani S** powiedziałabyś za mną dobre słowo, jak oto: pani dobrodziejko rzeczywiście jest moja siostra do usług pańskich— potulna, wierna, i chętna dziewczyna. Takim sposobem możebym została zarekumenderowaną owej pani z poznańskiego.

EWUSIA. To ja poproszę u pani, i panienki, by mię na dziś uwolniły.

MAGDALENA. Gdzież zaś! nic z tego nie będzie. Sama mówisz że się panienka tyle cieszy na to przebranie; jakże i myśleć by cię uwolniła.

EWUSIA. O! skoro powiem cały interes, pewna jestem uzyskać pozwolenie.

MAGDALENA. Doprawdy? jakaś ty szczęśliwa! panna Felicja powiedziałaaby— „zostaniesz w domu: na to ci mama płaci, byś mi służyła.

EWUSIA. O! niedobra panienska!

MAGDALENA. Ale jeszcze jedna przeszkoda: panna Helena zapewne dotąd w rannym szlafrocuku: nimby się ubrała, już nam za późno będzie wędrować o całą milę.

EWUSIA. Jakto? ubranie panienski trwa za ledwie pięć minut. Zobaczysz siostró, nim zmówisz trzy zdrowaś Marja, ona już umyta, uczesana, obuta, i prosi pięknie— „Ewusi! zapnij mi szybko sukienkę, by się do lekcji nie spóźnić.“

MAGDALENA. A gdy ją czeszesz nie każe po kilka razy rozpletać warkoczyków? nie mówi że ją skubiesz bez litości— nie gniewa się, nie płacze?

EWUSIA. Broń Boże! alboż to inne panienski tak robią?

MAGDALENA. O! nim ja pannę Felicję ubiorę, jest czego się nabiedować przez dobre półtorej godziny. Najprzód gdy się umywa cały pokój mokry; bo sama szyi nie zleje wodą jak się należy; pani więc mnie myć ją każe. Dopieroż zaczynają się dziwactwa— że jój oczy mydłem

wygryzam, że moje ręce tak twarde iż ból jój zadają. Ucieka od miednicy, wyprasza się matce, mnie odpycha, nakoniec płacze: łzy z mydłem zmieszane spływają w brudnych pasach po twarzy; i tylko posadzka umyta, bo ją zupełnie wodą zalejemy. Panienska brudna jak przedtém.

EWUSIA, A to nie do uwierzenia! ja nawet nie wyobrażałam sobie by tak być mogło, u nas o niczém podobném ani słyhać.

MAGDALENA. Nim się obuje, ja tylko nadaremnie czas tracić muszę; bo mi odejść nie pozwala, a pończochy tak zwolna kolana dochodzą jakby się dopiero robiły. Następuje czesanie; przy którym zwykle P. Felicja miewa lekcję jaką. No! wtedyż się już mój krzyż zaczyna, i tylko niebu go ofiaruję. Jeszcze kiedy Bóg zesze dobry humor, i ochotę do nauki, wywinę się jako tako: ale niechno pani powie— „Felusiu“ to źle idzie powtórz mi ten kawałek“ dopieroż się nadmie! a nim odważy się sprzeczać z matką, zaczyna złość na mnie spędzać— „Ja nie mogę dobrze uważać“— woła— „bo mię Magdalena czubi,“— Nie tak!— bliżej zaplataj— teraz za blisko— po jakiemu czeszysz! chyba umyślnie chcesz mi dokuczać. Aj! aj! wszystkie włosy mi wydrze“— I szlochając porywa z rąk moich grzebień; wstaje z krzesła; a gdy ją pani upomni że nie ładnie by młoda panienska tak dziwaczyła, zaczyna

tłomaczyć się po francuzku, bym ja nie zrozumiała: ależ po głosie, i zaperzonéj twarzy, łatwo poznać że mię przed panią oskarża — aż serce zażala się na taką niesprawiedliwość.

EWUSIA. No i proszę! ktoby się tego spodziewał. Ile razy tu przyjeżdża, bawią się tak pięknie z P. Heleną, i ani jéj patrzy z oczu że taka niedobra. Może o tém nawet nikt nie wie.

MAGDALENA. Ona przynajmniej tak myśli, jak złość przejdzie, matkę uściska, uprosi by nikomu nie mówiła, i pewna że na tém się kończy; ale bajka! Bóg wszystko widzi, a ludzie wszystko wiedzą: ja sama, za co bym taić miała? opowiadam każdemu moje utrapienie, i żaden z domowników inaczej nie czyni. Ręczę że na dwadzieścia mil dookoła znają już ją jak zły szeląg, i że ona sama tylko myśli iż kogo omami swoją słodką minką w gościnie, lub w chwilach gdy jej woli nic się nie sprzeciwi.

EWUSIA. A matka?

MAGDALENA. Oj biednaż ta pani! za nią jedną prosto do nieba pójdzie. Wszak ci się to co dzień serce zakrwawia widząc że córka nie tylko jéj nie szanuje, nie słucha, ale jeszcze grzeszy przeciw Bogu, i osławia się przed światem. Nieboga pani czasem aż poblaknie ze zmartwienia; i choć łatwo zawsze przebaczy córce,

powoli, powoli, musi nad nią stracić zdrowie i umrze z dziesięć lat przedź, niżby miała.

EWUSIA. O! szkaradne dziecię— bogdajby ją..
(Helenka wbiega radośnie, ciągnąc duży kij sękowaty).

HELENKA. Ewusiu patrz co za wyborny kij podróżny dla wróżki cyganki, będę się na nim opierać— Ot tak *(udaje starą cygankę)* bylebyś mię tylko wcześniej przebrała, nim nadjadą wujostwo z Xawerkiem. *(podnosi oczy, i postrzega Ewusię i Magdalene: obie stoją smutnie i przemówić nie śmieją).*

HELENKA *(wskazując uprzejmie Magdalene).*
A to co za dziewczeczka?

EWUSIA. Siostra moja Magdusia, do usług panienki.
(Magdalena wzdycha głośno, Ewusia kręci róg fartuszka).

HELENKA *(patrząc na Ewusię).* Ale cóż ci to? nigdy cię tak płaczkliwie mówiącą nie słyszała.

EWUSIA. Bo mi panienka nie daje nigdy powodu do płaczu.

HELENKA. A teraz? cóż się stało: Czy nie smutek jaki w rodzinie — może wam matka zachorowała, może....

EWUSIA. Nie panienko. Matula Bogu dzięki zdrowa, i nic się złego nie stało. Tylko siostrę biedną dręczy gorzej niż choroba, bo złośliwa pani: otóż chce inną dostać służbę, i ma na-

dzieję znaleźć ją w L** u pani co przyjechała z daleka. Ale ona tam nikomu nie znana; ja, to co innego — służyłam dawniej u pani S** i gdybym powiedziała za nią słówko....

HELENKA. I czemuż go nie powiesz?

EWUSIA. Bo na to trzeba by pójść razem z Magdaleną, a... a mam przebierać panienkę.

HELENKA (*spoglądając z żalem na przebranie*). Chcesz dziś odejść?... (*patrzy na Magdalenę która tęże właśnie ociera*), Ewusiu wez ode mnie ten kij podróżny.

EWUSIA (*smutnie*). Czy go mam wstążką owinąć?

HELENKA. Nie; miał on mi służyć do zmyślonój wędrowki; zda się tobie do prawdziwej; bo na drodze ku L** jest wiele wsi; będziecie może musiały się bronić przed psami.

MAGDALENA (*z radosném podziwieniem*). Więc panienka uwalnia Ewusię?

EWUSIA (*do siostry*). A co? czy ci nie mówiłam.

MAGDALENA (*bieży z uniesieniem, i całuje rękę Helenki*). O! dobry aniołek.

HELENKA. I za cóż tak bardzo mi dziękujecie? ja tracę tylko zabawy godzinę, tybyś mogła chleb twój stracić: to oczywiście ważniejsze. Wszakże powinniśmy zawsze pomagać bliźniemu.

MAGDALENA. Ah! panienczko — któżby mógł lepiej o tém wiedzieć od P. Felicji, co niedziela przecie czyta głośno w nauce moralnej — „przed Bogiem nie ma wyższego, i niższego; tylko lepszy, i gorszy: bo On sam, Najwyższy, w stajence nie w pałacach się rodził“ — Dalej: wszyscy ludzie są braćmi, i siostrami naszymi“ — Już ja słuchając: na pamięć się nauczyłam; a ona co to i gładko przeczytać, i przepisać umie...

HELENKA (*przerywając*). Pobiegnę do mamy uprosić dla Ewusi pozwolenie wyjścia z domu. (*odchodzi*).

MAGDALENA (*kończąc*). Jakoś to dla nas ubogich niby wielki honor że bogaci, i uczeni państwo piszą po księgach swoich, żeśmy ich siostrami, lub braćmi: ale co ja, to wolę już P. Felicją mieć za panią, niż za siostrę; bo złą panią porzucić mogę, a siostry takiej, dalipan wstyd by mi było.

HELENKA (*z radością biegnąc przed matką*). Idź Ewusiu! wybieraj się, mama pozwala! pozwala.

MATKA (*wchodząc*). Pozwalam jedynie na usilną prozbę Helenki — boś bardzo niedawno jeszcze, chodziła do matki.

Magd. i Ew: skłaniają się do kolan pani.

MAGDALENA. Niech Bóg nadgrodzi pani, i kochanej panience. Gdyby tak na pannę Felicję...

HELENKA (*przerywając*). Więc idźcie szczęśliwie, i daj Boże! z dobrym skutkiem.

(*Obie dziewczyny skłaniają się raz jeszcze, i wychodzą*).

HELENKA. Mamo! przykro mi że Magdalena chce zawsze obmawiać Felicję; to nasza sąsiadka.

MATKA. Moje dziecko, ztąd wnosić powinnaś, jak źle jest zasłużyć sobie na nieprzychylność bliźnich.

HELENKA. Ależ i nieprzyjaciół obmawiać się nie godzi.

MATKA. Zapewne, jest to smutny skutek złego wychowania. Dla tego to, trzeba być dobrą dla służących, ale unikać jak najstaranniej ich towarzystwa.

HELENKA. Mamuniu! mówisz mi zawsze że kochasz lud prosty; że on, jako liczniejszy, i uposledzony od losu; powinien zwracać na siebie szczególną przychylność naszą, i zajęcie— jakże można kochać ludzi, i nie bawić się z nimi?

MATKA. Zaraz ci powiem— oto trzeba kochać lud, tak jak kochamy rodzinną ziemię, całą duszą, całym sercem, robić z siebie wszystko co można dla dobra i poprawy naszych bliźnich, lecz nie idzie zatém by smakować w towarzystwie ludzi dobrych w ogóle lecz dotąd niestety! źle wychowywanych— Dla młodych osobliwie jest to bardzo zgubném.

HELENKA. To dobrze mamuniu. Ale jakże ich poprawić, nie mówiąc z nimi.

MATKA. Jak poprawiać? — przykładem: być zawsze sprawiedliwą, moralną, ludzką: to im daleko żywić da uczuć piękność dobrych czynów, niż gdybyś sto razy powtórzyła — „a pfe! to nie pięknie tak robić“ — albo — „niegodzi się tak mówić“ Słyszałaś sama co opowiadała Magdalena o moralnych naukach czytanych co niedziela przez Felicję.

HELENKA. Prawda mamuniu; zrozumiałam, i będę usiłowała być dobrą nietylko dla własnego zbawienia, lecz i dla szczęścia biednych naszych bliźnich.

MATKA. Słusznie uczynisz. A teraz idź na śniadanie, i ubierz się żebyś mogła oczekiwać na przybycie braciszka.

HELENKA. Idę. Ale pierwój mamuniu schowajmy prędko do szuflady tę spódniczkę, chustkę, i ozdoby do nich, żeby już ani myśleć o straconej zabawie (*zbierając smutnie rzeczy*), bo mi się jakoś nudno robi, i nie wiem czém zajmę czas, do przyjazdu Xawercia.

(Idzie do matki, i całując ją, tzy ukrywa).

MATKA. Heleniu moja! nie należy nigdy żałować dobrego uczynku; bo nigdy jeszcze w niebie, nie pożałowano zań nagrody. No zobaczymy czy nie znajdziesz już żadnej na dziś zabawy, np. zbierać nasiona w twoim ogródku.

HELENKA. Ah! prawda: jest już wiele dojrzałych.

MATKA. Do garderoby lalki twojej, dopisać nową kołderkę, i puchówkę, które uszyłaś wczora.

HELENKA. Dobrze mamuniu żeś mi przypomniała. Muszę dziś jeszcze zrobić drugą poduszkę pod głowę, bo tamtę zhyt wielkimi szylałami ściągami— pióra z niej wychodzą.

MATKA. A i robotka zaczęła na imieniny babuni, ma swoje prawa. Wzór do niej śliczny z róż i niezapominajek.

HELENKA (*powstając z radością*). Ale mój Boże!— zapomniałam że mam tak zabawną robotkę. Trzeba czém prędzej się ubrać, i ułatwić, a potem za kanwę i paciorki, i do ogrodu. O! tak śpiesznie szyć będę, bo niechęć przecie by mię imieniny babuni zeszyły w połowie roboty.

MATKA. A co? czy ci jeszcze tak bardzo żal przebrania?

HELENKA. O! bynajmniej — upewniam cię mamo.

MATKA. Teraz rozważ; nie jestże już i to wielkiem szczęściem, że tobie, dziecku nie posiadającemu władzy, ni sposobów do wspierania bliźnich udało się ponieść radość w serca tych dwóch biednych istot— obudzić błogosławieństwa ich dla siebie, a może przyczynić się do poprawy losu Magdaleny.

HELENKA. Prawda! prawda: to była tylko chwila żalu; a teraz znowu jestem tak kontenta, że nawet gdybym zupełnie podobną była do staréj cyganki, mniejbym się może cieszyła.

Godzina trzecia po południu — Helenka siedzi z matką w ogrodzie, i nawleka paciorki.

HELENKA. Kochana mamo! ostrzeż mié gdyby babunia wchodziła do ogrodu, bo się lękam by nie zobaczyła tego woreczka z paciorek, co go na jéj imieniny robię.

MATKA. A pewnażeś że nigdy nie zeszła cię przy robocie? ja wiem moja Heluniu, że ty czasem bywasz nieuważną.

HELENKA. O! mamo — o niczém babunia nie wie. Najprzód od jakiegoś czasu, na moje szczęście nie zapytuje wcale jaką robię robotkę, choć widzi że pracuję: a nawet parę dni temu, siedziała z książką na kanapie, ja pod oknem wyszywałam mój woreczek; chowając go jednak zawsze prędko do koszyka, ile razy do mnie mówiła. Nagle coś zaturkotało na dziedzińcu; ciekawa kto jedzie, zapomniałam się zupełnie; rzucam robotę na stolik, i biegnę do okna. Babunia także wstała. Za chwilę przekonana że to nie goście, wracam i widzę z przerażeniem babunię opartą o stolik na którym moja robota leży sobie swobodnie, rozciągnięta w całej dłu-

gości. Gorąco mi się zrobiło od strachu; ale wyobraź sobie mamó, co za szczęście! babunia spojrziała tylko, potem odwróciła głowę do okna i nic a nic się nie domyśliła.

MATKA (z uśmiechem). Winszuję ci; jednakże nie radzę często próbować zamyslenia babuni bo nakoniec chcąc niechcąc dowiedzieć by się musiała. Ja teraz do niej pójdę, a ty moje dziecię możesz tu zostać z twoją robotką, dopóki cię nie zawołam...

HELENKA. Dobrze mamuniu.

(*Matka odchodzi, Helenka spuszcza oczy na robotę; tymczasem opodal, widac Xawercia przebiegającego cicho z Jakóbkim po za drzewami. Dobiegają do darniowej ławeczki w rogu ogrodu, Xawercio składa na nią jakąś paczkę; potem oglądając się czy go Helenka nie spostrzegła, wraca z tąż samą ostrożnością i stawia za nią*).

HELENKA (nawlekując paciorki). Pięć niebieskich: to będzie ostatni listek do niezapominajki, na którą patrząc babunia zawsze o mnie myśleć musi— śpieszmy. (*Nachyla się gorliwie ku robotcie; Xawerek który chciał przerwać jej powitanie, wstrzymuje się aż skończy*).

HELENKA (zawsze do siebie). Otóż skończyłam kwiatek. (*kładzie robotę na kolanach*) wujostwo nie przyjeżdżają może i wcale dziś nie będą— a ja obiecywałam sobie tak się zabawić

i wybiegać z braciszkiem. Nawlekajmy dalej— ileż ich jeszcze dziś nawlekę?

XAWEREK. (*wstrzymując jej rękę*). Ani jednej.

HELENKA (*z lekkim wykrzyknikiem*). Ah! o mało com się nie przelekła. Jak się masz braciszku! (*witają się*) A a! jest i Jakóbek: dobrze żeście przyjechali; już zaczynałam wątpić czy będziecie. (*składa robotę do koszyka*).

XAWEREK. A cóż! nie prawdziwy ze mnie prorok! wszak zgadłem że już dziś ani jednej nie nawleciesz paciorki.

HELENKA (*śmiejąc się*). O! tak, wielki prorok, kiedyś mię podслуchał.

XAWEREK. Co? niewierzysz że umiem zgadywać przeszłość, a nawet i przyszłość?

HELENKA (*śmiejąc się mocniej jeszcze*). Niezupelnie, chyba że zgadniesz co ja robiłam dziś rano— albo co mi się tego jeszcze wieczora przytrafić może.

XAWEREK (*przybierając minę uroczystą*). Najchętniej: ale do tego, trzeba niejake poczynić przygotowania. Jakóbk! przynieś mi czapkę moją, i podróżną kardynalkę mamy, w której przyjechała. Jakóbek bieży ku domowi, Xawerek bierze kijek, odkreśla duże koło na piasku, i wywija w powietrzu, czyniąc niby jakieś zaklęcia. Helenka skacze w około śmiejąc się).

HELENKA. Co to będzie! co to będzie!

XAWEREK. Czyliż nie widzisz? nie pojmujesz przygotowań wieszczka.

HELENKA. Nie; nic nie wiem co to będzie, ale zapewne coś bardzo zabawnego. (*skacze znowu*).

(*Jakóbek wraca z rzeczami*).

XAWEREK (*do Helenki*). Teraz stawaj tu— w samym środku określonego koła, i czekaj na mnie. Dobrze, (*wkłada czapkę, przywodziwa kardynałkę matki, która spada mu po kostki jak toga; i poważnie od góry stąpając, zatrzymuje się obok Helenki*).

XAWEREK. Teraz daj mi dłoń; z której mam wyczytać co było, i co będzie.

HELENKA (*dając dłoń*). Ciekawa jestem bardzo jaką historyjkę zmyśliłeś sobie do przepowiadania, mój panie wieszczbiarzu. Ale pamiętaj że fałszywych proroków kamienują; a ja mam tu nie zły zbiór kolorowych kamyczków; za pierwszym słowem nieprawdy...

XAWEREK (*uroczyście, patrząc na dłoń Helenki*). Mam ci przepowiadać przeszłość! a mianowicie ranek dzisiejszy— ranek ten zarysował na twojej dłoni linią nader chlubną, linią dobroci.— Albo mnie sztuka moja myli, albo... zrobiłaś dziś z siebie ofiarę dla bliźniego.

HELENKA (*zdziwiona, patrzy na Xawerka z niedowierzaniem*). Jakto? z kąd wiesz!...

XAWEREK (*poważnie*). Prosto z gwiazd! (*na boku*) które w dzień nie świecą.

HELENKA (*wzruszona*). Mój Boże! — nie pojmuję — powiedz prawdę! wszak tyś to tak przypadkiem powiedział.

XAWEREK (*wpatrując się w nią jeszcze większemi oczami, i uroczyście*). Przypadkiem.... a gdzieś podziła burą spódniczkę cyganki? — albo raczej ja ci powiem, że ją schowałeś bez użytku — ale, gdzie podróżny kij wróżki? — tego nie możesz mi pokazać, bo go nie masz!

HELENKA (*Coraz niespokojniejsza*). Ja wiem dobrze iż w tém nie może być nic nadnaturalnego, ale.... jak mamę kocham.... ja się ciebie boję! (*zamyka oczy*) puść moją rękę, albo zrucić przedko tę szkaradną czapkę, i kardynałkę, żebym widziała że to ty jesteś (*Xawerek zdejmaje czapkę*).

XAWEREK (*zwyczajnym głosem*). No! teraz otwórz oczy, i patrz na mnie śmiało: wszakże cię nie połknę.

HELENKA (*śmielej odejmuje rękę od czoła*). Co to jest? skąd wiesz to wszystko!

XAWEREK. A co? miałaś kamienować fałszywego proroka, i oto sama stoisz jak skamieniała ha! ha! ha!

JAKÓBEK (*śmieje się także*). ha! ha! ha! ha!

XAWEREK. Tyle o przeszłości: teraz zajrzyjmy w przyszłość.

HELENKA (*z obawą wrywając rączkę*). Niechcę! nic już wiedzieć niechcę— Boję się!

XAWEREK. Bądź spokojna; nie mam ci objąć nic przykrego. (*biorąc znowu jęj rękę*) Dziś jeszcze przed wieczorem doznasz wiele przyjemności. Będą cię chwalić, całować wdzięczność wyrażać.

HELENKA (*wesoło*). Skoroś zgadł przeszłość, i to musi być prawda.

XAWEREK. Prawda niezawodna; a na próbkę mojęj władzy widzenia na dal, idź do darniowęj ławeczki w końcu ogrodu. Jeżeli po prawęj stronie pod liściami, nie znajdziesz czegoś co cię ucieszy, jeszcze raz wołno ukamienować proroka.

HELENKA. No zobaczę! (*bieży— potém staje, i odwraca się*). Ale może ty mię zwodzisz, i potém śmiać się będziesz.

XAWEREK. Otóż to dziewczyna! składaj jęj dowód na dowodzie, ona jeszcze nie wierzy!

Helenska bieży ku ławeczce; Jakóbek za nią. Xawerek zaś ku domowi.

HELENKA (*dobiega ławeczki, szuka ciekawie, postrzega duży liść, zdejmuję go, i porywa leżącą paczkę*). W samęj rzeczy, cóś tu jest? (*roz-*

wija)— książka!— (*czyta tytuł, i z radości zaczyna skakać, i bić w ręce.*)

JAKÓBEK. Książka tylko? i czegoż panna Helena tak się cieszy? Ja myślałem że cukierki, ciastka, albo przynajmniej pałasz lub fuzja.

HELENKA (*z uniesieniem*). Książka! i jaka książka— o Boże! co za szczęście. Jakóbk, patrz tylko, przeczytaj!

JAKÓBEK (*zbiża się i czyta głośno*). „Opis używania wody w Greffenbergu“— (*śmieje się*), a to mi ciekawe rzeczy.

HELENKA. Ale nie widzisz nazwiska autora. (*z rozrzewnieniem*) To nazwisko mego ojca!

JAKÓBEK. Ojca?— a ja nigdy nie widziałem ojca panny Heleny.

HELENKA. Ah! mój Jakóbk— i ja go nigdy nie zobaczę, bo już nie żyje.

JAKÓBEK. Jaka szkoda!

HELENKA. Mam też w kaliskiem brata przyrodniego, Józia: bo mama była już drugą żoną papy. Józio ma być miły, greczny, dobrze wychowany chłopak— a do tego już duży. Cóż kiedym go nigdy nie widziała, i niewiem czy kiedy ujrzę.

JAKÓBEK. Gdzież umarł ojciec panny Heleny?

HELENKA. Kilka lat temu, byłam jeszcze bardzo małą zachorował mocno i pojechał do

wód. Już nie wrócił więcj! umarł u siostry swojej w poznańskim gdzie mieszka cała jego rodzina, której ja nie znam wcale — a i ojca pamiętam za ledwie. Pomyśl więc sobie co za radość dla mnie mieć tę książeczkę, jedyną po nim pamiątkę! bo żadnej inniej nie mam. Nie raz chciałam pisać do ciotek, i stryja, z prozbą by mi coś po nim przysłali: ale cóż, oni mię nie znają! mogą pomyśleć że żądam czego kosztownego — A mnie najmilszym byłby jaki drobny przedmiot służący mu za życia: choćby ołówek którym pisał, choćby pióro które sam zatemperował! (*patrzy na książkę*) O! jakżem szczęśliwa z ciebie moja książeczko. Ale zkąd się tu wzięłaś na tój ławeczce? Gdzie jest Xawerek, gdzie wujostwo? niech im podziękuje, i zapytam....

JAKÓBEK. Otóż wszyscy zbliżają się właśnie w tę stronę.

Widać w oddaleniu kilka starszych osób, Xawerek bieży na przód z laską w ręku.

XAWEREK (*wesoło*). A cóż Heleniu! czy wątpisz jeszcze o moich prorocत्वach.

HELENKA (*ściskając go*). O! dziękuje ci, dziękuje stokrotnie. Ale powiedz że mi kochany braciszku, jak ty o wszystkiem tak wiedzieć mogeś?

XAWEREK. (*pokazując kij trzymany w ręku*).

Oto czarodziejska laska, co mi wszystko powie-
działa.

HELENKA (*poznając laskę*). Ah! to kij po-
dróżny, co miał mi służyć jako cygance. Odda-
łam go wychodzącej Ewusi.

XAWEREK. A my jadąc spotkaliśmy Ewusię,
i Magdalenę, wracające tutaj. Opowiedziały nam
z wdzięcznością, ofiarę twego dobrego serca.
Mama i papa z ukontentowaniem słuchali tych
pochwał: ja zaś pomyślałem sobie — „poczekaj
panno siostrzyczko: chciałaś mi jako cyganka
prawić z dłoni dziwne baśnie; otóż ja cię moc-
niej jeszcze memi prorocctwy zadziwie. Wziąłem
od tych dziewcząt laskę, i przyznaj że moje wet
za węt, nie źle się udało.

HELENKA. Prawda; myśl doskonała. A ksią-
żeczka?

XAWEREK. Oddawna papa chciał ci ją spro-
wadzić z Warszawy; ale wczorajszą dopiero na-
deszła pocztą.

HELENKA. Kochany wujaszek! on zawsze tak
dla mnie dobry!

*Starsze osoby zbliżają się, za nimi idą Ewusia i Magda-
lena, Helenka wita przybyłych, Magdalena bieży ku niej, i
całuje rękę jej.*

MAGDALENA. Dobra panienczko! ileż ci win-
nam wdzięczności! Ewusia przedstawiła mię pa-
ni S** ta znowuż swojej przyjaciółce przybyłój

zdaleka; i dostałam wyborną służbę. Pani ta ma być nader łaskawa, dobroczynna: kilka już dziewcząt pragnęło dostać się do niej, i gdyby panienka dziś nie pozwoliła Ewusi iść ze mną, uprzedziłyby mię niezawodnie. Niech panience Bóg błogosławi! niech ludzie wszyscy tyle ją kochają, ile nie cierpią panny Felicji.

HELENKA. Bardzo mię to cieszy moja Magdusiu, że choć w tak małej części przyłożyłam się do twojej radości. Dalekoż z tych stron odjeżdżasz?

MAGDALENA. Aż w Wielkie księstwo Poznzańskie. Nowa pani moja tam mieszka. (*przykłada palec do czoła*). Nie pamiętam jak się zowie majątek; wiem tylko że w sąsiedztwie jednej pani... (*myśli*) pani — pani... zaraz! — Pani Szoldrskiej!

HELENKA (*z radością*). Ah! to moja rodzona ciotka.

MAGDALENA. Ciotka panienki? o! muszę ją widzieć.

HELENKA. Ja tam bardzo dużo mam krewnych.

MAGDALENA (*z zapalem*). Wymień mi ich panienko! pójdę do wszystkich, powiem że mają w Litwie aniołka — ze swojej rodziny. O! każdy odemnie usłyszy o panience; każdy się dowie żeś łagodna, i dobra, jak gołąbek.

HELENKA. Dziękuję ci za twą przychyłość; ale nie przesadzaj pochwałą, na jakie ja, doprawdy nie zasługuję. Jeźlibyś jednak chciała zrobić mi przyjemność... (*wstrzymuje się*).

MAGDALENA. Mów, mów panienko! uczynię wszystko co każesz.

HELENKA (*cichym głosem*). Ja nie chcę byś mię chwaliła przed ludzmi, ale... oto wiesz co? jak będziesz w poznańskim, zapytaj o miejsce gdzie ojciec mój pochowany... pójdź tam, i ukłękawszy na grobie, powiedz — „Twoja Helenka będzie zawsze dobra!“ — On się może ucieszy w niebie, i spojrzy na mnie z radością!

MATKA (*zbliża się i ściska córkę*). O! tak; tak moje dziecię: ucieszy się niewątpliwie bo dobroć, łagodność, gotowość poświęcenia zawsze własnej uciechy, są w kobiecie wszystkich cnót zakładem, i warunkiem.

MAGDALENA (*przykładając rękę do serca*). Przysięgam panienko, że uczynię jak żądasz. Ale dla tego wspominać cię i przed ludzmi będę. O! i o pannie Felicji nie przedko zapomnę — tylko z innęj przyczyny.

XAWEREK. A to musi być nie pospolita lalunia z tój panny Felicji i już mi się nie raz słyszeć o nięj dało. Jak wyrosnę, a będę miał się żenić, nigdy takięj złoŃnicy za żonę nie wezmę.

JAKÓBEK. Ani ja paniczu.

Dzieci śmieją się.

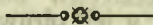
XAWEREK. Teraz Heluniu, nie traćmy czasu do zabawy przeznaczonego, idźmy biegać i swawolić.

HELENKA. O! dobrze; idźmy. Mnie dziś tak wesoło, tak lekko.

XAWEREK. Idźmy, idźmy.

JAKÓBEK. Rozpoczynajmy gry: a ponieważ dziś wszyscy chwalą pannę Helenę, posadźmy ją na wózku, i obwoźmy po ogrodzie, niby w tryumfie!

XAWEREK. Zgoda: a woźąc będziem wołali — „Wiwat dobra Helenka!“



OFIABA NIEWINIĄTKA.



Młodziuchna jedna i niewinna jak aniołek pannenka, pojechała z mamą do kościoła XX Augustyanów na uroczyste nabożeństwo i odpust w dzień świętej Tekli, Panny i najpierwszej mę-

czenniczki chrześcijańskiej nauczonej nauki Chrystusa, z ust S. Pawła apostoła którego w wzięciu żywiła. Słuchała tam pilnie kazania bardzo budującego o służeniu Bogu i wyrzeczeniu się uciech światowych, które w zbytku zażyte co przez ich zwodnicze ponęty łatwo się stać może, do największych nieszczęść jeszcze w tym życiu prowadzą i zgubę wieczną dla duszy gotują. Przypatrzyła się przytém jak wiele róż kwitnęło któremi inne jęj rowiennice pragnęły się przysłużyć Ś. Tekli patronce wszystkich niewiniątek cały oltarz ozdobiły. Powróciwszy do domu siedziała smętna i zamyślona podparłszy się rączką pod głowę.

Mama troskliwa o jęj zdrowie zapytała z czułością serca macierzyńskiego, co ci to Maryniu? czegoś tak smętna, i zamyślona? czy ci czego brakuje?

Niczego mam. Owszem mam wszystkiego aż do zbytku, ale mi przykro że nie umiałam ofiary z tego uczynić, do czego się moje serce najwięcej przywiązuje.

Cóż takiego? radabym wiedzieć z czego ofiarę chciałaś zrobić?

Oto mam w moim ogródku na wsi róż najpiękniejszych tyle, iżby można niemi kilka ołtarzy przystroić. Nie wiedziałam że będę na odpuszcie na Ś. Teklę, nie przyniosłam z sobą ani

jednego kwiatka i ani jednego na ołtarz nie poświęciłam.

Moje dziecię! Panu Bogu są miłe i dobre chęci, i zapewne twoich niewinnych westchnień wysłuchał. Nie ustawaj w dobrém, pielęgnuj piękne uczucie w swém sercu, jak cię Pan Bóg zdrowo uchowa pomogę ci na drugi rok cały ołtarz ustroić, gdyż i ja oto gotuję do niego firanki. Ale przestrzegam cię Maryniu! ażebyś rwąc róże skwapliwie nie zraniła paluszka o ostre ciernie. Dziecina tą przestrogą przestraszona rzekła z ciekawością: dla czego to mam! pod pięknymi różami ostre kolce się kryją?

Moje dziecię! pod wszystkimi powabami na świecie ostre kolce się kryją, i Chrystus nie nosił tu na ziemi korony różanej ale cierniową, i nam także do zbawienia drogę ciernistą przekazał. Droga ta prawda usłana jest kwiatami, ale ostre kolce z pomiędzy tych kwiatów wyglądają. Idąc tą ścieżką, nie dotkniesz żadnego kwiatka swą nóżką ale tylko po samych cierniach stąpać będziesz. A tak wszystkie kwiatuszki nie tknięte zostaną. Potém jak tę ścieżkę cierpliwie za łaską Boga przebędziesz, aniołki niebieskie wszystkie kwiatuszki troskliwie zbiorą i przyniosą ci w nagrodę. Te kwiatki już nigdy nie zwiędną, nigdy nie opadną, ale będą wiecznie kwitły świeżo przed twemi oczami, bo one będą

nie ziemskimi ale niebieskimi kwiatkami. Kiedy więc chcesz ofiarę z róż swoich Ś. Tekli uczynić, pamiętaj wszystkie kwiatuszki zerwać dla niej, bo ona na to zasłużyła, ale sobie wszystkie ciernie zostaw, ażebyś niemi usłała ścieżkę którą masz z cierpliwością w życiu postępować.

Józef Żochowski.

LIPA I TOPOŁA.

Piąty z kolei miesiąc — już też wszędzie zielono, umiały się obumarłe drzewa, cień ich do siebie wabi, bo tu ochrona przed południowym upałem; zasiadło więc młodych przyjaciół grono pod rozłożystą lipą, a napawając się miłą wiosną powietrzem gwarzyli o tém o owém, nareszcie wszczęła się następna rozmowa:

— Od ilu to lat, mówiła Józia, ta rozłożysta lipa odradza się, by cieniem przechodnia ochłodzić, kwiatem słabych napoić i miłą woń rozto-

czyć w około siebie. Ja winnam jój wiele chwil miłych i zdrowie poniekąd, bo nietylko igrałam całe dni dziecięce pod jój przyjaznych konarów cieniem, ale nadto gdy szkarlatyna odsunęła ode mnie wszystkich prócz najdroższej matki, a gorączka piekła mi usta, napój z kwiatów téj samej lipy odwilżał, chłodził spragnioną, przynosił ulgę cierpieniom. Tu starła pełną kropelkę szybko biecąą po licu— była to łza wdzięczności.

— Wieleż już przeszłych wieków lipa ta pamięta, mówił starszy z towarzystwa Stanisław, jednakże ręka czasu nie pochyliła jój ku starości, nie zmniejszyła jój ozdób i wdzięku, a jeżeli grubość pnia, rozciągłość gałęzi świadczą o czasie ubiegłym, czas ten zostawił po sobie wiele miłych wspomnień, które pamięć długo przechowywać będzie.

Szum przyległej topoli kołyszącej się za każdym wiatru powiewem, zagłuszył ostatnie wyrazy; zdawało się że chce przeczyć oddanej pochwałę, i przypomina swą wyższość wzrostem nabytą.

Usłyszała ten szelest Andzia i rzekła prędko:— jeżeli chwalicie to niskie drzewo, cóż powiecie o kolosalnej topoli sąsiadce jego.

— Że cała się w wzrost próżny wysiliła bez usługi dla siebie, bez korzyści dla ludzi, odpowiedział Stanisław, i im rychléj dojdzie do szczytu téj wysokości z której się tak pyszni, tém

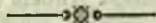
prędzej wiatr ją złamie i pochyli. O! ileż-to pokoleń topoli przeżyć może jedna lipa!

Drzewa te z moralnym usposobieniem człowieka porównać można.

Lipa to tym podobna co do ukształconego po chrześcijańsku serca, przyjęli ziarno nauki, gruntowali je powoli, rozwijali troskliwie, a w skromnym, w poziomym na pozór zawodzie, szeroko dobroczynne działania swojego dali uczuć skutki. Na ziemi stworzeni, nie wzgardzili ziemią— lecz pobyt na niej innym umilić pragną.

Topola znowu tym równa co zrozumieli zbytecznie wczesnej samotności zapragnęli, wzgardzili ziemskością— i pogonili bez celu za jakąś urojoną wyższością— nie było tam gruntu dobrego, zasad nie było— pierwszy wiatr przeciwny— jednę burzy przelot— powróci ich ziemi— ale powróci zmartwiałych.

Marja Za....



OBJAWIENIE NAGROBKA

DLA MAŁENKIEJ J. C.

—306—

Po długiej i ciężkiej burzy,
Miłości— nadziei— trwogi
Zawitałaś gościu drogi,
W maju z pierwszym pączkiem róży.

Twego przyjscia na świat dzionek,
Wróżył chwile tak radosne,
Jak jaskółka wróży wiosnę
Którą wyśpiewał skowronek.

Cóż trwałego na tym świecie!
Któż w codziennój zmian powodzi
Zawsze kontent ze swój łodzi!
Kwiat wiosenny gdzież jest w lecie?...

A ty gdzieś jest córko mała!
Jeszcze— jeszcze wczas na ciebie,

Majowe słońce na niebie...
Jeszcze wiosny nie poznała!

Róże twoje rówiennice,
Patrzą złotemi oczyma,
A ciebie już z nami nie ma
A twoje zgasły źrzenice!

Jaskółeczko moja mała!
Jeszcze zdala mroźna zima
A ciebie już z nami nie ma
Wcześniej — wcześniej odleciała!

To nie dobrze moje dziecię,
Mimo ojca — mimo matkę,
W taką drogę rzucać chatkę,
Było na nich czekać przecie!

Lecz czy już stanęłaś w niebie,
Czy jeszcze w pośrodku mety;
Wysłuchaj prośbę poety.
O! wysłuchaj — błagam ciebie!

Jakiegokolwiek przybierz lice,
Czy na jawie — czy chcesz we śnie,
A cierpiące zbyt boleśnie
Pociesz w żalu twe rodzice.

Albo ja w natchnienia dobie
Niech się o twym losie dowiem
To wyśpiewam — to im powiem...
Wysłuchałaś!... dzięki tobie!

Złoty obłok po błękanie
Suwa się ku mnie do ziemi,
Nad nim skrzydły anielskie,
Unosi się małe dziecię.

To jój — to jój śliczna główka,
Jak dwie gwiazdki błyszczą oczy,
A jak lutni głos uroczy,
Tak z jój ust zabrzmiały słowa:

„Otrzyj rodzicom powieki,
„Niechaj anioła nie płaczą,
„Oni się ze mną zobaczą
„I nie rozłączą — na wieki,
„A gdzie na ziemi me szczątki
„Przykrywa deska grobowa
„Niech na kamieniu te słowa,
„Napiszą dla méj pamiątki:

Nagrobek.

Rzucajcie ludzie, kwiaty w téj zaciszy,
Bo duch anielski wzniósł się ztąd do nieba,
Rzucając mówcie „Tobie łoż nie trzeba!“
Lecz mówcie cicho — niech matka nie słyszy!

J. N. Jaskowski

WET - ZA - WET.

Ponad brzegiem wody
Zbierając jagody
Biegała mała dziecina.

Zbliża się pomału
Aż wśród wód kryształu
Kogoś poznawać zaczyna.

Z radością podskoczy,
W wodę zwróci oczy,
Tam obraz ją naśladuje;

A kiedy Ludmiła
Paluszką groziła,
Wet-za-wet groźby zyskuje.

Gniewnie się odwraca
Do mamy powraca
Skarzyć psotnika, figlarza,

Ale mama mile
Odpowie Ludmile:
On twoje czyny powtarza.

Pomnij, lube dziecię!
Że często na świecie
Uczynią tak bliźni twoi,

Ale kto cnotliwy,
Uprzejmy, życzliwy,
Ten się odwetu nie boi.

W. T.

DO MAŁEJ DZIEWCZYNY.

(w imienniku).



Spójrzyj, dziecino szczęśliwa!
Na niebios krainy,
Bo tam aniołek przebywa
Co twe kreśli czyny.
Jeśli pisać mu wypadnie,
Że ty pełnisz cnotę,

Wtenczas radość sercem władnie,
Pisać ma ochotę;

Słodko na ciebie w téj chwili

Pogląda z obłoku,

Luby uśmiech twarz umili,

Radość błysnie w oku.

Lecz gdy go twój czyn zasmuci,

Smutnie oczko wznosi,

Z żalem na bok piórko rzuci,

Łezka twarz mu zrosi.

O! pomnij dziecino miła!

Abyś w każdej dobie

Uśmiech aniołka wzbudziła

Aby sprzyjał tobie.

W. T.

PIELGRZYMKA

DO GROBU S. IDZIEGO.

—306—

Wczesna a ciepła wiosna witała rok 1130, szumno i gwarno było na płockim zamku, a chociaż już tydzień mijał od wielkanocnej niedzieli—jeszcze suto zastawiano stoły rozliczném mięsiwem i przyprawami, jeszcze młodź szlachecka, jeszcze liczny dworskich poczet na samych dnię przepędzał zabawach. Wielkie! było ogólne we-sele;— ale bo téż nigdy jeszcze tak surowego nie przebyli postu. Sam książę Bolesław w grubą odzian włosiennicę, popiołem posypawszy głowę i przed ołtarzem ją Najwyższego schyliwszy, dnię na rozpamiętywaniu i modlitwie trawił—dobremi a pokornemi uczynkami je kończył— a kiedy znużenie i głód posiłku potrzebę przypomniały— to spożył suchy kawał żytniego chleba— wodą się zakropił i znowu z zebrany dwó-

rem pobożne nócił śpiewy. Za gospodarzem zawsze chętnie idzie czeladka,— kiedy więc sam księżę tak ostry żywot przez całe dni czterdzieści prowadził— nikt w zamku nie poważył się skosztować mięsa, nabiałem się zasilić— nikt weselnój nie wszczął rozmowy, z światową się nie odezwał piosenką. Teraz więc młodzież, równa potokowi co długą i silną przebył zaporę, szumniej oddawała się właściwój wiekowi swemu żywości, a starsi wciągnięci młodych zachętą przedłużali huczne biesiady, i tylko kilku kapłanów, tylko mała gromadka pobożniejszych dworzan jeszcze się wstrzymywała od ogólnego wesela, i napoju i jadła skąpiąc sobie, bo gromadka ta, jak biegały ciche wieści po zamku, na jakąś daleką, świętą wybierała się pielgrzymkę.

I otóż gdy nadszedł dzień sobotni, dzień Matki Boskiej, gromadka ta pomnożona, z pierwszym brzaskiem jutrzeńki, wysunęła się z królewskiego zamku, a cicho przebywszy bramy i straże ku Wielko-polsce zwróciła swe kroki.

Najprzód szedł zakonnik z krzyżem i paciorkami, za nim kilku innych księży postępowało— a dalej dopiero grono świeckich osób. Skromne ich ubiory pokorna postawa nie pozwalały domyśleć się rodu i znaczenia, chociaż pomimo-wolnie z twarzy ich i ruszenia jakaś szlachetność i wspaniałość przebijała.

Jeden téż szczególnieź odznaczał się pomiędzy nimi. Bosą nogą postępował; ubożuchna była na nim szata, gruba, czarna, do ziemi długa, i obcisła jakby u pokutnika jakiego,— żadna złota pętlica, żaden guz djamentowy jój nie zdobił— a jednakże się zdawało że ona okrywa wielkiego rycerza, któremu bardziej wojenne uzbrojenie niż ta pielgrzymska sukienka przystoi.

Wzrostu był średniego, ale mocnego i czerstwego zdrowia, twarzy greckiej, co chwila zmiennej od natłoku myśli co się w niej jak w zwierciadle wydawały; włos mu już piąty krzyżyk gdzie-nie-gdzie srebrzyć poczynął. Na czole porywczosć do gniewu, lekką poprzeczną kresę przesunęła, którą jednak prędsze od gniewu miłosierdzie i sprawiedliwość w wyraz tęsknego zamyslenia zmieniło; a ciemne oczy chociaż tylko błagalnie w niebo wzniesione, lub kornie spuszczone ku ziemi, błyskały niezwykłym ogniem duszy, iskrą genjuszu mówiły, i taki w nich malował się obraz rajskiego wesela, że mimowolnie każdy przechodzień chciał na ustach szukać potwierdzenia tego w niewinnym uśmiechu, ależ usta jakby z umysłu wzniesiony długi kołnierz od sukni starannie zakrywał.

I wszyscy dla niego byli z wielkiem poszanowaniem, chociaż on oznak tego poszanowania

przyjmować nie chciał, chociaż zupełnie ich zakazywał.

Szli wolno a ciągle, po kościołach i szpitalach tylko się zatrzymując— mało bacząc na siebie więcej miłością Boga i bliźniego zajęci.— Wszędzie hojną sypali jałmużnę, żadnego żebraka nie puścili bez wsparcia; i tak im schodził dzień pierwszy pielgrzymki.

— Oj! chłodny coś wiatr bardzo zawiewać poczyna, rzekł jeden z podróżnych do szlachetnego pielgrzyma. wszyscyśmy znużeni, a tu! jakby na przekorę żadnego nie widać domostwa; my jeszcze jak my, ale wasza...

Pielgrzym palec do ust przysunął— po chwili rzekł z cicha: Jaśku! jam większy grzesznik od was— a tylko równo znoszę.

— Trzebaby drogę ukrócić śpiewem, wyrzekł ktoś z boku.

— Ach! śpiewem, zapewne, wyborna myśl, zawołał Jaśko— i spojrzawszy na przyzwalającą postać pielgrzyma, zatrzymał się jakby przypominając co sobie, potem się zwrócił do towarzyszy:

— Hej bracia! kto wtóruje— za mną— „pieśń o Bolesławie książęciu naszym,“ i zaczął grubym głosem, na wojenną nótę ciągnąć pierwszą zwrotkę.

— Jaśku! Jaśku! co też u was w głowie! rzekł pielgrzym chwytając go żywo za rękę, któż wi-

dział w takiej drodze ludzkie sławić czyny. Oto dzisiaj w dzień Marji, jój chwałę głośmy.

Usłuchał Jaśko— wszyscy usłuchali— bo téż i ściemniało się coraz bardziej, deszczyk pruszyć zaczął— a chociaż to rycerskie serca wolne bojaźni, raźniej im jakoś było, z pobożną pieśnią wśród zmroku postępować, i choralny, cudny śpiew „Boga-rodzico!“ wznosił się pod niebiosy.

Deszczyk tymczasem w ulewny deszcz się zamienił— podróżni skończywszy śpiew jakby cudem Boga-rodzicy, pod lasem spostrzegli światelko— podwoili kroku, nie bez zmoknięcia jednak stanęli u drzwi wiejskiego domu, porządniejszego trochę od kilku nędznych z gliny lepionych chatek.

To pewno mieszkanie *Supana* 1) rzekł Jaśko i lekko do drzwi zapukał.

Młoda niewiasta drzwi im uchyliła śpiesznie— i cofnęła się nagle jakby zawiedziona w oczekiwaniu swoim.

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ rzekł pielgrzym poważnie 2).

1) Supan był dowódcą gminy, czyli sędzią ludu, znać trochę więcej od dzisiejszego sołtysa.

2) Jakaż to szkoda, dziatki kochane, że to śliczne powitanie polskie tak wyszło z użycia w wyższym towarzystwie. Czyż to jego członkowie już wystąpili z trzódki

— Na wieki wieków, amen! odrzekła niewiasta i po tém przywitaniu śmielój jakoś drzwi im otwierając pytała „zkaźde to w taką słotę? i za czém?

— Zbliżać— ale w daleką idący stronę, gościny u was prosimy powiedział Jaśko wysuwając się naprzód.

I będziecie ją mieli— rzekła śpiesznie gospodyni ujęta wspomnieniem cnoty wrodzonej jój narodowi; a roztworzywszy coprędzej drugie drzwi, z sieni do obszernój izby prowadzące, zajęła się przyjęciem nieznanych i tak licznych gości, nie badając ich więcéj.

Dorzuciła smolnych łuczyw do palącego się już ognia na dużym kominie, przyniosła z komory dwa bochny chleba, mleka słodkiego misę— kilka łyżek drewnianych i przyrządziwszy tak całe bogactwo chaty, zaprosiła do wieczerzy podróżnych.

Spożyli przystojnie dar Boży, potem coś Jaśko cicho naradzał się z pielgrzymem zawsze z wysokim względem przystępując ku niemu—

Chrystusowej? czy boją się na wstępie odwiedzin lub spotkania zapewnić sobie moc utrzymania chwały Zbawiciela swojego?— Nie, to tylko naśladownictwo obczyzny zmieniło religijne powitanie w czeź wyrazy ceremonji— w waszój jest mocy powrócenie pięknego zwyczaju, dziatki lube chęćcie tylko!

i uradzili że pielgrzym z mnichami w komorze a reszta w izbie spocznie trochę— aby do dalszej drogi sił nabrać. Niezamożna gosposia mimo najszczerzej chęci, nie miała co podać do wsparcia głowy najwięcej szanowanemu pielgrzymowi— i on téż sam wszelką wygodą gardząc, ledwie zewolił aby mu Jaśko pęk prostej słomy rozłożył na poślanie.

Znużeni podróżni oparli głowy jak kto mógł na czém i prędko sen dobroczynny skleił ich powieki— tylko trzy osób jeszcze czuwało; niewiasta oczekująca powrotu męża z miasteczka, Jaśko szukający sposobności rozmowy z gospodynią, bo mu nierażny był dzień taki poważny i milczący— i pielgrzym który jeszcze kończył długie modlitwy pokornym „Boże bądź miłościw!”

Już skończył pacierze— już oddał pokłon N. Sakramentowi,— a jeszcze pozostał na klęczkach, jeszcze powtarzał machinalnie *mnie grzesznemu, Boże! bądź miłościw!* Wyjął z za sukni na łańcuchu zawieszoną twarz w złocie wrytą i drogiemi bardzo obsadzoną kamieniami, wpatrywał się w nią, do ust przytulał i mówił: *Boże! nie dopuść, abym co niegodnego ojca mojego uczynił.*

Wtém zakwiliło dziecię spoczywające w koszyku, wpośród komory zawieszonym. Troskliwa matka lekko drzwi uchylila wsuwając się zwolna, mimo chęci wzrok obróciła ku pielgrzymo-

wi — bo w jego rękę błyszczało coś — niby gwiazda zdjeta z wysokiego nieba. Był to medaljon dużemi otoczony djamentami, na który przez drzwi uchylone padło światło płonącego łuczywa. — Pielgrzym na szelest stąpień skrył prędko ryty obraz za suknię, niewiasta wyjęła dziecię z kołyski plecionej — a tuląc je u piersi powracała do izby i pragnąc i bojąc się spojrzeć na nieznanego człowieka co obok tak nędznej odzieży tak drogi klejnot posiadał. Ciekawość i podejrzanie srodze dręczyły jej umysł; usiadła przed ogniskiem na ławie — Jaśko nie spał jeszcze; dużemi krokami przechadzał się po izbie, mogłaby wprawdzie zapytać: dowiedzieć się czego — ale ona sama w chacie, mąż jeszcze nie wrócił — a to może jakich przebranych włóczęgów zgraja.

Niedługo znów zapukano do drzwi — już teraz śmielsza i pewna odsuwała zapórę drewnianą bo obok pukania i głos znajomy dał się słyszeć. Mąż powrócił z miasta; przezorna kobieta zatrzymała go w sieni uprzedzając w krótkich słowach o wszystkiém — i weszli oboje — on się zatrzymał, zmierzył badawczém okiem czuwającego, i nagle oba poskoczyli ku sobie z rozwartými rękoma, silném objęciem się powitali a wyrazy „Jak się masz Jaśku? Tyżeś-to Stachu? Cóż cię tu sprowadza? A ty co tu porabiasz? zamieniały się bez ustanku; bo to oni kiedyś

w młodziutkich latkach razem na dworze hetmana i wojewody Skarbimierza wzrastali, razem po raz pierwszy na pomorczyku sił doświadcza-
li. Tyle wspomnień obudziło się w myśli, uczucie
wznowiło w sercu!

Rada takiemu spotkaniu i Małgorzata posta-
wiła przed nimi dzban maliniaku od wielkich
schowanego uroczystości— zasiedli przy ognisku
i opowiadali sobie z kolei wypadki lat ubie-
głych.

Jaśko dowiedział się od Stanisława jak ranny
z cheskiej potrzeby powrócił— jak potem mniej
zdalny już do bójek z bezwładną ręką osiadł
w tej okolicy— został supanem i z poczciwą
Małgorzatą spokojny wiezie żywot. Stach zno-
wu nasłuchiwał się o przygodach Jana, o wielkich
wyprawach wojennych przy boku wojewody—
nareszcie jak po słusznym ukaraniu Skarbimie-
rza— gdy w rozsypkę poszli jurgeldnicy jego—
Jaśko z wojennego a mężnego ducha tyle upo-
dobał się panującemu księżęciu że go do boku
swego przybrał, i szczególniejszym zaufaniem uda-
rował.

— A teraz bracie, cóż was w to grono mni-
chów i pielgrzymów wplątało?— zapytał Stani-
sław który radością miłego spotkania odurzony,
zapomniał badać przyczyny spotkania.

— Kto? A ktożby jeśli nie księżę. Tak, dla

niego tylko na miejsce szabli paciorki zawiesilem u boku, dla niego— ja com tyle bitew na koniu przebył— ja mówię szlachcic— jak piechur jaki z gminu dobrany, lub cudzoziemiec płatny, pieszo drogę odbywam, bo mi wola jego miłą— bo wiem że nawet to bezbronne ramię jeszcze-by go w przypadku zasłonić potrafiło.

— Jakto? zawołał Stanisław z Małgorzatą, więc on jest z wami?

Zakłopotał się Jaśko, któremu czy spotkanie przyjaciela, czy maliniak wyborny, tyle słów do ust podał że się aż z tajemnicą wygadał— lecz rzekł po chwili:

— Nie chciałem-ci ja wprawdzie wypowiadać wam tego, no— ale kiedy się już tak stało— to i przeczyć nie będę.

— Przecież nie w żadnym złym zamiarze idzie książę— a wiedzieć dobry czyn cudzy wszak nikomu nie wadzi.

— Przez Boga, co wy mówicie wykrzyknęła Małgorzata, której wrażenie pierwsze mowę odjęło— książę jest z wami— książę boso nogą w pielgrzymiém odzieniu gościnności szukał pod naszą strzechą— książę pan taki wielki— taki możny— w nędznej naszej komorze na prostej słomie spoczywał tak, domyślam się teraz, sam książę tylko może posiadać taki klejnot drogi, jakim ja w ręku tego pielgrzyma widziała.

— Ale gdzież wy idziecie, i po co? pytał równie zdziwiony Stanisław.

— Dużo mił jeszcze przed nami; udajemy się do grobu Ś. Idziego, w francuzkiej krainie, przy ujściu Rodanu znajdującego się; tam pieszo dojść, książę ślub uczynił tam pokutować chce za grzechy swoje jakich się mógł w życiu dopuścić, za śmierć Zbigniewa.

— Już co śmierci Zbigniewa to on nie winien i Bóg to widzi— i ludzie widzą. Ileż-to razy prostował błędy, win zapominał, przebaczał zdrady ochydne; a że powiedział w boleści „któż mnie uwolni od niego“ toż przecie nie wyrok śmierci tém wydał.

— Zapewne, ależ ci co kraj uwolnić mieli od złego człeka, inaczej to rozumieć chcieli— i Zbigniew padł pod ich razami— a Bolesław odtąd modlitwą, postem, uczynkami miłosiernymi, martwieniem ciała pokuty sobie znaczy.

Już kościół krakowski dotąd nikczemny i zaniedbany na gmach większy i okazalszy przebudował, wywyższył mury, przydał dwie wieże, już zbioru do niego z bławatów drogich przyczynił, naczyniem z srebra i złota robioném obdarzył; już kapitułę rozszerzył, duchowieństwo hojnie uposażył; już wreszcie tyle dobrego zrobił— a jeszcze pokornie miłosierdzia Boskiego wzywa.

— Wysoko przed Bogiem stoi taka pokora,—

ale po cóż w takie dalekie iść kraje ! cudzych szukać bogów? Czyż-to nie cudowny nasz Ś. Stanisław w Krakowie? Czyż my nie mamy tyle miejsc świętych? Czyż nie bliżej Gniezno gdzie grób Ś. Wojciecha; apostoła ziemi naszej?

— Prawda to wszystko, ależ widzę wy nie wiecie jaka-to gwiazda nad naszym świeci księżciem. Słuchajcie: Władysław Herman z pobożną Judytą długi już trawił żywot a dzieci Bóg im nie dawał, trapił się księżę że potomka nie zostawi na tronie, trapiła się smutkiem jego Judyta. Wtedy Lambertus biskup krakowski im radzi, aby się udać do grobu S. Idziego słynącego wówczas cudami. Udają się niebawem posłowie polscy z kosztownemi dary na wskazane miejsce. Tam przy sławnym grobowcu Ś. Idziego czuwali uczniowie Ś. Benedykta; apostołowali oni niegdyś w Polsce na żądanie Bolesława Chrobrego, teraz na prośby teje Polski wznoszą modły do nieba o zesłanie jój bochatera, któryby zarówno jak jego pradziad chwałę bożą po sąsiednich krajach rozniósł 1).

1) Wiemy że usilném staraniem tego księżęcia było rozkrzewienie wiary chrześcijańskiej, i że za wezwaniem i pomocą Bolesława Otto biskup Bambergski pomorzany między Odrą a Polską leżące nawrócił do Pana.

— Odbiło się poselstwo — i wkrótce Polska szczęśliwa wita nowonarodzonego Bolesława!

Rozumiecie teraz dla czego sędziwy książe tak daleką odbywa pielgrzymkę, pojmujecie dla czego udaje się do grobu świętego którego natchnieniu przyjdzie na świat winien.

Długo jeszcze, długo ciągnęła się przy ognisku rozmowa długo Jaśko rozprawił o wielkich dziełach Bolesława o łaskawości i rozumie. Nareszcie najobszerniej mówił o szlachetnych uczuciach synowskich, przez które tak mu drogą pamięć ojca się stała. I o tém także mówił, choć wszystkim było wiadome, jak książe w żadnej wyprawie czci przynależnej Bogu i sługom jego, nie pominął— modlitwy i spowiedzi nie zaniedbał, rzeczy niebieskie nad wszystkie światowe w wyższej mając cenie.

Rumiana zorza wciskając się przez małe okienko, zastała ich jeszcze przy dopalającym się ognisku; tak miły był im cel rozmowy że mimo bezsennój nocy nie czuli żadnego utrudzenia, i z wstającą podróżnych gromadką równie swobodnie zaczęli dzień pański.

I nasz pielgrzym wstał także, widać nie nawykły do znużenia pieszej podróży, lica mu trochę pobladły, wzrok powłóczył się zrobił, alez kiedy kapłan wszystkich jako w dzień niedzielny do wspólnej wezwał modlitwy, słowem bożem do

wytrwałości zachęcił, i pielgrzymowi jakoś cudownym sposobem sił przybyło, rumieniec na nowo mężką twarz ukrasił, oczy zajaśniały ogniem wiary miłości i nadziei.

Po modlitwie posilili się trochę — Stanisław mimo nalegań pielgrzyma żadnej nagrody przyjąć nie chciał za gościnę, ucałował tylko pokornie rękę darzącą dziecię jego drogim krzyżykiem złotym. Małgorzata kilka razy chciała się rzucić do nóg Bolesława, ledwo ją groźne spójrzenie Jana wstrzymało; — a kiedy wyszli już z chaty, kiedy już widok ich zniknął w zakręcie drożyny leśnej, a ona wspomniała na skromną szatę, na pokorne ułożenie pielgrzyma, to znowu wierzyć nie chciała mowie Jana, lub przecierała oczy jak gdyby senne odpychając marzenie, i dopiero błyszczący krzyżyk na piersi dziecięcia o rzeczywistości ją przekonywał.

Gromadka pobożna tymczasem nie jeden dzień taki przebyła, nie jeden tydzień, i miesiąc nie jeden; przykre skaliste drogi, wilgotne bagna, piaski nużące przeszła ochotnie, bo gdy siły fizyczne upadały, siła moralna wzrastała, duch pobożności się wznosił; i stanęli u celu w Narbońskim powiecie przy grobie świętego patrona 1).

1) Do dzisiejszego dnia grób Ś. Idziego znajduje się niedaleko Marsylji nad ujściem Rodanu, w miasteczku Saint-

Tam naprzód książę spowiedzią duszę oczyściwszy, dni piętnaście jeszcze na modłach i postach przepędził— przykazawszy swoim jak najgłębsze milczenie o rodzie i godności jego.— Bał się zapewne aby oznaki czci i poszanowania, nie zachwiały chrześcijańskiej pokory— bo i on wiedział dobrze jak słabą jest ludzka natura!

Ciągle więc w pokutnika szacie wchodził w kościelne progi— w niej modlił się za ojca, brata, poddanych, w niej o szczęście przyszłych pokoleń błagał— i dopiero przy odejściu hojne dary na ozdobę kościoła, szczodre jałmużny dla nędzy zdradzały pozornego ubóstwa oznaki.

Wrócił szczęśliwie do kraju— po krótkim wytchnieniu do nowych pielgrzymek siły sposobić 1), bo jeżeli męstwo pierwszych lat młodocianych laury mu świetne wiło, to dopiero pobożność późniejszych prawdziwą koroną chwały uwieńczyła.

W. T.

Gilles, w kościele który ma być najpiękniejszym utworem stylu bizantyńskiego we Francji.

1) Historia mówi nam jeszcze o dwóch pielgrzymkach które do grobu Ś. Stefana w Węgrzech i do grobu Ś. Wojciecha w Gnieźnie spoczywającego, Bolesław Krzywousty odbył z równą pobożnością.

LIST I POSĄZEK

OBRAZEK SZKOLNY.



I.

Nazajutrz po zielonych świątkach, wybiła już ósma godzina z rana a jeszcze uczennice pani B. biegały ochoczo po ogrodzie, bo w tym dniu później jak zazwyczaj zaczynały się nauki; — pensjonarki które święta u rodziców spędziły zjeżdżały się i schodziły leniwo, każda jeszcze zajęta wczorajszą zabawą, wspomnienie o niej mimowolnie plątała z myślą o dzisiejszych obowiązkach, na niejednej codziennój sukni widać jeszcze świąteczną chusteczkę, w niejednym worku karmelki i owoce więcej niż książki miejsca zajmują, szmer przytłumionój rozmowy, żywe opowiadania czasem i głośny wybuch śmiechu rozlega się po wązkich i krętych ścieżkach ogrodu, a patrząc

na to różnobarwne grono snujące się zwawo w różnych kierunkach, rzekłbyś że to gromada letnich motylków rozpierzchła na łące.

Wśród tego zgielku dwie dziewczynki prowadząc się pod ręce rozmawiają z cicha, — wzrost ich prawie równy, twarzyczki świeże i wesołe, na ustach uśmiech jednaki, tylko w ubiorze różnica; jedna z nich na szafirową tybetową suknię zarzuciła tiulową haftowaną szarfkę, rękę białą glansowną pokryła rękawiczką, nogę w ażurowej pończoszcze prunelowym obcisnęła trzewikiem; druga w płócienkowej sukience z perkalowym kołnierzem, bawełniane rękawiczki w rękę trzyma, a w skórzanych bóciakach równie lekko stąpa jak wytworna jój towarzyszka.

— Cóż ty Zofjo przez te dwa dni robiła?

— O! i ja się bardzo dobrze bawiłam; w niedzielę rano poszliśmy do Czerniakowa...

— Piechotą?

— Piechotą, to nie tak daleko, nie zmęczyłam się wcale; po nabożeństwie; weszliśmy do chaty Józefowej co nam mleko przynosi, rozgościliśmy się w niej zupełnie, Basia przyniosła za nami pieczeń i kurczęta, a mama kazała dać śmietany; niewierzysz Alino jak mi wszystko smakowało, nierównie lepiej niż na pensji.

— To dziwna że się i w Czerniakowie uba-

wić można.— Chciałabym tam być kiedy z ciekawości.

— Pewnieby ci było wesoło; a jakie ładne dzieci ma Józefowa! wszak ty lubisz dzieci Alino?

— Lubię, ale nie chłopskie; jakżeby się pobawić usmolonym rozczochranym dzieciakiem który się cały dzień po piasku albo po trawie przewraca!

— A ty gdzieś była w niedzielę Alino?

— W Królikarni i w Wilanowie, ale nie bardzo się ubawiłam, mało było osób, a przytém przyznam ci się, tak mię nowa suknia ścisłała że nie mogłam być wesołą.— Ale też za to wczoraj! Jaki tłok był w Bielanach! jakie stroje! a jednak wiesz Helenko? ze wszystkich młodych panien ja najładniej wyglądałam.

— Wierzę bardzo!

— Miałam białą bengalinową spódniczkę, zielony aksamitny kaftanik z jedwabnemi sznurami, i prześliczną różową kapotkę.

— Widziałam cię.

— Jako? czy i ty byłaś w Bielanach? to pewnie nie w środkowej alei?

— Nie, byłam w oknie u mojej ciotki na zakroczymskiej ulicy; widziałam cię jadącą, i bardziej się cieszyłam twoją pięknnością i zabawą niż gdybym się sama bawiła.

— Kochana Zosia! ale i ja też o tobie myśla-

łam; patrz ten ananas cukrowy schowałam dla ciebie, choć go trochę znać było przez batystową chustkę. — A wieczorem cóżeś robiła?

— Dokończyłam lekcji na dzisiaj, i....

— Ah lekcje!... a ja o nich zapomniałam zupełnie! otóż to święta! to tak głowę zawróci że ani sposób o nauce pomyśleć. — Ale poczekaj no; co to dziś mamy? francuzki język to mi przyjdzie z łatwością, historia... przeczytam parę razy to i pójdzie; — ale najgorszy list co miałam napisać dla pana J..... ha! już chyba nie napiszę.

— Weź się tylko do pracy Alinko, może jeszcze wydadzys; pan J. uważa cię za jedną z najlepszych swoich uczennic, przykroby mu było gdybyś się dziś cokolwiek opuściła.

— Nie, nie ja, nie zdązę, jeszcze się muszę uczyć na pamięć, a tu już blisko dziewiąta.

-- To pozwól niech ja ciebie wyręczę:

— Ah Zofjo! toby było nie dobrze.

— Możehy to było nie najlepšíj gdybyś ty sama nie miała zdolności, ale wiem żebyś lepiej napisała odemnie, nie przyczynię ci więc zasługi, a jednakże unikniesz wymówek nauczyciela.

— Ależ i ty nie masz czasu....

— Owszem, mam wszystko gotowe, i lekcje

umiem.— W jakimże twój list ma być przedmiocie?

— Poczekaj, zobaczę;— ale doprawdy nie śmiem przyjąć twojej ofiary, jużś mię tyle razy wyręczała.....

— Pokaż tylko zadanie,— ah!... do *nieobecnej przyjaciółki*, przedziwnie! już mam list gotowy.

— Jakim sposobem?

— Wczoraj — wróciwszy do domu uczułam się trochę smutną, myślałam o tobie, wiedziałam że się bawisz, że wśród zabawy myśleć o mnie nie możesz, i nagradzając sobie te dwa dni w których cię nie widziałam, zaczęłam pisać do ciebie.

— Daj, o! daj ten list dobra ukochana Zofjo, jam nie warta twojej przyjaźni, ja w domu nie tak ciągle myślę o tobie, jak ty o mnie.

I Alina czytając list Zofji ścisnęła jej rękę, całowała czoło, powtarzając:— nie, nie sfalszuję tego dowodu twojej przyjaźni! lecz nagle odgłos dzwonka dając hasło rozpoczętych nauk przerwał rozmowę dziewczynek i zaledwie wszystkie właściwe zajęły miejsca w śród sali, gdy wszedł pan J. Z znaczącym spójrzeniem zapytał Aliny o list zadany; dziewczynka zrozumiała wzrok jego, bo przez dwa dni poprzednie spotykała go kilkakrotnie na ulicy; i chcąc dowieść choć fałszywie że potrafi naukę z zabawą połączyć, podała pismo Zofji.— Szczerze pochwały szanownego męża

wywołały uśmiech szczęścia na usta téj, która tak serdeczne wyrazy zřęcznie na papier przelać umiała, a na czoło Aliny lekki zawstydzenia rumieniec; ale w szkolnym dzienniku panna S. raz jeszcze jako celująca uczennica zapisaną została.

II.

Było to wkrótce po śmierci Marji księżnej Württembergkiej, owéj młodej, nadobnej, pełnej talentu francuzkiej królewnej, wszędzie wspomniano jęj dobre i szlachetne czyny, wielbiono jęj dzieła, i do Warszawy téż sprowadzono pewną ilość gipsowych posązków wyrobionych podług wielkiego, do wersalskiego muzeum przeznaczonego posągu, wyobrażającego dziewicę orleańską, i wykutego delikatną ręką księżnej Marji.

Ojciec Zofji lubo wcale nie zamożny, lubił sztuki piękne; nadchodziły jego imieniny, a córka przez długi czas namyślając się, coby mu dać na wiązanie, postanowiła w wigilję tak lubego dla siebie święta kupić taki posązek, i przybrać nim biórko przy którym ojciec pracować lubił, i

gdzie już nie jeden lubo nie kosztowny zabytek sztuki spoczywał.

Wracając z pensji do domu, Zofji wstąpiła do ładnego sklepu na krakowskiem przedmieściu, i choć wydała do ostatniego grosika, oszczędzane przez długi czas pieniądze, wracała wesoło do domu, unosząc przed sobą starannie w papier owiniętą orleańską dziewicę.— Ale— o nie— stała radości! modniś jakiś nucąc włoską śpiewkę przebiega obok Zofji, zarzucając na ramię fałdzistą połę hiszpańskiego płaszcza, wytrąca nią z rąk jój gipsowy posążek, i od niechcienia wymówiwszy: pardon! śpieszy w swoją stronę.

Biedna dziewczynka osłupiała z przestachu i boleści; po krótkiej zaś chwili widząc że się w koło niej zbiera grono ciekawych, machinalnie pozbierała kawalki posążku i poszła smutnie do domu.

Samym wieczorem, strapiona siedziała samotnie w swoim pokoiku, rozmyślając nad stratą swoją. i nad tém jak nazajutrz po pierwszy raz w dniu takim stanie z próżnemi rękami przed ukochanym ojcem, gdy nagle drzwi się uchylily, i w ciepłej szubie, z watowym na głowie kapturkiem, z wesołym na ustach uśmiechem stanęła przed nią Alina.

— U mnie? o tój porze? przemówiła zdziwiona Zofja.

— O! nie dziw się; — mama pojechała do sklepów, i uprosiła ją żeby mię wzięła z sobą, a dopóki za ważniejszymi jeździć będzie sprawunkami, zostanę u ciebie, i podzielę się z tobą niespodziewaną radością.

— Cóż cię tak miłego spotkało?

— Wiesz droga Zosiu o tym kostiumowym wieczorze na który się tyle znajomych dzieci wybiera? — otóż będę na nim — i — przebrana!

— To jednak uprosiłaś mamę?

— O! nie; mama jak co raz postanowi, to żadne prośby nie pomogą. — Wiem o tém dobrze; to téż jak mi powiedziała że jeżeli chcę być na wieczorze, włożę zwyczajną suknię, bo się już i tak zawiele na mój strój w tym roku wydało, poprzestałam na tém, chociaż mi szczerze żal było ślicznego cygańskiego przebrania, które sobie ułożyłam.

— Zkądże więc tak szczęśliwa zmiana?

— Zkąd? czyliż nie wiesz, że strapionym dziewczynkom zawsze dobry wujaszek w kłopotcie pomaga? odrzekła śmiejąc się Alina. — Otóż, zdarzyło się, że dziś przy stole, kiedy mówiono o owym głośnym wieczorze, i ukochany mój wuj usłyszał że przebraną nie będę, dobył cztery nowe dukaty, i dał mi je na ubiór. — O! bo wujaszek nie potrzebuje się tak ściśle jak mama rachować.

— I to wszystko Alino wydasz na cygańskie ubranie? spytała zdziwiona Zofja; — bo ona przez rok prawie cały tyle pieniędzy na przystrojenie siebie nie potrzebowała.

— Nie; odrzekła Alina; już to dawno mam w zwyczaju, czwartą część dochodu mego dla biednych odkładać, wrzuciłam więc dukata do puszki, a reszty, nie nadto. — Ale cóż za cyganeczka ze mnie będzie! — Ponsowa spódniczka w hieroglify czarnym aksamitem naszywana, czarny aksamitny kaftanik, i na rozpuszczonych włosach ponsowa czapeczka, a przy niej wieszadeł i trzęsideł co niemiara; dodaj do tego jedwabne pończoszki, i czarne trzewiczki na czerwonych klinikach, a przekonasz się, że mi nawet oszczędną być wypadnie.

I młoda strojnisia, szczerze sobą zajęta, tyle prawila o spodziewanej zabawie, o tém jak jej w przebraniu ładnie będzie, że kochająca ją z duszy Zofja zapomniała na chwilę o swoim zmartwieniu.

Niedługo, turkot powozu dał się słyszeć pod oknami, matka zajechała po Alinę, by z nią razem wybrać w sklepach potrzebne do jej cyganstwa drobnostki. — Wesoła dziewczeczka zegnając się z przyjaciółką spojrzała przypadkiem na kominiek, i rzekła z uśmiechem:

— A to co za ruiny?

Były to szczątki dziewicy orleańskiej; — wspomnienie to, boleśnie przeszło duszę Heleny, i lubo niechętnie, opowiedziała towarzysze smutną swoją przygodę.

— Ależ się nie smuć Zosiuniu miła, rzekła pocieszając splakaną Alina, temu przecież jeszcze można zaradzić?

— Nie, nie można Alino!

— Rozumiem, pewnie wszystkie swoje pieniądze wydałaś, więc weź odemnie, to przecie tak wiele nie kosztuje, oddasz mi jak będziesz miała, a ja się tymczasem w sprawunkach ograniczę, i oczywisty zysk na tém mieć będę.

— Dziękuję ci kochana! rzekła rozczulona Zosia, ale w całej Warszawie niema drugiego takiego posążku z gipsu, przekonałam się o tém kupując ostatni.

— To kup co innego.

— Niczém tylebym ojca nie ucieszyła, on sobie tego życzył, przewidywał że odgadnę myśl jego, spodziewał się dziewicy orleańskiej, która dla niego wielką ma cenę, bo jest dziełem królowej Marji, a słyszałaś może że mój ojciec po długiej po różnych krajach wędrówce, spoczywszy na czas jakiś we Francji, widział tę książniczkę gdy dzieckiem była, mówił z nią, i dotąd jeszcze z żalem i uwielbieniem imię jej wspomina.

— Prawda, rzekła Alina, tego posążku niczém nie zastąpisz.— Ależ to niepodobna żeby w całej Warszawie drugiego takiego nie było.

— O! są brązowe, złocone, żelazne nawet, ale to wszystko dla mnie za drogie;— tak wielkiej pożyczki nawet nie śmiałybym zaciągnąć.

Służący po drugi już raz oznajmiał Alinie że matka na nią czeka w powozie;— dziewczę z roz-targnieniem patrzyło na niego, przebierając w mil-czeniu palcami po stole.

Nagle, jakby jój nowa jaka myśl błysnęła, Ali-na rzekła wesoło:

— Otóż dasz jutro ojcu dziewicę orleańską!

— Żartujesz!

— Bynajmniej! daj mi te gipsowe skorupki, nasza Przylesia ma jakąś masę którą skleja po-tłuczone talerze i filiżanki, jak się jój ładnie uśmiechnę, zobaczysz że twój posążek się zro-śnie, i ani śladu kalectwa nie zostanie.

Lubo z niedowierzaniem, Zofja przystała na za-miar Aliny, złożyła w chusteczkę szczątki figurki, a wkrótce zatrzaśnięcie drzwiczek powozowych oznaj-miło jój, że młoda wikwintnicka jedzie do sklepów, po balowe sprawunki. Jakoż, Alina wysiadała z matką wszędzie gdzie tylko domyśleć się mo-gła że znajdzie czego potrzebuje, lecz zamiast o atłasy i aksamity, pytała się o modne gipsowe posążki, a nie znalazłszy takiego i nie chcąc

dalej trudzić zdumiałej takim dziwactwem matki, przed sklepem Lotha wysiadła sama z powozu, i po chwili wróciła z niewielką paczką w rękę, mówiąc:

— Już mam czego szukałam mamó kochana!

Nazajutrz rano, Przylesia prasowała dla Aliny białą muślinową suknię na wieczór, a Zofja stała w swoim pokoiku, patrząc z radością na śliczny brązowy posążek, i czytała co następuje:

— Daruj Zosiuniu kochana, że za lekką, cięższą ci nierównie odsyłam figurkę; winą to jest kleju, którego pewnie zawiele do jój naprawienia użyłam. Lecz przyjmij ją mile, daruj mi tę niespodziankę, przynajmniej przez wzgląd na radość jaką ona mnie sprawiła, i wierz że tak pod cygańską sznurówką, jak pod rannym szlafrocikiem w którym to piszę serce moje jednakiem jest dla ciebie.

Alina.

Rzeczywiście, świetny to był dowód przyjaźni ze strony Aliny, kiedy jój potrafiła bez żalu poświęcić wkorzenioną żądzę błyszczzenia, kiedy nad poklask licznego zgromadzenia, przeniosła uśmiech na ustach skromnej, i ubogiej Zofji.

P. K.

◊ ZABAWIE U OHMA

NA KORZYŚĆ SIEROT I OCHRONY.



— **M**atko! dam gruszkę téj blondynce co tak śmiało podaje bukiet cioci; musiała płakać, biedaczka, ani na nas nie spojrzy, taka smutna.—

— To sierotka moje dziecko, nieśmiała, bo wpośród tylu ładnie ubranych gości, obca, drzy może z bojaźni uchybienia komu; może téż widząc dzieci przy swych matkach pomyślała: czemu ja nie mam mojej?— Idź, daj jej gruszeczkę, masz oto i kawalek babki. Pobiegła żwawo dziewczynka, oddała gruszkę i ciasto sierotce z domu Ochrony, która w ogrodzie Ohma bukiety podawała gościom; a uściskawszy ją obiema rękami za szyję, jédz, nie smuć się mówiła, a potem zwolna wracała do matki, ale nie tak szybko, nie tak wesoło jak przed chwilą. O! i w maleńkiem ser-

duszku Józi już uczucie litości się odezwało, daj Boże! aby wzrosło z wiekiem! — Nie pojmowała ona wprawdzie w całym znaczeniu tego wyrazu „sierota“ ale czuła, że nie mieć matki tak dobrej, tak kochającej jaką ona miała musi być źle, bardzo źle. — Huczne walce zabrzmiały, a Józia nie myślała nawet podskoczyć, jakby to inną razą zrobiła; ale oparta o krzesło swjej matki stała goniąc oczkami przechodzące sieroty. — A matka wtenczas rzekła jej cicho: współczucie niedoli spowodowało zapewne Warszawian do ogrodu godnego obywatela Ohma, który ofiarą ozdoby swego ogrodu, różnobarwnych georginji, starannie pielęgnowanych a których kilkaset odmian na swych grządkach liczy, chciał iść w pomoc biednym dziatkom. O! nie wyrazy lecz uczuciem równie błogiem sam Bóg mu za to zapłaci, nie pierwszy to bowiem raz P. Ohm zebrał grosik dla sierot, których byt polepszony, przemawia, o nagrodę do Stwórcy. — Nie można żądać, aby każdy zapominając o swych dzieciach, rodzinie oddawał biednym wszystko co posiada, ale śmiało rzec można, że każdy datkiem, radą, zachętą lub pracą, przyczynić się może do polepszenia bytu tych, co bez opieki, sił i zdrowia nędzne wiodą życie; a których Bóg zostawił litości ich braci.

Marja Zar...

DODATEK.

Miło będzie zapewne czytelnikom naszym szczególniej zamieszkałym na prowincji dowiedzieć się o pięknej uroczystości, która z przyjemną zabawą połączona wsparcie niedoli przyniosła. Urządził ją pan Ohm posiadacz ślicznego ogrodu za wolskimi rogatkami. Pod okiem jego, jego staraniem, na uprawnych grządkach, rozwiło się mnóstwo prześlicznych georginji w najcudniejszych barwach, on najlichniejszą część tych kwiatów darował biednym dziatkom. Dziatki te nie mają chleba, ciepłej sukienki na zimę, pomysli z was która, cóż znaczy dla nich dar wzo-rzystego kwiatka? Ależ ujrzenie, co chęć prawdziwa dokazać może, z kwiatków i chleb potrzebny i ciepłe sukienki się znalazły.

Pan Ohm myśl swoją powierzył prawdziwym przyjaciółom ludzkości— oni mu dopomogli— i ułożyła się uroczystość *Flory*, Zerwano śliczne georginje, powiązано w bukiety, przysposobiono ognie bengalskie, zamówiono dwie orkiestry— a potem zajęto się rozdawaniem biletów. Każdy bilet służył jednej osobie— a kosztował tylko dwa złote. Przybywającym dobroczynnym osobom zebrane dziatki z Zakładu Osierociałych

Wychowawców Dobroczynności i z Ochron oddawały bezpłatnie ślicznie powiązane bukiety — potem wszyscy rozchodzili się po alejach cieni-
stych — słuchali dźwięków doborowej orkiestry — Ze zmrokiem zabłysło tysiące kagańców, ognie bengalskie się ukazały — a siedmset blisko zgromadzonych osób przyjemnie kosztowało uroku sztuki i natury.

Dziateczki rozdające bukiety ślicznie się zachowały, z prawdziwym wdziękiem oddawały kwiaty przybywającym którzy znowu wzajemnie częstowali je owocami i uprzejmym słówek nektarem.

Każdy z błogiem sercem, z wesołą myślą powracał w progi domowe, wstawiał kwiatki w przysposobione naczynia by dłużej mieć przypominkę miłej przejażdżki — ależ choć pełne georginje zwiędniały i opadły, w sercach wdzięcznych sierot zakwitły kwiatki wdzięczności — a pamięć luba dobrego czynu czyż także nie w ponętne stroi się barwy?

W. T.

Ożytek moralny zwierciadła.



Rozpłakała się mała Józia; ani zabawki; ani pieczyoty matki utulić jej nie mogły. Wtém stanęła nianka przed zwierciadłem; Józia zobaczywszy drugą siebie, zamknęła skrzywioną buzię, i uciszyła się zupełnie; a ja pomyślałam sobie: jak to obraz słabej strony człowieka, ma i nad dzieckiem przewagę.

— Zwierciadło — gdybyśmy w nie oczyma 'prawdy patrzeć chcieli, byłoby niejako przyjacielem, doradcą wytykającym zboczenia, których ślady malują się w oczach, tych obrazach duszy naszej. Zwierciadło więc, moralnie uważane, nazwać można bodźcem do dobrego; bo któż po częstych naradach z tym cichym powiernikiem, nawet w podszeptach miłości własnej, nie uzna tego złém co mu wierny obraz jego w zwierciadle odbije?

Jeżeli ono wykaże szpetność twój powierzchowności; chciej, a nagrodzisz to w trójnasób; wszak każdy dobry uczynek, zostawi na twój twarzy ślad zadowolenia wewnętrznego, każdy nowy nabyty przymiot, cnota ugruntowana w sercu, odblaskiem swym upromienią twe lica, a te przymioty powierzchownie brzydkich czynią miłymi; i gdy pięknych wdzięki z czasem przemina— twojój twarzy wyraz coraz nowój nabierać będzie przyjemności.

Jeżeli zwierciadło ci pochlebi, wspomnij że piękne ciało winno być lepianką tém piękniejszej duszy, a wspomnij i na to, że skarb wielki w ponętném złożony naczyniu niebezpieczniejszym się staje, całą więc usilnością zwróc na przechowanie téj cząstki boskiej w niewinności i cnotcie aby ją kiedyś nieskażoną złożyć można w ręce Stwórcy. Ona godna czulego pielęgnowania czynnych zabiegów, ona jedna zdolna nadać ci piękność prawdziwą, której wiek nie zniszczy, czas nie zatrze, bo pełna wielkich nadziei wieczność ją czeka.

Marja Zar...

WISZENNA

—000—

W dużej białej izbie, której połowa ścian okrytą była adamaszkiem a podłoga kobiercami tureckimi, siedziała sędziwa już lecz, jeszcze piękna Bacława żona Klemensa Branickiego Kasztelana krakowskiego; u jej nóg na niskim taborecie czytała bogato oprawną biblię młoda złotowłosa dziewczica: kibić jej wysmukła, oko jasne, anielski wyraz twarzy, czyniły ją podobną do jakiegoś utworu nadzmysłowego i patrząc na nią trudno było uwierzyć że to była kobieta. Tą niebiańską istotą była Wiszenna, jedyna córka kasztelana krakowskiego.— Położy tę książkę rzekła do niej matka: wiem że ty chętnie czytasz święte, pobożne książki, i mnie miło je słuchać, lecz na dzisiaj dosyć tego, trzeba wszystko przygotować na przyjęcie naszego pana a ojca twego, któren ma wkrótce wrócić z wyprawy swej do Węgier.— Zaszczyt to wprawdzie na nasz ród że od króla wybrany posłuje, radabym go jednak już z po-

wrotem widzieć tu w Klemontowie bo mię coś niespokoi.

Czegożbyś się matko obawiać miała? wszak włos nie spadnie z głowy człowieka bez woli Bożej, a cóżby się stać miało ojcu memu?

Pobożna córko moja! wstań, niech cię uściskam, tyś jedyna pociecha mej duszy.

Dziewica rzuciła się w objęcie matki i długimi pieszczotami rozweselić się starała chwilowy jej smutek, wtém koń zatętniał na podwórcu a pokojowiec wszedł z listem „z Krakowa miłostywa pani od pana Kasztelana“ wyszedł pacholek a Kasztelanowa z widoczném wzruszeniem zabrała się do czytania— rozjaśniło się jej zachmurzone czoło i dumnie rzekła do Wiszenny.

Blask nowy okrył dom nasz, ojciec twój nie tylko że zawarł przymierze między królem naszym a Belą węgierskim — lecz jeszcze córkę tegoż Kingę na żonę Bolesławowi przywiódł do Krakowa. Acz znużony dziś jeszcze stolicę opuści, i zjedzie w liczném rycerzy gronie, tu do Klemontowa.

Kasztelanowa poszła wydawać rozkazy, dworscy ludzie się krzątali aby pana i gości wystawnie przyjąć i każdemu wygodny nocleg przysposobić.— Wiszenna tym czasem zajęła się przygotowaniem ulubionych na ówczas potraw i układaniem ziela tatarskiego i innych przysmaczków i mio-

du na dużych srebrnych tacach złocisto wyra-
bianych zdobytych na wojnach przez dziada Ste-
fana. Koło wieczora zjechał pan Kasztelan do
swego dworu i z niezmierną życzliwością przy-
jęty przez żonę i Wiszennę z ukontentowaniem
włas pokręcał patrząc na nowe wdzięki które hoj-
na natura zlała od jego wyjazdu na jedynaczkę.—
Wesołość panująca w zamku Klementowskim
zciągnęła do tegoż więcej jeszcze gości, nietylko
rycerze z sąsiednich włości, ale ich żony i cór-
ki przybyły także, aby się cieszyć szczęściem
zawartego przymierza wraz z onego sprawcą—
Kolaski ciągnione pięknymi rumakami co raz
więcej zapełniały zamkowy dziedziniec otaczali
je jeźdźcy, zręcznie kierujący spienionemi, w zło-
te rzędy przybranemi wierzchowcami.

Kasztelan dobrze widziany u dworu, chciał i
kochaną swą Wiszennę tamże pokazać i nazna-
czył dzień Zielonych świątek na przedstawienie
tejże młodej królowej, mówiąc z uśmiechem;
Czas aby świat poznał skarb ten mój najdroższy.

Wiszenna chętnie słuchała pochwał o cnotach
królowej, życzyła sobie poznać tę świętobliwą panię,
lecz bojąc się zgiełku dworu ze drżeniem wsiadła
z matką do złocistej kolasy, mającej je zawieść do
stolicy.

Wychowana na wsi zdumiała gdy się jej oczom
pokazał piękny i wspaniały Kraków, na tyle pa-

miątek ojczystych tkliwe i wzniosłe jój serce nie mogło zostać obojętném, lecz kilka zrosiło cudne jój lica i zadumana wysiadła do kamienicy przeznaczonej na ich przyjęcie.

Podług zwyczaju zaczęła Kasztelanowa dzień następny słuchaniem mszy świętej w kościele Panny-Marji— co się działo w sercu Wiszenny gdy pierwszy raz usłyszała muzykę kościelną trudne do opisanja; religja nasza ma w swych obrzędach coś tak wzniosłego, że niedowiarek nawet musi mimowolnie zgiąć kolano gdy przypadkiem znajduje się im obecny, a tymbardziej młoda świętobliwa dziewica.

Wiszenna doznała tak mocnego wzuszenia że jój myśl odtąd zdawała się tylko ulatywać w wyższe strefy, jój wzrok przybrał jeszcze piękniejszy wyraz i już odtąd nadziemskim była aniołem.

Ani łaskawe przyjęcie monarchy, ani wesołe na zamku biesiady, ani też turnieje, ni insze zabawy, nie zdołały ani na chwilę jój umysł zwrócić ku ziemskim myślom; daremnie się najzaciejsi rycerze ubiegali o jój rękę, ona wszystkim odmawiała.

Ani prośby ojca któren życzył sobie za życia obrać zięcia, ani łzy matki nie zdołały jój postanowienia odmienić; ofiarowała się Bogu, obrała życie zakonne, a ojciec znaczny jój posag obróciwszy na fundację klasztoru Staniąteckiego po-

zwoił nareszcie Wiszennie oblec sukienkę i wstąpić do tegoż klasztoru, któren bogato uposażył dobrami swęmi, do niego bowiem należą Lendziana, Łazy, Goszków, Długoszyn i inne. Na ten czas cud się stał wielki, bo gdy już na kościół materiał potrzebny sprowadzono, tenże materiał cudem Boskim bez żadnej pomocy rąk ludzkich przeniesiony został tam, gdzie teraz klasztor stoi; co jawnie pokazało że ta ofiara Wiszenny mile była od Pana Boga przyjętą.— Długo jeszcze ród Branickich istniał w Polsce 1) i zasługiwał się ojczyźnie a klasztor Staniątecki trudniący się dotąd wychowaniem młodych panienek, zasługuje na powszechną wdzięczność i pamięć dla fundatorki.

Henryka K.

TO MI PRZYSZŁO DO MYŚLI.

Bylaam i ja tak maleńką— pomyślałam sobie, patrząc na dziecinę kwilącą się, a myśl ta pogoniła ubiegłe dni; lata mego istnienia; zamgłyły

1) Istnieje dotąd.

się łąą oczy, tęschne ozwało się natchnienie, bo żywy obraz okazał pamięci błogie dni, które nie wracają się raz drugi. Dziecię pod okiem czułych rodziców jest szczęśliwe jeżeli szczęście ostać się może w nieudolności, bez czucia całém sercem swobody spokojnego umysłu, nie—później dopiero poznać możemy żeśmy byli na drodze szczęścia gdy zrozumiemy, że podstawą jego pokój serca i duszy, o! kto go posiada przy cierpieniach, które są udziałem życia naszego, nie będzie zupełnie nieszczęśliwym, bo wewnętrzne zadowolenie koi, słodzi, zewnątrz tylko razić mogące dolegliwości. Każdy ma pewną miarę miłości własnej i im ta mniej żąda od świata, mniej dba o względy jego, tém więcej zapewnia sobie dostatku, bo w obrębie stanu swego sobie wystarcza; jeżeli ograniczyć umiemy potrzeby nasze, pragnienie serca i duszy tém głośniej się odzywa, bo serce pragnie kochać; wlać w nie Bóg miłość która w niemowlęciu już znak pieczętą ku matce daje. Gdym pierwszy raz dziecięcym szukała umysłem przyszłości, myśl ma nie błąkała długo, cichego, spokojnego życia zapragnęła, a serce mocniej biło ku Stwórcy, poczułam że Go nad wszystko kochać należy, On to zaspokoi kiedyś pragnienie duszy bo nic na ziemi nie ma co jój wystarczy, co jój życie zapełni.

Marja Zar...



PROŚBA DZIECIĘCIA.



Ucisz się burzo! niechaj wietrzyk miły,
Powietrze czyści i chłodzi,
Ledwie zwrócona od brzegów mogiły,
Moja tu matka przychodzi.
O lube kwiaty! niechaj wiosny tchnienie,
Wasze kolory ożywi,
Niech tak się cieszy całe przyrodzenie,
Jak my jesteśmy szczęśliwi.
Od skwarów słońca, rozłożyście drzewa,
Waszych użycie jój cieni!
Niech snem łagodnym, co w nas zdrowie wlewa
Zaśnie przy szmerze strumieni.

W.



Tekla z Bielińskich

ŁUBIEŃSKA

(Wyjątek z przygotowanego do druku dzieła).



„Nie będę w sądzie mojem zbyt śmiały,
jeżeli powiem, że wiersze Łubińskiej,
iść mogą w porównanie z przedniejsze-
mi tworam i pierwszymi naszych rymo-
twórców. — (tamtoczesnych).

JAN SOWIŃSKI *O uczoŃ. Pol. str. 120.*

Tekla z Bielińskich Łubińska, żona Feliksa, niegdyś posła sejmu 1778, później ministra sprawiedliwości, urodziła się 1767 roku. Za ledwie jedenaście lat liczyła, gdy jej matka (Krystyna z Sanguszków Bielińska) rozstała się ze światem. Młoda więc sierota, wraz z dwiema siostrami

starszemi wychowaną była w domu swój babki Barbary Sanguszkowej marszałkowej W. Ks. Lit. która, obok owego czasu świetności odbitków, posiadała i cnoty staropolskie. Dom jej i ześrodkowaniem obywateli polskich, i zbiorem cudzoziemców sławnych, nieraz się odznaczał. Gdy ze wsi przeniosła się do Warszawy, odblask wieku i dworu Stanisława Augusta nie zaciemniał obowiązków jej domowych i nie był zawadą do moralnego wnuczek prowadzenia. Odmet świata i zwyczaj ówczesny, sprawiły jednak, iż wychowanie młodej Tekli Bielińskiej, było pod sterem cudzoziemców. Złe to, doszło na nieszczęście babki i wnuczki do tego stopnia, że wkrótce wychowanka, otoczona francuzami, zapomniała języka kraju własnego, w którym się urodziła i w którym żyć miała. Wiemy to od jej pokrewnych, iż gdy poszła za męża, mając wtedy zaledwie lat piętnaście, *ani słowa* już mówić nie umiała po polsku. Staraniem męża najpierwszém, było sprostować wadę złego wychowania swój młodzietki jej żony: — okazał jej więc sromotę polki nieznającej i niemówiącej językiem rodowitym, — i sam zaczął uczyć małżonkę po polsku. Wrażliwość umysłu i chęć poprawy były w młodej ziemiance naszej tak wielkie, iż w bardzo krótkim czasie nauczyła się po polsku zupełnie mówić.

W kilka lat potem, z łatwością niepojętą pisała już prozą i wierszem polskim;— niktby jednak czytając jej dzieła, nie domyślił się tego, że mowa ojczysta tak długo dla niej obcą była.

Chociaż Tekla Łubieńska, tak nadzwyczajną posiadała pisaną łatwość; choć wszyscy znajomi podziwiali zawsze lekkość jej stylu, bogactwo myśli i uczuć; chociaż pisma jej wtedy z takim zajęciem czytane, i z powszechnymi niemal przyjmowane były pochwałami,— nie zajęła jej nigdy jednak myśl płocha sławy autorskiej tak szkodliwa dla kobiet, a nawet zębna.

Matka liczego potomstwa, zupełnie poświęcała się prawie dzieciom i mężowi, a pisywała tylko w chwilach wolnych od zajęcia się domem! Nieraz po-nad kolebką chorującego dziecięcia; lub podczas ciszy nocnej, gdy cierpienia własne snu ją pozbawiały; — wśród nigdy nie spoczywającej wyobraźni i zawsze niemal wrzących uczuć, powierzała zwykle papierowi swe myśli. Te tworzyły nieraz kilkadziesiąt wierszy, których, dla braku czasu, nie miała później możności przejrzania i poprawienia. Tak napisała tragedję pod nazwą *Wanda* (wierszem, w pięciu aktach) która była grana na teatrze warszawskim. Później napisała dramę historyczną we dwóch aktach, wierszem, pod napisem: *Karól Wielki i Witykind*, przedstawioną po raz pierwszy na teatrze narodo-

wym 5 grudnia 1807 (z muzyką Józefa Elsnera) w przytomności króla saskiego Fryderyka Augusta, księcia warszawskiego. Obie sztuki wystawiane na scenie naszej, mile od powszechności polskiej przyjmowane były, bo odpowiadały duchowi czasu. Rozbiór ich bardziej szczegółowy, oprócz pism ówczesnych, znajduje się w dziełku Sowińskiego o *uczonych Polkach* 1). Autorka, o której tu mówimy, zostawiła jeszcze prócz tego mnóstwo w rękopiśmie wierszy ulotnych, w których (nam przynajmniej znanych) przebija się żywość myśli, oraz pełne wdzięku i łatwe rytmowanie. Jój téż winna scena polska kilka tłumaczeń sztuk teatralnych Woltera, owój wyroczni ówczesnej, a raczej tylko-co minionego wtedy wieku XVIII.

Wiele przez nią wiérzszem pisanych modlitw, znajduje się drukiem ogłoszonych, w niedawno nawet wydanych książkach polskich do nabożeństwa.

Nigdzie pod temi modłami nie ma podpisu; nikt się więc nie domyśla nawet, że w nich odlała się dusza tkliwej i poczciwej kobiety; są to pienia błagalne w zmartwieniu, za umarłych, za dzieci, za rodziców, za męża, i t. p. które

1) Szczegółów zaś życia, które tu podajemy, ani innych o niej wiadomości, w pomicaioném dziełku nie ma.

obejmują w sobie wszystkie uczucia i całe życie kobiety. Wszystko, co otaczało Teklę, podawało dla jęj wyobraźni rymotwórczję, wątek do pisania. Uroczystości w kole rodzinném, nieraz ją powoływały do napisania sceny dramatycznęj, lub sielanki (tak podówczas będącęj w modzie);— a jakkolwiek podobne okoliczności często się zdarzały, pełna jednak wdzięku i różnaitości imaginacja Tekli, wszystkiemu starczyła— i nigdy powtarzanęj, w tych dramacikach pokojowych, myśli nie było. Przedstawicielami tych jęj utworów okolicznościowych, były zwykle własne dzieci,— a cel główny polegał na sprawieniu niespodzianki lub zdziwienia miłego istotom drogim. Pisywała tóż i inne stosowne do czasów w których żyła poezje, skazane dziś na zapomnienie chwilowe.

Przejażdżka po kraju odbyta, i zaszłe podczas drogi zdarzenia, nie uszły dowcipnego jęj opisu, w którym, nędzne karczmy dawnięjsze, brudne żydostwo, błota, niewygody i mosty,— wszystkoto, z takim wdziękiem i lekkością skreślane bywało, iż niejednemu trudno było pojąć, jak to samo pióro, malowało raz rzewne, pełne wyrazu i uczucia obrazy, drugi raz zapuszczało się w dowcipną i wesołą humorystykę. Takiem tóż było, (jak powiadają znajomi i rodzina) całe istnienie Tekli:— postać mało-znacząca zrazu; w oczach

tylko cała przebijała się dusza; zdrowie wątłe i znekane, lecz nabierające sił wtedy, gdy drudzy potrzebowali pomocy. Sama prawie kształciła synów; sama przykładem i słowy uczyła córki trudnego żony i matki zawodu.

Piśmiennictwo, było tylko dla niej rozrywką i wytchnieniem po téj ważnej całego życia pracy; — a największą może jój zasługą, większą nawet wedle niektórych od stworzenia dziesięciu książek, jest to... iż wychowała dziesięcioro dzieciak. Wolna od zarozumiałości autorskiej, mało ceniła swe prace rymotwórcze, i (według zeznań rodziny) żądała wyraźnie aby ich nie podawano nigdy do drukn. Więcej jeszcze tę skromność cenić będziemy, gdy wspomnimy, że wśród nie władających jeszcze wtedy piórem polskiem kobiet, Tekla była rzadkiem zjawiskiem, jednym z pierwszych jaśniejących lub tylko-co jaśnieć zaczynających meteorów. Sama wyraża we wstępie do swoich wiérszy, iż wtedy kobiéta rymotwórka była rzadkością, i dla tego zapobiega, aby się nikt temu nie dziwił, mówiąc:

Niechaj nikogo to nie zastanawia
Że się kobiéta wiérszykiem zabawia,
Dla czegoż, proszę, w terażniejszym czasie
Mieścić się także nie mamy w Parnasie?

Wątpiła, nieodpowiedna wewnętrzności duszy, jej fizyczność, nie podolała silnej działalności umysłu, gorącym uczuciom i władzy zbyt rozognionej wyobraźni;— jako kwiat ciepłem zbyt niemię silnie i rychło wybijały, za małą nawet zmianą snadno będzie zwarzony i lekko zwiędnieje:— tak podobnie zwiędła i znikła jej siła życia. Tekla wprawdzie, świeciła wówczas jak meteor, ale też jak meteor i zgasła. Było-to w roku 1810. Mąż jej, jako ówczesny minister sprawiedliwości, miał polecenie wprowadzenia kodeksu francuzkiego w Krakowie, dnia 15 sierpnia. Balem świetnym miał zakończyć tę uroczystość. Śród przygotowań do tej uczty, obok wszystkich zgromadzonych zewsząd znikomości światowych, Tekla dostała nagle zapalenia mózgu— i w kilka niemal godzin, umarła na rękę męża, który ją ubóstwiał,— a który jako urzędnik publiczny, tak wielką boleść kryjąc w sercu, z uśmiechem prawie musiał cały Kraków u siebie wieczorem przyjmować i patrzeć z przeciwnym wewnątrz uczuciem na tańce i uciechy!..

H. Skimborowicz:

Dołączamy tu jeden z wierszyków Tekli Łubińskiej, aby dać wyobrażenie o sposobie jej pisanania.

PORÓWNANIE.

W jednym wzrastają ogrodzie
Fijołek z różą rumianą;
Ten się zwykł ukrywać w chłodzie,
Ta chce zawsze być widzianą.

Choć odmiennie kolorem
Skłonność miewają wzajemną,
Oboje piękności wzorem
Wabią swą wonią przyjemną.

Z jednej ziemi czerpią życie,
Toż samo ich słońce grzeje;
Ten przy świetle rośnie skrycie,
A ta od blasku wędnieje.

Gdy rosa w wieczór na kwiaty
Srebrne krople rozpościera,
Ten się kryje do swój chaty—
Ta zupełnie się otwiera.

Jeden rośnie wśród pokrzywy,
Druga kolcem opasana,
Ten, bo chluby nie jest chciwy,
Ta, by trudniej być zerwana.

Nizli znajdę jego w trawie
Bytność zapachem zgaduję,
Tój piękością oko bawię
Pierwój, niż jój woń poczuję.

Często wśród ludzkiej natury
Taki obraz się zobaczy,
Różą jest pięknosc figury
Fijolek dobroć serca znaczy.

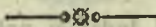
Pięknosc sama w oczy wpada,
Lecz na blasku krótko żyje,
Jeżeli jeszcze żyć rada
Pod cień skromności się kryje.

Chcąc korzystać z rozwinięcia,
Najpiękniejsza jój ozdoba
Zbierać rosy przymilenia,
Wtenczas trwale się podoba.

Dobroć podobna jest kwiatu
Co schroniony wśród doliny,
Na pozór nieznaný światu,
Odkrywa się przez swe czyny.

Światła promień ją pomnaża,
Przed pochlebstwem się ukrywa,
Z kim obcuje nie uważa,
Dla złych nawet słodką bywa.

A kiedy się zejda społecm
Dobroć serca, z piękną twarzą,
Jednym stają się żywołem,
Prawdziwe szczęście kojarzą.



SEN S. KAZEMIRA 1)
KRÓLEWICZA POLSKIEGO.

(obrazek z roku 1469).



Po szczytcie Wawelu około królewskiego zamku
przechadzał się mąż poważny, miernego wzrostu,
szcuplej ale przyjemnej twarzy, i udatnego ciała,

1) Imię to zmieniło się w używaniu; po staremu z słowiańska mianowało się *Kazemir*; to jest: rozkazuje pokój, nie *Kazimir* jakoby psował pokój. *Mir*, jest to, co pokój i przymierze zowiem.

Skarga w Żywota'ch Świty'ch wydanie z r. 1615.

obok niego postępował dorodny młodzian; chociaż żywą prowadzili rozmowę, oczy ich często zwracały się ku zawiślańskiej stronie, ztamtąd bowiem miał wracać Kazemir Jagiellończyk od czterech miesięcy na Rusi bawiący — a tym młodzieńcem był najstarszy syn jego Władysław — a towarzyszącym mu nie kto inny, tylko Jan Długosz, nauczyciel królewiczów, podówczas kanonik krakowski. I zatrzymali się chwilę, rozmowa ich coraz żywszą być zaczynała, młodzieńca oko silniejszym zabłysło ogniem, a Długoszowi zapał mówcy zwykle jąkanie odejmował. Wspominali właśnie o niedawném poselstwie króla Jerzego, który następcą po sobie, na tron czeski, królewicza polskiego mianować obiecał, a troskliwy nauczyciel czuł obowiązek przedstawienia młodemu wychowankowi jak się do przyszłego panowania gotować powinien, jak kształcić pilnie serce i umysł, by szczęście przyszłych poddanych zapewnić potrafił.

Przed nimi postępowali trzej młodszy królewiczowie, jedenastoletni Kazemir, nadzieja narodu, na niego bowiem tron polski spadał, jeśliby Władysław miał Czechom królować; dalej Jan Albert i Alexander.

Jan choć rokiem młodszy od Kazemira, przebiegł go wzrostem, jednakże w tej wysokiej postawie nie było pochylenia, czoło wznosił jak

bujna topol co wybiegłszy nad poziom ziemi nie schyli się ku drobnej trawce, nikłego kwiatka główki nie dojrzy — tylko coraz wyżej się wzbija, tylko same wzniosłe podziwia przedmioty; i on postacią równy topoli, dążeniami wznosił się także i dla tego nad wszystkie nauki w których się ćwiczył gorliwie, wybrał historję — ukochał ją jedynie.

Włos czarny, rzadki, w nieładzie spadał mu na ramiona, oko ciemne jaśniało dowcipem, męztwem i przenikliwością — lecz obok tego był w nióm jeszcze szczególny wyraz nakazującej powagi — dla której od młodu dumnym go nazywano.

Alexander przyjemniejszy był powierzchowności; w łagodnej jego twarzy, zadumanej częstokroć, odbijał wyraz jakiegoś wrodzonej szczodroty, a chociaż nie zbywało mu na męskiej odwadze, więcej jednak do brata Kazemira był podobny niż do Jana.

Ale téż Kazemir to był istny anioł — delikatny, drobniutki, nadobny: jasny włos jego jak promień nieba oświeślał śliczną twarzyczkę, a w błękitnych oczkach prawdziwie niebieskie barwy z niebieską łączyły się słodyczą.

— Bracia, rzekł Jan, cóżto? czyż my jak białogłowy postępować będziemy, krok licząc za krokiem, czyż brakło w nas męskiej siły? I po-

brzęknął szabelką zawieszoną u pasa — Nasz mistrz szanowny tak dziś zajęty rozmową, że nie wyznaczył nam ćwiczenia, bawmy się więc w wojnę — ja zwołam dworskich, wam rozdram hetmaństwa i zrobimy wyprawę na Turków o pomszczenie śmierci ukochanego stryja naszego, 1).

— Pozwól, bracie, rzekł Kazemir iż ja do tej zabawy należeć nie będę, nie lubię wojny, wojna łązy, żalobę, spustoszenie niesie, pocóż w zabawie wznawiać jej wspomnienia, do okrucieństw hartować serce?

— Jako, zawołał Jan żywo, takież to mowa przyszłego króla, taką on odwagą posiadłości swych bronić, granice rozszerzać i umacniać zamysła? Wszakże wiesz że gdy Władysław czeską osiągnie koronę, na ciebie z kolei starszeństwa, po ojcu dziedzictwo tronu polskiego spada.

— Daj Boże, Kazemir odpowiedział, ażeby pan mój i dobrodziej długo, długo szczęśliwie królował; niechaj ja wprzód umrę, a na ojca miłego śmierć nie patrzę. Na królestwom nie łakomy, ani godny 2).

1) Wiadomo że starszy brat Kazemira Jagiellończyka, Władysław zginął pod Warną w wojnie z Turkami.

2) Własne są słowa Ś. Kazemira, patrz Żywoty Świętych Skargi.

Lecz wszakże, bracie, beze mnie znajdziesz liczne grono, ja inaczej wolnej chwili użyję— To mówiąc tak przyjacielsko dłoń mu podał, tak słodko uśmiechnął się ku niemu, że rozbroił gniew powstający i uściśnieniem wzajemnym dówód zgody odebrał.

— I ja też wolę bawić się z Kazemirem powiedział Alexander, jego zabawy nie tak głośne, nietyle przy nich mówić trzeba, a częstsza sposobność jakim darem ucieszenia, potrzebujących albo życzliwych 1).

I rozłączyli się— Jan pobiegł szykować hufce do boju, a dwaj bracia jego, ołtarz Najwyższemu Panu stroić zaczęli.

Działo się to przy końcu kwietnia; już ciepła wiosna zazieleniła łąki i drzewa, już wiele wczesniejszych kwiatków różnobarwne wychylało główki, nie trudno było młodemu królewiczom znaleźć ołtarza ozdoby. Wybrali więc jeden duży, skalisty odłam, mchowe na nim usłali pokrycie, z młodych powtykanych w ziemię drzewinek jakby oparcie zgotowali. Potem wynaleźli dwa równe bezlistne pręciki a zwiąawszy je łykiem w kształt krzyża, ustawili na przysposobionym ołtarzu; wien-

1) Wiemy z historii że Alexander był mało-mówiący i hojny.

ce z złocistych sasanek i modrawych pierwiosnków, uzupełniły to dzieło, sam krzyż, unosił koronę z wonnych fijołków.

I ukłękli obadwa u stóp tego ołtarza, nabożnie złożyli ręce, oczy ku niebu podnieśli, a usta ich, tłumacze wierne, czystej, niewinnej myśli, krótką ale treściwą modlitwę powtórzyły. Potem Alexander 1) silnym a dźwięcznym głosem, przy cicho harmonijnym wtórze brata, zanucił ulubioną pieśń Kazemira do Przenajświętszej Panny Marji, temi zaczynającą się słowy.

Nad wsze nadziejo przemiła

Tyś wszystka niebieska siła,

Tyś rozkosz bywała rajskiego,

Tyś tron królestwa niebieskiego 2).

Przebrzmiały nareszcie te dwa młodociane głosy, a po ostatnim tonie pieśni cisza nastąpiła głęboka, zamyślili się oba, słuch ich natężył się mocno, Kazemirowi się zdało, że słyszy jakąś naziemską harmonję, że aniołów chóry nucają pieśń uwielbienia, a Fryderyk dosłyszał tylko

1) Alexander bardzo lubił muzykę— ona najmilszém była jego upodobaniem.

2) Pieśń ta napisana przez Jana Przeworszczyka wydrukowana w kancjonał. tegoż autora r. 1435.

koniec hymnu *Boga-rodzico!* którym mniemane chorągwie Jana do bitwy się gotowały. Niedługo donośna zachęta „naprzód wiara!“ 1) i huczna odpowiedź zaczynających bitwę wyraźniej słyszeć się dały, Alexander nie mógł się oprzeć pierwszemu popędowi, serce mu mocniej bić zaczęło, porwał się z miejsca i zwałwo pobiegł połączyć się z walczącymi.

Każemir zaś niezważający nawet na odejście brata oddawał się lubemu upojeniu, ależ mimo zajęcia się miłym marzeniem, widoczne utrudzenie mało wało się na jego anielskiej twarzy. W samej rzeczy bowiem kilka bezsensnych poprzednio strawił nocy, uczył się pilnie długiego powitania dla ojca lada dzień wrócić mającego ze Lwowa, a które mu szanowny mistrz Długosz w polskiej ułożył mowie 2).

Przymknęły się błękitne oczki, złożone rączęta ku piersi się przysunęły,— a główka pochylona bezwładnie wsparła się lekko na umajonym kamieniu, sen go ogarnął tak słodki, tak spokojny, jak myśli świętej dzieciny.

1) Wyrazu tego używano dla oznaczenia wojowników, stąd może powstał *wiarus* (żołnierz), zapewne wyrażenie to brzmiało dawniej „naprzód z *wiarą*.” Zawsze pokazują piękne religijne usposobienie narodu.

2) M. Wiszniewski wspomina o tem powitaniu.

Widzi przed sobą błękitny przestwór gdzie-
nie-gdzie białym, śnieżystym zasuty obłoczkiem;
obłoczki te w różnych bujające postaciach łączą
się zwolna, jednoczą ściśle i otóż dwa duże utwo-
rzywszy kształty, widocznie zniżają się ku ziemi;
wiatr nimi lekko kołysze, coraz to niżej— ni-
żej się suną. Staęły— Kazemir spogląda ku
nim, oczom nie wierzy— cóż to za dziwy!

Ten z lewej strony— rozliczne chóry cudnych
aniołków mieści wśród siebie. Nętna ich po-
stać, a jakie szaty! Jasne, szkarłatne, z srebrzy-
stych, z złotych utkane nici. Skrzydełka z sa-
mych drogich kamieni; każdy piękniejszy, rzadszy
niż drugi, a całość taka, że nic równego w stro-
jach niewieścich nigdy nie widział, nawet w bo-
gатым skarbcu królewskim nic podobnego nie
było. Stoją rzędami, jakby na łące uroczym
kwiatem usłanej, a woń tych kwiatów, kształty
i barwy piękniejsze niżli w naturze. I każdy
anioł ma w jednej ręce jakie muzyczne narzędzie,
a drugą z niego, w rajskim zachwycie, cudowne
tony dobywa.

A dwóch aniołów najbliżej niego jakby w po-
wietrzu zawisłych, bujając lekko, trzymają w dło-
ni, cudną królewską koronę. Z samych brylan-
tów jest ta korona, brylanty duże, ślicznie oprawne,
łona z nich bije, blask taki pała, że aż lśni
oczy.

Ten z prawej strony, także aniołów unosi chóry, ale ich szaty nie z ziemskich wzorów, nie z srebrnych tkanin, złota, klejnotów, lecz z pereł rosy, z gwiazdek błyszczących, z jasnego słońca promieni. A ich skrzydełka wszystkie jednakie, z tęczy kolorów utkane, a zamiast dźwięku stron różnotonnych, z ustek ich pienia dźwięczniejsze płyną, niż harfy tony, niż liry brzęki, niż odgłos lutni Dawida. Nie na majowej stoją dąbrowie, nie kwiaty depcą ich stopy; lekki obłoczek buja pod niemi, ale ich postać lżejsza, lotniejsza zda się nie tykać obłoku. I znów na przodzie dwaj oddzieleni, z zamdloném oczkiem, trzymają w dłoni: koronę... ostrą... cierniową.

Każemir patrzy, dziwi, uwielbia, muzyki słucha, to znów na-przemian ucho podaje nęcącym tonom słodkiego chóru. A wtém z wysoka jasność zabłysła, dźwięki ustały, ucichły śpiewy i głos istoty niedocieczonej wyrzekł straszliwie: „wybieraj“! Zadrżał Każemir, oczęta zwrócił wlewo, to wprawo; błogie uczucie sercem owładło— wyciągnął dłonie.... Zgadujcie, dziatki, co on wybiera?— Ha! wyście zgadły,— wyciągnął dłonie, tak— po cierniową koronę.

Zaraz uczucie rajskiego szczęścia wstąpiło w duszę— obłoczek lewy zniknął z przed oczu, prawy się wznosił, a przestwór nieba nagle zabłysnął, jakby się rajskie rozwarły wrota, lecz tego szczę-

ścia i blasku tego, ziemską naturą znieść nie zdołała, i z takich marzeń młody królewicz do życia budzić się musiał.

Ale snu tego pamięć wielkie na umyśle jego zrobiła wrażenie, nie uważał go jako przemijającej mary uludy, lecz widział w nim raczej objawienie woli boskiej— poszedł za przewodnikiem samego natchnienia, cierniową Chrystusa ukochał koronę, dla niej królewską pogardził 1).

Odsunął się od świata, na modlitwie i dobrych uczynkach pędził życie, szczególniej dokładał gorliwości do rozszerzenia wiary katolickiej— a kiedy ciężka złożyła go choroba, wołał śmierć niż odstąpienie od raz przyjętych zasad, niż powrócenie na łono świata. Młodo bardzo życia dokonał, bo w dwudziestej czwartej wiosnie, ale długie lata cnym żywotem zastąpił— i po śmierci papież Leon X, świętym go kanonizował, a Polska w poczet patronów swoich policzyła.

W. T.

1) Kazemir nie przeżył wprawdzie ojca, ale węgry tron mu ofiarowali— on jednak tak wyjazd zwlekał że inni wyprzedzić go musieli.



PODRÓŻ DO DZIADUNIA.



W pięknym dniu wrześnieowym siedziała przy otwartém oknie, wychodzącym na ogród, młoda, bardzo przyjemna osoba, zajęta robotą w krośnach. Była to pani W. mąż jój wyjechał w drogę daleką, ona tymczasem skracała chwile rozłączenia, pracując nad pięknym dla niego czaprakiem. Często troskliwe spojrzenia zwracała w ogród, po którym dwoje jój dzieci wesoło biegało, zbliżyły się nakoniec do okna przynosząc matce koszyk pięknych śliwek, które uzbierały dla niej; uściskała je pani W. i położywszy igłę, zaczęła jeść owoce, od tak miłych jój istot ofiarowane. Syn mający lat ośm, nazywał się Zdzisław, w jego oczach małowała się szczerść i odwaga, a rukiem od niego młodsza siostra Wandzia, była obrazem słodyczy i łagodności. Oboje byli

posłuszni, pilni w nauce, zgodni z sobą, i zawsze grzeczni, kochali ich też nietylko rodzice, ale domowi, i wszyscy nawet uczęszczający do domu państwa W. Zaczęły się wypytywać matki, kiedy ich ojciec powróci: a gdy im z westchnieniem powiedziała, że to jeszcze nieprędko nastąpi bo go ważne sprawy zatrzymują w stolicy, zasmuciły się ich rumiane twarzyczki, i spytały się jeszcze, czy ich pochwali przed ojcem gdy przybędzie po ukończeniu interessów. Wtém wszedł rządca dóbr państwa W. i oznajmił pani, że dozorczy leśni, odkryli w ich obszernych lasach bandę cyganów, co wytłumaczyło kilka w wioskach popelnionych kradzieży. „Lituję ja się nad tym nieszczęśliwym ludem, rzekła pani W. bez przytułku, bez domów, najczęściej bez chleba, tułają się po obcych ziemiach, prześladowani, wypędzani zewsząd, najędzniejsze wiodą życie, chętniebym męża mojego do tego skłoniła, aby im w dobrach swoich, naznaczywszy grunta, pozwolił zamieszkać, gdybym nie była przekonaną, że to nieczne plemię, próżniactwo nad wszystko przekładając, woli utrzymywać się niegodnym człowieka rzemiosłem, niż zarabiać na chleb uczciwą pracą.“ Rządca potwierdził słowa pani, mówiąc: że lud ten niegodzien litości, i że dla bezpieczeństwa biednych kmiotków, trzeba się postarać o jego prędkie oddalenie, dodał jeszcze

że dwaj chłopcy wiejscy zagłębiwszy się w las, szukając zabląkanój jałówki, zbliżyli się nieopstrzeżeni do ogniska cyganów, i zapewniają że między nimi widzieli dziecię mające płeć białą i delikatną, które nie miało pewnie więcej nad lat trzy, że to dziecię było bardzo smutne, i prawie ciągle płakało, gdyż najniegodziwszego doznawało obejścia. Łzy zakręciły się w oczach dobrój pani W. i jój dzieci. Te ostatnie zaczęły całować ręce matki i prosić ją aby kazała odebrać szkaradnym cyganom, to biédne dziecię, które zapewne za matką płacze i tęskni. „U ciebie droga mamó! mówiły z czułością, będzie mu tak dobrze, jakby u swoich było rodziców: ja mu dam, jeżeli pozwolisz, rzekła Wandzia, co mu do ubrania jest potrzebném, będę go bawić, dawać mu owoce, ciasteczka, cukierki, i kochać zaraz po braciszku; a ja dodał Zdzisław, nie pozwolę nigdy aby mu ktokolwiek co złego uczynił, nadewszystko będę go bronił od tych niegodziwych cyganów, a jak już podrośnie, będę go uczył czytać, pisać, i wszystkiego czego tylko sam się nauczę. Z prawdziwém zadowoleniem słuchała pani W. projektów swych dzieci, malujących ich dobre skłonności; ale próśby ich były zbytne, bo tkliwe jój serce, już jój pierwej natchnęło zamiar wybawienia tój nieszczęśliwój ofiary, i oddania jój rodzicom, jeśli ich

zdoła wynaleźć, a w przeciwnym razie zajęcia się jój wychowaniem i ustaleniem dalszego losu. Zaleciła więc rządcy, aby dnia jeszcze tego kazał wieśniakom udać się w miejsce przez cyganów zajmowane, otoczyć tych włóczęgów wokół, odebrać nieszczęśliwe dziecię i przynajmniej kilku prześladowców jego pochwycić, aby się od nich dowiedzieć, gdzie i kiedy je porwali, czuła bowiem że jeżeli żyją jego rodzice, sroga boleść uciskać ich musi, po tak okropnej stracie, pragnęła więc jak najprędzej łzy ich osuszyć. Spełniono natychmiast rozkazy pani W. kilku cyganów zostało przytrzymanych, ale zabobonni wieśniacy, zagrożeni od nich czarami, puścili ich wolno, i z całej téj wyprawy, tylko białe przyniesiono dziecię. Tak więc zaginął wszelki ślad, po którym dojszby można do dawców jego życia. Była to czteroletnia, blada i mizerna dziewczynka; szczątki jój odzieży okazywały, że nie z pod wiejskiej kmiecia strzechy ród swój wieździe; tyle zaś tylko po długim wypytywaniu dowiedzieć się od niój można było, że się nazywała Helenka. Pokazywała także, że jój tata w ziemi, a mama tak daleko, i wtenczas, za ledwie pojmovać zdolne dziecię gorzko płakało, bo miłość ku rodzicom wtedy już serca nasze napęlnia, gdy jeszcze usta nazwać, a myśl pojąć jój nie może; jest ona najpierwszą, a oraz wieczną,

niezmienną miłością; od kolebki do grobu nam towarzysząc, wśród burz i niebezpieczeństw życia, ścieżką nas cnoty prowadzi i często nad brzegiem przepaści wstrzymuje. A jeżeli nawet wyroki nieba wcześniej nas pozbawią tych ukochanych istot, pamięć ich zawsze nam drogą, zawsze nieodstępną zostanie, smutek zasępiający nasze czoło, westchnienie zawsze hołd cieniom ich składać będzie.— Uspokajała się stopniowo mała Helenka wśród czułych starań pani W. i pieśczoć jój dzieci; smakowały jój cukierki, pierniczki, i inne dobre rzeczy, które jój Wańdzia często dawała, cieszyły ją zabawki dostarczane przez Zdzisława; odzyskała w krótkce zdrowie i wesołość, róże znowu zakwitły na jój małej twarzyczce, zdawało się że nic jój nie brakuje do zupełnego szczęścia, często jednak wołała ze łzami, matki, chciała ją widzieć i pójść do niej. Żal tak głęboki, w tak młodem dziecięciu; rozdzierał czule serce jój opiekunki, która, chociaż już mocno się przywiązała do dobrej i łagodnej Helenki, starała się przecież najusilniej o wyszukanie jój matki. Nieraz myślała sobie że ta nieszczęśliwa jęczy pod ciężarem okrutnego ciosu, a ona sobie przywłaszcza jój skarb najdroższy. Pan W. powróciwszy do domu połączył swoje zabiegi z usiłowaniami swój żony; wszystkim znajomym opowiadali szczegóły znalezienia dzie-

cięcia, prosząc aby im dopomogli do wyszukania jego rodziny, ogłosili to zdarzenie w pismach publicznych, ale, nieszczęsném przeciwnego losu zrządzeniem, wieść ta nie doszła uszu rozpaczą miotanej ofiary, której się tyczyła. — Rok ciągłych trudów minął, a nikt się nie zgłaszał, państwo W. pewni że matka Helenki przypłaciła życiem utratę swój córki, zaprzestali bezużytecznych poszukiwań i nie czyniąc żadnej prawie różnicy między nią i swemi dziećmi, zajmowali się jój wychowaniem. Zdzisław i Wańdzia kilkoma laty od niej starsi, więcej posiadając wiadomości, szczęśliwi byli, gdy im pozwolono uczyć czego małą Helenkę; z większą jeszcze niż dawniej pilnością i uwagą słuchali dawanych im nauk, aby je mogli małej udzielać dziewczynce, starali się zawsze być grzecznymi, i uprzejmymi, aby jój dobry dawać przykład. Ale i Helenka nie była niegodną tylu starań i troskliwości, najtkliwszą okazywała wdzięczność swoim opiekunom, z zadziwiającém w jój wieku pojęciem umiała cenić ich dobrodziejstwa, na każde ich skinienie była posłuszną, kochała ich, wielbiła jak własnych rodziców, i razem z Zdzisławem i Wańdzią była rozkoszą państwa W. zdawało im się że troje mieli dzieci. Sama Helenka zapominała niekiedy że nie była ich córką, tak rodzicielskiego od nich doznawała przywiązania, ale gdy

wyraz sierota obił się o jęj uszy, głęboke westchnienie wydobywało się z jęj piersi.— Tak upłynęło lat pięć. Helenka była nadzwyczajnie miłą i ładną, przytęm posiadała rozsądek i do-wcip. Korzystała z nauk, wiele miała zręczno-ści w robotach ręcznych, i do talentów, szcze-gólniej rysunku, wielką okazywała zdatność.

Pani W. nie miała już matki, ale ojciec jęj żył jeszcze, był to cnotliwy, uczony i przyjemny starzec, kochała go nad życie jego dobra córka i dwa razy do roku odwiedzała w jego dobrach, o kilkadziesiąt mil; od dóbr jęj męża odległych; brała niekiedy i dzieci z sobą— Zdzisław i Wan-dzia znali i kochali serdecznie swego dziadunia. Ale już od kilku lat i córka i wnuczki nie wi-działy go, bo dla polepszenia zdrowia wyjechał do Włoch, i znaczny przeciąg czasu tam prze-pędził. Jednego dnia wrócił posłaniec z poczty i oddał pani W. list, który ona czytając zlewała łzami radości i z uniesieniem do ust przyciska-jąc, pobiegła do pokoju męża, a po krótkiej z nim rozmowie wyszła.— W oczach jęj, w któ-rych jeszcze ślady łez widać było, jaśniał wy-raz szczęścia. Zawołała dzieci i oznajmiła im że za trzy dni wyjeżdża do dziadunia i ich z so-bą bierze; że już z Włoch do zimniejszej, mil-szej mu jednak nad Auzońskie krainy, wrócił ojczyzny, że jest zdrów zupełnie, tylko pragnie

ogłądać drogie sercu swemu istoty, i prosi córki, aby wraz z mężem nie zwlekała swego przyjazdu, aby zabrała z sobą jego ukochane wnuki; że ich czeka z otwartymi rękoma i piękniemi z Florencji, Rzymu i Wenecji podarunkami. Ucieszyły się niezmiernie dzieci tak miłą nowiną, spytały się matki czy i Helenka z niemi pojedzie, a gdy powiedziała, że ich nie rozłączy z przybraną siostrzyczką, zaczęły skakać, klaskać w ręce, biegać po całym domu, wszystkim opowiadać o swoim szczęściu. Naprzód upajały się już radością widzenia dobrego dziadunia; mówiły o darach, które dla nich przygotował, wyobrażały sobie że to były widoki pięknych okolic, z których powracał, książki z obrazkami, gustowne sukienki, obiecywały Helenci podzielić się z nią tém co dostaną. — Wszystko troje układały sobie z uwagą słuchać, gdy im dziadunio opowiadać będzie, o zwyczajach, płodach, i licznych osobliwościach włoskich krajów. — Helenka lubo nie znała wcale ojca swojej opiekunki, tak już nawykła była dzielić równie smutki jak i uciechy rodziny, która ją na swe łono przyjęła, że się wespół z swemi małymi przyjaciółmi weseliła z wypadku, który im roskosz sprawiał. — Nie mało także przyjemności obiecywały sobie dzieci z czekającą je podróżą; działo się to w jesieni, porze roku często najpogo-

dniejszej w naszej strefie, ciepło przyjemne czuć się dawało; ale upały nie dokuczały już więcej; rok ten był nader obfity i urodzajny, drzewa gięły się pod ciężarem dojrzewających owoców, dzieci już sobie zawczasu łądowały koszyki, w które na drogę miały chować zapasy żywności. Trzy dni poprzedzające ich wyjazd zeszły na pakowaniu, wybieraniu się, nie było już żadnych lekcji. Nadszedł nakoniec ten dzień pożądany, dzieci noc całą mało spały, a ledwie świtać zaczęło, wstały śpiesznie obie dziewczynki, ubrały się prędko, a zmówiwszy pacierz i poranne modlitwy, wyszły do salonu, gdzie już Zdzisław zupełnie ubrany oczekiwał na nie, pobiegli razem powiedzieć rodzicom dzień dobry.— Państwo W. zajmowali się już przygotowaniami do podróży, służący pakowali walizy i tłumoki. Wkrótce wszystko było gotowe, jednak chwile oczekiwania zbyt się długie wydawały niecierpliwym dzieciom, ziedli nakoniec śniadanie, a pożegnawszy czule ojca, który dla ważnych zatrudnień nie mógł towarzyszyć żonie i tylko obiecywał później za nimi pocztą do dziadunia pojechać. W siedli z matką do koczka, a pozdrawiając zebranych domowników, wesoło ruszyli w drogę. Gościńiec był gładki, konie dobre, powóz toczył się szybko; mijali wioski, pola i lasy, tysiące nowych, a niekiedy zachwycających ukazywało

im się widoków; niezmiernie bawiły ich popasy i noclegi w oberżach, a czasem i nędznych karczmach, bo nowość nie tylko dzieciom, ale nawet i starszym często miłą się wydają. Znosiły więc bez szemrania wszelkie niewygody, kurz, a gdy w południe wypadło jechać, w zbyt mocne jeszcze gorąco, na nic nie narzekały, bo myśl że niedługo uściskają kochanego dziadunia, nagradzała te małe przeciwności. Zatrzymali się w przejeździe przez Puławy. Zdzisław, Wańdzia i Helenka, zdumieli się gdy im pokazano piękności nagromadzone w to czarujące miejsce, ich drobne nóżki przebiegały lekko wszystkie ścieżki rozległych ogrodów; wiele tam nowych dla siebie i zajmujących widziały rzeczy. Żal im było na drugi dzień ztamtąd się oddalić, prosili matki, aby jeszcze do jutra pozostać raczyła, ale ona im powiedziała: nie, drogie moje dzieci! nie mogę przystać na wasze żądanie, bo kto raz w drogę się wybiera, nie powinien marnować czasu i zatrzymywać się bez koniecznej potrzeby, lecz dążyć śpiesznie do celu podróży. Nie byłabym minęła Puław, nie pokazawszy wam tego, co w nich jest godnym widzenia, lecz dziś trzeba dalej jechać. Naznaczyłam memu ojcu pisząc do niego dzień, w którym przybyć mamy, zmartwiłby się gdybyśmy spóźnili nasz przyjazd, bo wie dobrze, że ja idąc za jego radami i

przykładem, zawsze dotrzymuje danego słowa i tylko nadzwyczajne powody mogą mi do tego przeszkodzić. I wam podobne postępowanie zalecam: nie obiecujcie nigdy tego, co nie jest w waszój mocy dotrzymać, zastanówcie się pierwój dobrze nad tém, czego po was żądają, ale gdy raz uczynicie jakie przyrzeczenie sobie, lub drugim, niechaj ono będzie niezmienném; żadne trudności wstrzymać was nie powinny, stałość i wytrwanie potrzebne są każdemu, bez nich, ani w cnotach, ani w umiejętnościach niktby nie zrobił postępów, niktby nie zdołał często trudnych dopełnić obowiązków. — Wtenczas tylko gdy nie zmiana humoru, ale rozsądek i przekonanie kierować będą waszemi krokami, gdy na waszą obietnicę kazdy z pewnością będzie mógł rachować, gdy wy sami każdą zaczęta ukończycie pracę, każde wykonacie postanowienie, choćbyście w niém tysiące napotkali przykrości, wtenczas mówię, staniecie się godni szacunku uczciwych ludzi, a serce matki waszój słodka rozkosz napełni! Tu rozrzewnienie przerwało mowę pani W. uściskały ją czule dziatki, przyrzekły wypełnić święcie jój rady i chętnie w dalszą udały się drogę. Przeprawiając się przez Wisłę, dziewczynki bały się cokolwiek, ale uspokoił ich Zdzisław, zapewniając że to jest rzeka bardzo spokojna, a kiedy nie ma burzy pró-

zną jest wszelka obawa. Urozmaicone okolice dalszej drogi mile zajmowały naszych podróżnych; nakoniec przebywszy niezliczone mnóstwo wsi, wiele miasteczek i kilka miast znaczniejszych, pełne mając głowy tylu widzianych nowości, a serce zadowolnione dobrymi uczynkami, które przy zdarzonych wykonały sposobnościach, zbliżyli się już do dóbr dziadunia; a wyjeżdżając z noclegu, już tylko jeden dzień drogi mieli przed sobą, już pewni byli że tego wieczora spełnią się ich życzenia. Pani W. była weselszą niż zwykle, częściej się mięszała do rozmów i żartów swych dzieci: słowem podróżni nasi tworzyli doskonały obraz szczęścia. Helenka nawet która bąc to z wrodzonego usposobienia, bąc też skutkiem doznanych w tak młodym już wieku nieszczęść, nigdy prawie nie poddawała się żywej, niczém nie zmieszanej radości; w dniu tym jakby także zbliżała się do drogiej sobie istoty, jakby zapomniała że jest sierotą; nie zdradzała zasmuconą twarzą żalu, który zdawał się ciągle jój duszę uciskać. Pojazd zjechał z głównego gościńca, ale to nie opóźniało bynajmniej szczęścia znajdujących się w nim osób, gdyż droga była dobra i równie prędko jechali jak pierwój. Koło południa zatrzymali się na popas w dosyć dogodnej austerji. Gospodyni skrzętna i porządna zajęła się przyrządzeniem dla

podróżnych obiadu. Pani W. usiadła tymczasem pod cienistym klonem, który stał przy wchodzie. Dzieci bawiły się w bliskości, wtém z zadziwieniem ujrzały dziwną postać, zbliżającą się ku nim, była to kobieta wysoka i niezmiernie chuda, czysto ale ubogo ciemną odzieżą okryta; siwe zupełnie włosy wymykające się z pod niedbale ułożonego czéпка, dziwnie odbijały od twarzy, która wydawała ledwie lat trzydzieści, lubo zgryzoty wyrwały już na niej swe piętno. Blask jéj dużych czarnych oczu, zdawał się być zgaszonym mnogich łez wylewem, jakaś roździerająca serce tęsknota, jakaś nieokreślona boleść malowały się w jéj spojrzeniu. Spozrzegłszy naszych podróżnych podwoiła kroku, a będąc tuż przy nich, ciekawie wpatrywała się przez chwilę w panią W. potém obracając się ku dzieciom, trochę przestraszonym jéj widokiem, oglądała je z chciwością lwicy, śledzącéj swą zdobycz. Nareszcie z poruszeniem konwulsyjném schwyciła Helenkę, a rozdarłszy rękaw jéj sukni, pilnie obejrzała znamię, na lewém jéj ramieniu będące, potém porwawszy ją na ręce przyciskała do łona z zapalem; twarz jéj tak żywym pałała rumieńcem, oczy tak nadzwyczajnym blaskiem jaśniały, usta na wpół otwarte, jakby coś mówić chciała, drżały, i żadnego głosu wydać nie mogły. Pani W. rozumiejąc iż ta kobieta ma

pomieszanie zmysłów, zbliżyła się chcąc jęj odebrać Helenkę, w obawie aby jęj co złęgo (nie zrobiła, lecz nieszczęśliwa krzyknęła przeraźliwie i moniej jeszcze ścisła dziewczynkę, która jak-by wieszczęm przeczuciem natchniona, nie starała się uwolnić z rąk tęj dziwnęj nieznanomęj; nareszcie nieznanoma zaczęła uciekać tak szybko, jakby ją ścigali zbójcy godzący na jęj życie. Przestraszona pani W. i jęj dzieci zaczęli wołać o pomoc. Ludzie ich wybiegłszy na ten krzyk ze stajni puścili się w pogoń za uchodzącą, która zobaczywszy ich blisko siebie, gotowych wydrzeć jęj skarb najdroższy, padła zemdlona. Wydarto wtenczas całą we łzach Helenkę z obejmujących ją rąk, złodowaciałych, a nieznanomą zanieiono na łóżko i udzielono wszelkięj pomocy. Odzyskawszy zmysły była w gorączce; zrywała się, wołała aby jęj ukochane oddano dziecię, narzekała na bezbożnych cyganów, wiele rzeczy bez związku mówiła. Pani W. po częsci już domyślając się prawdy, przyprowadziła jęj Helenkę: uspokoiła się wówczas cokolwiek słaba, zaczęła ją całować, oglądać jęj znamię, które zdawało się być uszczęśliwiającym ją dowodem, a strumienie obfitych łez przyniosły ulgę uciśnionęj duszy.

Oberżystka na żądanie naszych podróżnych w tych słowach opowiedziła im historję tęj osobliwęj kobiety: „Będąc młodą dziewczyną służyłam niedaleko

zład u jednéj bogatéj pani. Miała ona na wychowaniu sierotę imieniem Elizę: była to córka jéj dawnéj przyjaciółki, która po śmierci swych rodziców zostawszy bez żadnego sposobu do życia, w domu mojej pani znalazła przytułek i odebrała wychowanie stosowne do swego urodzenia. Była ona zawsze dobrą i potulną, kochaliśmy ją też wszyscy z całego serca, bo nikomu się nigdy nie naprzykrzyła, kiedy zaś kto zachorował, doglądała go po całych dniach, nieraz nawet w nocy snu się pozbawiła, aby pilnować dawania lekarstw. Pani moja, niemając swoich dzieci cieszyła się nią jak własną córką i zawsze mówiła: że jéj wychowanka odziedziczy po niéj część jéj majątku. W szesnastym roku panna Eliza była piękną jak anioł a równie słodką i miłą, wszyscy ją uwielbiali, każdy ubiegał się o jéj przyjaźń— bo przywioty jéj serca i nmysłu przewyższały piękną powierzchowość. — W parę lat później poszła za mąż za człowieka który pozyskał jéj przychyłność i szacunek; chociaż prawie żadnego nie miał majątku, bo tylko trzymał jedną wioskę w possessji, ale był bardzo uczciwym i godnym człowiekiem.— Ja w tymże prawie czasie poszłam za mego męża, lokaja przy tym samym dworze, w którym i ja służyłam. Pani Eliza często odwiedzała swoją opiekunkę, mówiła nam zawsze, że choć żyję w mierności jest je

dnak zupełnie szczęśliwą. Pani moja zamysłała za życia jeszcze zrobić jój udział z swego majątku, ale wtém dnia jednego, o! był to dzień okropny! dostała apoplexji i pomimo śpiesznego ratunku, nie mogliśmy ocalić jój życia, skołała na mojem ręku.— Tu zatrzymała się oberżystka i otarła łzy z oczu, które jój wspomnienie dobrej pani wyciskało; słuchacze lubo mocno ciekawi dowiedziéć się końca, szanując jednak jój żal, nie nalegali aby kończyła; ona samą uspokoiwszy się, tak dalej ciągnęła swoje opowiadanie: „Jak tylko zastała nieboszczka pani, daliśmy znać o tém jój wychowaniczy, przybyła ona śpiesznie, ale już tylko martwe zwłoki swojej opiekunki zastała. Długo opłakiwała jój zgon; ale nie zmartwiła się wcale, że żadnej nie otrzymała sukcesji, bo przestając na miernym męzowskim majątku, nie wzdychała za bogactwami. Znalazło się wiele krewnych, którzy zabrali dostatki mojej pani, jeden z jój ciotecznych braci objął te dobra w których mieszkała; my niekontenci z nowego dziedzica, osiedliśmy w tój oto: austerji, i Bogu dzięki, dobrze nam się wiedzie, bo choć tędy główny trakt nie idzie, wiele jednak osób przejeżdża, a przy oszczędności, nie zbywa nam na niczém. W trzy lata po ożenieniu mąż pani Elizy zająwszy się na polowaniu, dostał zgnilój go-

rączki i umarł, zostawując swoją żonę w największym żalu. Udałam się do niej aby ją doglądać, gdyż i ona z utrudzenia i zgryzoty zachorowała i o mało-co także nie zstąpiła do grobu, ale pozostawała jej dwuletnia córeczka Helenka, dla której żyć pragnąc, żal swój poskromiła. Nakoniec przy nieba pomocy odzyskała zdrowie, i odtąd jedynie zajmowała się swoim dzieckiem, bawiąc je najczęściej przed portretem swego męża. Już rok żałoby się kończył, gdy raz w lecie pani Eliza wyjechała w sąsiedztwo, co bardzo rzadko czyniła, zostawując swoją Helenkę pod dozorem piastunki. Młoda ta dziewczyna usłyszawszy że cyganki są we wsi, zostawiła w pokoju powierzone sobie dziecię, dawszy mu wprzód różne zabawki, i pobiegła do tych mniemanych wrózek, aby się od nich dowiedzieć o swoim losie. Jedna stara cyganka tak jej długo pletła różne bajki, że już prawie zciemniać się zaczęło, gdy do domu wróciła, jej pani nadjechała w tej chwili, wysiadła spiesznie z pojazdu i biegła uściskać swe dziecię, a nie znajdując go nigdzie, zapytała o nie z niespokojnością piastunki; ta się zmięszała, zbladła i padając do nóg swój pani, wyznała co uczyniła, i że nie wie co się stało z Helenką. Nieszczęśliwa matka najokropniejszą trwogą miotana; zaczęła biegać, szukać, rozesała wszystkich służących.

W parę godzin wrócili donosząc, że nigdzie dziecka znaleźć nie mogli, że dowiedzieli się tylko iż blisko domów widziano cyganów, ale że już ich we wsi nie było. Wiele rzeczy brakowało i to potwierdzało podejrzenie, że te włóczęgi porwały dziecię. Rozesłano za nimi pogoń na wszystkie strony, ale ani ich, ani dziecięcia nie znaleziono. Wszelkie późniejsze usiłowania były bezskuteczne. Rozpacz biednej matki wtedy już granic nie miała; w kilka dni pobieleły jój czarne włosy, nie chciała więcj zatrudniać się gospodarstwem, ani interessami, służący robili co chcieli, zmarnował się nie wielki majątek; ona zaś nie straciła zupełnie rozumu, chociaż lepiej-by to nawet dla niój było, bo-by z nim utraciła i pamięć swych nieszczęść; lecz cierpi rodzaj obłąkania, tuła się ciągle po drogach i lasach mówiąc: że szuka swego dziecięcia, i może jeszcze kiedy zginie od dzikich zwierząt. Od niejakiego czasu przeniosła się do naszej wsi i gdy tylko kto przejeżdża, przychodzi się przypatrywać czy jój dziecięcia nie wiezie, dla tego i dziś przybyła, i zapewne w córeczce pani musiała upatrzeć podobieństwo [do 'swojój; chciała ją unieść, a może też pomięszaly się zupełnie jój zmysły.“ — Na tém skończyła z westchnieniem opowiadanie swoje oberżystka, rozczulona pani W. powiedziała że Helenka nie jest jój

córką, oraz jakim sposobem dostała się do niej, ucieszyła się dobra kobiéta i wszyscy na to się zgodzili, że jest tém utraconém dziecięciem Elizy, za którém ona tyle łez wylała.

Udali się potém do pokoju słabój, którój stan wymagał prędszego ratunku. Nie chciała ją opuścić litościwa pani W. wyprawiła natychmiast konnego posłańca do swego ojca, donosząc mu w krótkości o tém co zaszło i co ją przymusza do spóźnienia szczęścia oglądania go; prosiła także usilnie, żeby jój przysłał swego nadwornego lekarza. Przybył tenże w wieczór, a nazajutrz zrana przyjechał także dziadunio, pragnąc jak najrychlej przycisnąć do serca ukochaną córkę i miłe wnuczęta. Tkliwe było przywitanie po tak długim niewidzeniu; szanowny starzec zlewając łzami drogie sobie istoty, dzięki składał niebu że mu pozwoliło tak wielkiój używać pociechy. Przywiezione lekarstwa skutkowały na chorój, lekarz zapewnił że nie ma żadnego niebezpieczeństwa; po południu zatém pani W. zabrawszy swe dzieci, udała się z ojcem do dóbr jego, zostawując Elizę staraniom doktora, i pocziwój oberżystki, która pomna na dawniej odebrane przysługi, chętnie się nad nią podjęła dozoru. Uwiadomiona o wszystkim Helenka nie odstępowała łóżka swój matki, i najpokorniejsze składała niebu dzięki za jój odzyskanie. Zdzisław

i Władzia z przykrością opuszczali swoją małą przyjaciółkę.

W kilka dni potem pani W. która codziennie przysyłała dowiadywać się o zdrowiu Elizy, przybyła po oberży, a widząc że jej siły są wzmacnione, i zupełną posiada przytomność; opowiedziała jej wszelkie szczegóły i czas dostania się do niej Helenki. Rzuciła się jej do nóg ta tkliwa matka, uwiadomiona już od córki o szlachétném obchodzeniu się z nią tej pani. Podniosła ją pani W. i prosiła aby w nagrodę jej starań nie rozłączała się z nią więcej i nie pozbawiała jej dzieci ich młodej siostrzyczki. Tak korzystna ofiara nie była odrzuconą— Powrócili wszyscy do dziadunia, przybył tam później pan W. i ponowił żądania swój żony. Eliza z powrotem szczęścia odzyskała zdrowie, dowcip i przyjemność.

W końcu jesieni wyjechali wszyscy do domu państwa W. Z płaczem rozstawały się dzieci z dziaduniem, który był dla nich tak dobrym i tyle im pięknych rzeczy opowiadał, o tém co widział za granicą, ale pocieszyły się cokolwiek gdy im przyobiecał przyjechać do nich na przyszłą wiosnę i zabawić kilka miesięcy. Pani W. i Eliza wspólne odtąd łączyły starania aby ukształcić serca i umysły swych

dzieci, które prędkimi postępami w naukach, talentach i coraz nowymi przymiotami serca, wynagradzały ich trudy.

Emilja Płuzańska.

LISTY KARNAWAŁOWE,

List I.

EMILJA DO CELINY.

Słyszałaś już o naszym kostiumowym balu; czytałaś wiersze i obszerne opisanie wszystkich widzianych na nim strójów, i wiesz zapewne, że wśród tylu nimf, bogiń, księżniczek, w tym zbiorze mieszkanki wszystkich krajów świata, dwie młode osoby, ukazały się w zwyczajnym salonowym stroju. Dziwiłaś się pewno téj osobliwości, lecz więcej się jeszcze zdziwisz, gdy ci powiem, że jedną z tak od wszystkich odrozniających się osób, była Alina S. znana z upodobania w wytwornym stroju, drugą zaś skromna, cicha i starannie powszechnéj uwagi unikająca Ida.

Co spowodowało Alinę do niezwykłej skromności nie wiem ale o Idzie.

Posłuchaj jak się stało:

Wiesz, że ja i kuzynka moja bawimy przy ciotci, i że pomimo najszczerzych moich chęci, nigdy sobie nie mogła zjednać tyle przychylności ze strony wspólnej naszej opiekunki, co moja cioteczna siostra. Zazdroszczę jej tego nieraz; z tém wszystkiém, kocham ją szczerze, bo dobra, łagodna, prawie zawsze moim dziwactwom ustępuje; i jeżeli się na nią gniewam niekiedy, to chyba gdy jej ciocia ładniejszy jak mnie kupi kapelus, lub gdy jej zręczniejszy ułoży włosy.

Od miesiąca już przeglądałyśmy ryciny, chcąc sobie wybrać stosowne jakie ubiory na ten bal, tak dawno zapowiedziany; z wszystkich, dwa nam się podobały szczególnie, Idzie strój alzacki, mnie indyjski. Po długim namyśle, sprzeczkach, przeczuciu, postanowiłyśmy nakoniec pozostać przy raz wybranych; ale cóż? Alzacka czapeczka z koronkami, aksamitny staniczek i potrójna atłasowa spódniczka, wydały się ciotci zbyt prostym dla Idy ubiorem; a przejrzysta z różnobarwnej gazy suknia, pas, naszyjnik i bransolety złote indjanki, za strojnemi dla mnie. Przemieniła nam więc stroje, z wielkiém naszym nieukontentowaniem; lecz cóż było robić? Gdybyś znała naszą ciotkę, wiedziałabyś; że co sobie raz po-

stanowi, tego pewno dotrzyma niezważając na żadne przełożenia; tém-mniej na prośby dwóch tak mało jak ja z Idą znaczących osóbek. Niechętnie więc pracowałyśmy nad przygotowaniem naszych ubiorów, zazdroszcząc jedna drugiej, i nieraz na ciocię spoglądając z ukosa; lecz gdy nadszedł dzień balu, gdy mnie w zgrabny gorsecik ściśnięto; gdy m ujrzała, że prześliczna koronkowa koszulka, niezbyt zasłania szyję i ręce; i że na wierzchu tylko głowy przypięta czapeczka nie kryje długich moich warkoczy; gdy mi na koniec ciocia, bogaty łańcuch zawiesiła na ramiona, podskoczyłam z radości i od jednego do drugiego chodząc zwierciadła, powtarzałam sobie, że mi tak bardzo do twarzy. Ida także, przywdziawszy opięty szamua staniczek, szeroką i krótką spódniczkę, której różnobarwne pasy, wybornie naśladowały pióra; gdy jej szyję otoczył bogaty naszyjnik z pereł, ramiona również kosztowne bransolety; gdy jej na długie, czarne, w puklach na ramiona spadające włosy, włożyła djadem z piór i pereł; Ida mówię, uśmiechnęła się także, i przestała mi prostszego ubioru zazdrościć.

Ciocia widząc nas obie rade, siadła wesoło do swojej gotowalni; Ida pobiegła się pokazać pani Podbielskiej, którą więcej podobno jak cicię kocha i poważa; bo też ona nietylko Idę, lecz

i zmarłą jój matkę od dzieciństwa wychowała; a ja, (przed tobą mogę to powiedzieć) ja pobiegłam do sali, i stojąc przed zwierciadłem, tańczyłam kontredansa, chcąc się przekonać, czy ruch tańca, nie zmniejsza wdzięku mojego stroju.

Co za próżność! zawoła pewno moja Celinka; być może, lecz wyznaję, że mnie to zatrudnienie wcale nie nudziło, i anim spostrzegła jak mi podano salopę, ciocia już była zeszła; wsiadłam z nią do karety, lecz próżno wołano Idy po całym domu, próżno pukano do drzwi jój pokoju, znikła. Czekaliśmy na nią blisko dziesięć minut, już ciocia niespokojna, niedbając na gnio-tącą się tylokrotném wsiadaniem i wysiadaniem suknię, chciała jój sama iść szukać, gdy przecie nadbiegła. Nie patrzyłam na nią, i szczęśliwa że nakoniec wyruszymy z domu, nie pytałam jój wcale o przyczynę zwłoki; ciocia była zamysłoną, w milczeniu więc przebywałyśmy miasto. Lecz ty Celino, ty pewno zechcesz wiedzieć, co też moja kuzynka przez tak długi czas robiła? cierpliwości! kochana moja przyjaciółko, słyszę głos pana E. w salonie i koniecznie muszę wyjść do niego, już i tak przez te bale dwie lekcje muzyki opuściłam; wolę się więc niekończąc zaczętej powieści, na twój gniew narazić, niż raz jeszcze zasłużyć na leniwój uczennicy nazwisko,

które dość często, i prawdę mówiąc, dość sprawnie otrzymuję.

Bądź zdrowa, za dwa dni odbierzesz drugą część mojego listu.

List II.

EMILJA DO CELINY.

Widzisz, kochana Celino, jak ci dotrzymuję słowa; jeszcze dwa dni niezupełnie upłynęły, a ja już z piórem w rękę siedzę przy moim stoliku i opisuje ci zdarzenie Idy, tak jak mi je ona sama opowiedziała.

Wesoła, szczęśliwa, pobiegła do Podbielskiej i zastała ją w łóżku, bo biedna staruszka rzadko już z niego wstaje.

— A toż co? zawołała; widząc wchodzącą swoją wychowanekę; gdzie się to panna Ida wybiera.

— Na bal, kochana Podbielsiu, na bal kostiumowy; patrz jaki ładny indyjski ubiór.

— Prawda! odpowiedziała Podbielska oglądając ją na wszystkie strony; prawda że ładny, a skro-

mny nade wszystko, szyja i ramiona odkryte, rozpuszczone włosy, co widzę! nogi nawet nie obute!...

— Ależ, moja Podbielsiu, to tylko udanie; mam przecież pończochy i rękawiczki; lecz umyślnie cielistego koloru, żeby lepiej amerykankę naśladować.

— Za moich czasów, rzekła surowo staruszka; młode osoby nie naśladowały tego, co nie przyzwoitem było. Teraz przeciwnie; jeżeli się nieskromności nie dopuszczają, zbliżają się przynajmniej do niej, o ile tylko można.— Przejrzyj się Ido i wyznaj sama, czy w tej na pół odzianej indjance, nieboszczka twoja matka swoją córkę by poznała? Przypomnij sobie jej rysy, jej ubiór, każde jej ruszenie, co ci na całe życie przykładem być miało; przypomnij sobie nade wszystko ostatnie jej wyrazy! jak ci skromność zalecała, jak ją pierwszą w kobiecie nazywała cnotą, jak mnie i twojej ciotki prosiła, abyśmy jej w twoim sercu zagasnąć nie dozwoliły! A nieraz... nieraz z żalem spostrzegam, że choć nie w postępowaniu; w stroju od jej przepisów odstępujesz nieco.

Na wspomnienie matki, Ida łzami się zalała; i nim jeszcze Podbielska mówić przestała, połowa indyjskiego ubioru leżała na podłodze. Staruszka widząc dobrą chęć swojej wychowanki, i niechcąc jej pozbawiać zabawy której od tak

dawnego czasu oczekiwała; radziła jój sama, ten jeden, ten ostatni raz, pozostać w trochę za śmiałym stroju. Lecz wiesz jak Ida wierzy w nieustanną przytomność swej matki, i jak wielką do jój niewidzialnej opieki przywiązuje cenę.

— Za nic na świecie! zawołała: mama by mnie nie poznała, a jój duch odbiegł-by mnie na cały wieczór, Ciocia by sama nie chciała tego.

— Moje dziecię! wiesz że pani Z. nie lubi sprzeciwieństwa, nie w czas wyrzeczone zdanie, rozgniewać ją może; a w każdym razie, trzeba będzie jechać.

— Powiem żem chora.

— Pozbawisz więc balu twoją ciotkę i Emilję, bo sądząc cię słabą, pewno z domu nie wyjadą.

— Och! już wiem co zrobię, zawołała Ida. Pobiegła do swego pokoju, zamiast gazowej spódniczki przywdziała białą krepową suknię, długie włosy, różową wstążką na wierzchu głowy związała, a resztę ich w gęstych pierścieniach spuściła na szyję, i z całego indyjskiego ubjoru, pozostał jój tylko perłowy naszyjnik.

Przyjechałyśmy na bal, i dopiero w przedpokoju spostrzegłyśmy przestrojenie Idy; ciocia krzyknęła z zadziwienia; lecz gdy moja kuzynka zbliżywszy się do niej, rzekła; daruj ciociu! mama by mnie przebraną nie była poznała!— Ciocia

uściskała ją z serca, mówiąc: twój anioł stróż natchnął cię pewno tą myślą; i mnie ona przyszła w drodze, i mnie twoja matka z wyrzutami w ustach stanęła w pamięci.

Wesoło więc weszliśmy do sali; lecz sądzisz może Celinko, że się prosty ubiór Idy nie podobał? przeciwnie; sama nadzwyczajność wszystkich oczy ścigała, a kto raz spojrział na nią, temu się podobać musiała koniecznie; tak była ładną, tak świeżą, a nade wszystko taka radość z jój oczu jaśniała, że patrząc na nią, zapomniałam prawie o sobie.

Przekonaj się, kochana Celino, czy kiedy chcę szczerze, nie jestem w stanie, długiego i poważnego napisać listu; a żeby cię zupełnie zadowolnić, moralną uwagą go zakończyć.

W samej rzeczy, lepiej zawsze iść za radą starszych, i własnego serca natchnieniem, niż jak mnie się często zdarza, za nierozważnym próżności popędem. Pozwól mi tu jeszcze stare powtórzyć przysłowie: Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gdyby, jakem pragnęła, przy mnie został ubiór indjanki, nie byłabym pewno myślała o pokazaniu się Podbielskiej, nikt-by mnie nie był przestrzegł; i z dumą wszedłszy na bal, musiałabym sobie wyznać w pokorze, że z wszystkich najmniej przyzwolicie ubrana.

Teraz, zegniam cię, kochana Celino, dość tego na dziś, nieprawdaż? lecz zdaje mi się że za moje dwa ogromne listy, mogłabyś się chociaż jednym odplacić.

P. K.



KOBYŁKA

I W NIEJ KOŚCIÓŁ Ś. TRÓJCY.

— 306 —

W gubernji Mazowieckiej, dwie mile od Pragi, między Okuniewem a Radzyminem, leży wieś *Kobyłka*. Miejsce to kiedyś zwało się *Targową-wolą*, tu bowiem po ukończonym targu na Pradze jeszcze sprzedawano pozostałe konie, z tego pewnie powodu i nazwa *Kobyłki* powstała. Granicę jej od strony Warszawy stanowią, na kilka mil przedłużone wzgórza piaszczyste, jakby wybrzeża rzeki; podług domysłów naturalistów, tak często zmienne koryto Wisły tędy przechodzić niegdyś musiało, a usuwając się ztąd powoli na ślad bytności, piaszczyste swoje łóżysko i wał nadbrzeżny pozostawiło. Wzniosłe i rozległe lasy otaczają *Kobyłkę*; dwie małe rzeczki przeryna jej pola, z których jedna *Długą* zwana, druga w dowód prostoty pierwszych swoich mie-

szańców, skromne nazwisko *Strugi* do dzisiaj przechowała.

Zaginęły w tłumie lat i wydarzeń historyczne miejsca tego wspomnienia, mówię zaginęły — bo w historii narodu tak obfitego w wypadki, każda stopa ziemi nacechowana pamiątką, każdy szczyt wzioślejszego drzewa — pomnikiem. A jeszcze nadwiślańska okolica, kolebka naszego plemienia, pierwszych polan siedziba, czyż nie przewyższała wspomnieniami inne ziemie? A pola kobyłkowskie, sąsiednie trzywiekowej państwa stolicy, czyż nie miały swoich wspomnień oddzielnych?

Za Stanisława Poniatowskiego zasłynęła Kobyłka wielką fabryką pasamonnicyą przez Paschalisa założoną, w której tkano złotem, srebrem i wzorzystemi jedwabiami pasy do ubioru szlachty polskiej potrzebne. Fabryka ta oprócz pasów wyrabiała i inne zbytkowe tkaniny pasamonnice, które jednakże wielkiego odbytu, dla drogości swojej, mieć nie mogły, a król uprzejmy nabywszy pierwsze zapasy, rozdał damom dworu na pamiątkę krajowych usiłowań. Fabryka samych pasów trwała dłużej i dopiero późniejsze zamieszki koniec jój położyły.

Widziałam pas pochodzący z téj rękodielni, wspaniały, szeroki, z podwójnym deseniem; widziałam i próbki różnych szlaczków w przeslicznym guście wykonanych. A wam czytelnicy młodzi,

jeżeli się kiedy zdarzy znaleźć w szatni dziadunia pas starodawny, szukajcie na nim wyrobionego nieznacznie przy brzegu wyrazu *Kobyłka* i ucieszcie się, że w naszym kraju jeszcze w przeszłym stuleciu tak piękne rzeczy wykonywano.

Była tu także wielka i słynna mydlarnia, do której nietylko z okolicznych wiosek, ale z całego kraju zjeżdżali się kupcy i nabywali mydło, szczególną odznaczające się dobrocią.

Gmachy tych fabryk zniszczone, z jednego gospodarski zrobiono użytek, drugiego ruina mchem pokryta; a w miejscu gdzie się rozlegał hałas warsztatów, gdzie gwar nieustanny pracujących się odzywał— tylko skrząta mrówka przemysłka się cicho z żywnością zapasową, tylko pszczołka pobrzęknie zapędziwszy się, za tulącym się do tych grnzów dziewanny kwiatem.

W 1795 r. tu była ustanowiona granica austryjackich posiadłości i główna komora.

Ależ jest tu jeszcze jedno dawniejsze wspomnienie, nietakie jak tamto światowe, co ręką przygody zwalone, w pamięci świata zaciera się i ginie,— ale wspomnienie które w księgi żywota świętobliwego człowieka ręką anioła wpisuje— wspomnienie pobożnych chęci, chwałę Najwyższego mające na celu.

W wiosce téj był kościółek fundacji Załus-

kich i pod prawa świeckiej kolacji tejże familji podpadający, jednakże ręką czasu zupełnie zniszczony. Kościółek ten, Marcin Załuski biskup drazneński, sufragan płocki, ozdobnie na-nowo wybudował — potrzebnymi sprzętami hojnie obdarzył i w témże miejscu przy kościele parafjalnym mieszkanie obszerne wystawił, nakształt jakowego *collegium* czyli domu Missji, do tegoż kościoła przyłączył — a w nim sześciu kapłanów z reguły jezuitów missjonarzy umieścił w tym celu: aby ciż całą dyecezę płocką ciągle objeżdżając, nauki chrześcijańskie rozkrzewiali, słowo Boże głosili, i wiernych pańskich zbawiennemi napomnieniami do uczestnictwa NN. Sakramentów zagrzewali. A nadto aby zachwianych w wierze katolickiej, osobliwie na granicach Prus zamieszkałych w téjże wierze wzmacniali.

Zgromadzenie to jezuitów missjonarzy hojnie uposażone od założyciela przyległemi włościami, trwało do roku 1775, Sam Marcin Załuski porzuciwszy świat, dostojeństwa, wyrzekłszy się przyszyłych nadziei — wstąpił do jego grona i poprzestał na skromnej, przełożonego zakonu nazwie. W r. 1766 utworzył tu dwa domy do rekolekcji — w którymby z całej dyecezji kapłani ćwiczeniom duchownym się oddawali. — Tu także z całej dyecezji nowonawróceni chrzest przyjmowali, lub wyznanie wiary czynili i tutaj;

jak twierdzą, d. 17 czerwca 1768 r. fundator pobożnego żywota dokonał.

Kościół kobyłkowski wystawiony na wzór kościoła Ś. Pawła w Rzymie; za łaską papieża Benedykta przyjęty za dziecko Lateraneńskiego kościoła i przypuszczony do uczestnictwa wszystkich łask i odpustów, jakie tamta posiada świątynia 1). Lecz gmach ten, który pięknością swego kształtu i ozdób do pierwszych w kraju mógł się liczyć, nigdy zupełnie ukończonym nie był; nie wiadomo dla jakiej przyczyny jedna wieża ledwie na drugie piętro wyprowadzona; mówią że zabrakło funduszków, ale przecież późniejsze były fundacje domów rekolekcji i ich uposażenie 2).

W kilkanaście lat po zniesieniu jezuitów, kościół ten różne przeszedłszy koleje, oddany pod zarząd ojcom Ś. Franciszka obserwantom (czyli bernardynom) prowincji pało-polskiej, z warunkiem szczególnej opieki nad szkółką wiejską.

1) Odpusty te nieprzeliczone, służyły tylko na lat piętnaście, po upływie tego czasu potrzebne było potwierdzenie, które nieszcześciem zaniedbanem zostało.

2) Mur wieży ukończonej i zaczętej, zdaje się być dużo późniejszy od muru kościelnego, być może więc że ta ozdoba wymyślona później— i śmierć fundatora ukończeniu jej przeszkodziła.

miejscową i zapewnieniem uczestnictwa w pracach nauczycielskich.

Przystąpmy teraz do bliższego poznania gmachu, przypatrzmy się bliżej tej świątyni, którą wyobraźnia nasza tak pochlebnie wystawia sobie. Niestety! smutek zapełnia serce!— kościół ten co niegdyś w całej sływał okolicy, po przeżyciu jednego tylko stulecia, już ku upadkowi się chyli, już tyle stracił z świetności swojej— że go zaledwie rozpoznać i za ten sam uznać można.

Jedni utrzymują że bagnista posada usunęła fundamenta i ztąd poszło zryśowanie muru— inni źle zrozumianej restauracji winę przypisują— my nie dziwmy się temu, bo czyż-to raz zdarzyło się nam widzieć dziecię snem śmierci uspięne, czy raz przedwczesna marszczka młodociane zorała czoło?... Lepiej zbierzmy co można z pozostałych śladów— i te przechowajmy dla pamiątki.

. Kościół ten pod tytułem Ś. Trójcy, poświęcony 1740 r. a dzień obchodu tej uroczystości, obrany w niedzielę drugą po Trzech-królach, czyli w dzień święta imienia Jezusowego.

Postać jego zewnętrzna jest jeszcze bardzo piękna, choć wiele uszkodzona, odznaczała się *stacjami* pięknym pędzlem oznaczonemi, w dokładnych freskach, których jeszcze jest kilka śladów. Od północy czyli ze strony wielkich drzwi,

po prawej ręce, jest wzniosła na pięć pięter wieża malowidłami zdobna i figurami drewnianemi; szczyt téj wieży pokryty blachą unosił statwę Ś. Michała archanioła, którą przed kilku laty wichur zrucił i połamał; po lewej ręce druga wieża w odpowiedniem miejscu pierwszój, nieskończona stoi. Tę stronę kościoła zdobiły malowidła wystawiające królów i proroków starego testamentu, na szycie znajduje się jeszcze kilka posągów drewnianych.

Wielkie drzwi unoszą napis łaciński, głoskami żelaznemi ułożony, który w polskiem tłumaczeniu brzmi następująco:

Przenajświętszój a nierozdzielnej Trójcy,
Ukrzyżowanego Pana naszego Jezusa Chrystusa
człowieczeństwu,

Najświętszój i najchwalebniejszój Panny Marji
dziewictwu,

I wszystkich świętych zgromadzeniu,
Na wieczną cześć i chwałę;

Także,

Na uproszenie odpuszczenia wszystkich grzechów
Kościół ten zbudowany r. 1740

Uposażony i poświęcony

Przez największego grzesznika,

(tu w połączonych głoskach cyfra fundatora).

Poświęcenia dzień oznaczony:
W święto Najświętszego imienia
Jezus.

Powyżej wielkich drzwi jest napis:

„To jest dom boży i brama nieba.“

Od południowej strony kościoła czyli zewnątrz, w stronie wielkiego ołtarza, widzieć się daje innego kształtu facjata, niższa trochę od frontowej, równie pięknie wystawiona i ozdobna; na gzymsie napisano:

„Do zachodu chwalcie Pana od słońca wschodu.“

Na facjacie téj przechowało się jeszcze bardzo wiele malowideł świętych pańskich i wyobrażeń Tajemnic Boskich ze stosownemi wyrazami— ale które po większej części uszkodzone wilgocią i rysami muru z trudnością wielką czytać i rozpoznąć się dają. Na facjacie téj jest także kompas umieszczony.

Z tejsze strony jest wejście do obszernych podziemnych sklepów 1) i do ogrójca z kościo-

1) W sklepach tych dawniej chowano ciała— dzisiaj są jeszcze ślady katakumb w posadzce umieszczonych, bez żadnych napisów; w jednej z nich może spoczywają szczątki czcigodnego fundatora, żadnym ani tu— ani, o ile mi wiadomo, nigdzie nie uczczone pomnikiem.

łem złączonego który w kształcie otwartej kaplicy utworzony; oznajmują go wyrazy z pisma świętego wyjęte.

„O! wy wszyscy którzy drogą idziecie, pilnujcie i przypatrujcie się, jeżeli jest boleść, jako boleść moja!“

Sklepienie ogrójca jest zaokrąglone, zdo bi go krzyż z wyobrażeniem Zbawiciela z drzewa wyrobiony bardzo kształtnie, stoi on wpośród dwóch innych krzyżów z zawieszonymi łotrami, pod krzyżem stoi Matka Boska bolesna i S. Jan Ewangelista. Cała ta grupa umieszczona na kamiennój podstawie wyobrażającej obłoki—cechuje się wykończeniem dokładném; jeden tylko krzyż łotra pokazuje innęj ręki pracę i témocnięj podnosi wartość całości. Krzyż ten postawiony na miejscu zniszczonego przypadkiem, lub świętokradzką ręką zabranego. Na suficie ogrojca w bardzo dobrym stanie przechowało się malowidło al fresco wystawiające Mojusza na puszczy wynoszącego w górę miedzianego węża. Obraz ten otacza napis, stosujący Stary testament z Nowym:

„Jako Mojesz wywyższył węża na puszczy, tak trzeba aby się wywyższył Syn człowieczy.“

Nad krzyżem Chrystusa umieszczone wyrazy:

„Aniołowie pokoju gorzkie łyzy wyleją.“

Jest w ogródcu wiele innych malowideł zniszczonych w części. Utrzymują że kościół ten zewnątrz i wewnątrz zdobiła ręka sławnego malarza, nigdzie jednak nazwiska jego dostrzedz nie można 1).

Wnętrze kościoła a szczególnie dwie kaplice to jest Ś. Anny i Serca Jezusowego, w bardzo smutnym dziś stanie. W kaplicach ścian ozdoby wilgoć zniszczyła— w środku kościoła widzieć się dają jeszcze nieuszkodzone piękne malowidła; rzecz do nich brana już ze Starego już z Nowego-testamentu; szczególnie sufit zachował wiele świeżości i wdzięku, cechującego rękę biegłego mistrza.

Wielki ołtarz zdobią kształtne grupy aniołów z drzewa wyrobione i pozłacane; odsunięty od ściany dla pozostawienia miejsca na chór zakon-

1) Powiadają że malarzem kościoła tego był *Smuglewicz*, boimy się utrzymywać to podanie, chociaż malowidło godne pędzla *Smuglewicza*. Jaka to szkoda, kochane dziatki, że nie mamy dotąd żadnej bistorji naszego malarstwa. Wprawdzie niezbyt liczny znalazłby się poczet wsławionych naszych artystów, nie mieliśmy wyłącznej żadnej szkoły, ani tych wybranych geniuszów co blaskiem swoim przez wieki świecą wszystkim narodom—ależ i naszym ziomkom cześć pośmiertna, dług niewypłacony się należy— i młodym wstępującym w ich szranki zachęta potrzebna.

ny do którego z dwóch stron ołtarza prowadzą drzwi ze szklannemi ramami, pełne relikwii świętych 1). Na ścianie chóru wyobrażona al fresco Trójca Święta, stanowi główny obraz ołtarza.

Piękna ambona biała, przyozdobiona złoceniami, pokrycie jej wspiera dwóch aniołków i tyleż widzieć się daje na samym wierzchu unoszących tablicę z napisem wyjętym z pisma świętego. Naprzeciw chrzcielnica równiej ambonie budowy i ozdoby, z której podstawy wydobywa się w razie potrzeby naczynie z wodą zawieszone na sznurach. Chrzcielnica ta, czyli druga ambona; być może, służyła kiedyś, za czasów jezuitów missjonarzy, do dysput religijnych podczas odpustów i innych okoliczności— bo zarówno do obu jest wejście otwierane z łóż niższych przy wielkim ołtarzu znajdujących się.

Chór znacznej wielkości, drewniany, zdobny złotem jak ambona; w nim organy zniszczone bardzo; pod chórem obraz, jak zdaje się założyciela w złożonych ramach— który kiedyś inne zajmować musiał miejsce.

Zakrytyja pięknego kształtu i budowy z niej wchód do skarbcu.

2) W wielkim ołtarzu tutejszym ma się znajdować głowa Ś. Pawła pustelnika.

Nad kaplicami i samym kościołem są jeszcze ślady mieszkań przełożonego zakonu, ale takiemu już uległe zniszczeniu, że tylko z wielką ostrożnością dostać się do nich można 1).

Znaczna tu miała być biblioteka— którą bernardyni Mało-polscy zabrali— a część zniszczona podczas zamieszek krajowych.

Gmachu klasztornego, ani domu rekolekcji śladu nie ma, na miejscu dawnych murów wznosi się pałacyk dzisiejszych posiadaczy tych włości, tylko część alei lipowej, klasztornych starań pamiętkę zostawiła.

Cmentarz przyległy kościołowi, staraniem bernardynów, po zniszczeniu na nowo otoczony był murem— którego najmniejszego znaku dziś niema; rezydent tutejszy pełniący obowiązki proboszcza, zamieszkuje drewniany domek blisko kościołka stojący.

Cmentarz drugi na którym chowają ciała zmarłych w tutejszej parafji— w niejakiój od kościoła odległości na wschód ku wsi Lipinom po-

1) Lud tutejszy głosi że nad mieszkaniami zakonnemi przy kościele znajdującemi się, czy nad salonem jadalnym, był szklany sufit wkłeski, który napelniany wodą, mieścił rozliczne gatunki ryb rozmaitych. Żadnego usprawiedliwienia tój baśni znaleźć nie można, przypominam tylko sobie, że w dzieciństwie coś podobnego o puławskim pałacu mi mawiano.

łożony. Na nim nad grobowcami w 1835 r. wzniesiona kaplica czci Ś. Filomeny poświęcona, w ołtarzu której znajdują się relikwie téj świętej, z Rzymu sprowadzone.

Tu przed dwoma laty spoczęła niewiasta która w czasie budowy kościoła kobyłkowskiego już dorosłą będąc dziewczyną pracującemu ojcu swojemu jedzenie z innéj wsi przynosiła już więc sto kilkanaście lat liczyć musiała. Przytomność umysłu i pamięć zachowała do ostatnich chwil życia, pamiętała też, jak mówiła, pogrzeb Marcina Załuskiego fundatora, miał być bardzo wspaniały.

W. T.

PTAK-MUSZKA.

Z pomiędzy wszystkich żyjątek, najkształtniejszy postacią, najświetniejszy doborem barw rozlicznych, jest bez wątpienia *ptak-muszka*. Drogie kamienie, szacowne kruszce, sztuką człowieka wyglądzone, w niczém nie równają jeszcze temu klejnocikowi natury; umieściła go ona po-

między ptakami na najniższym szczeblu wielkości. *Ptak-muszka* jest jój arcydziełem; szczodre swe dary które tak bacznie pomiędzy inne rozdzielała ptaki, na niego złała obficie; lekkość, szybkość, zręczność, wdzięk i strój bogaty, stały się udziałem małego ulubieńca. Szmaragdy, topazy, rubiny, jaśnieją w jego szacie; nigdy nie splami jój pył ziemi, bo *ptak-muszka*, w swoim napowietrzném życiu, zaledwie dotknie miękkiej murawy: zawsze buja w powietrzu, przefruwa z kwiatka na kwiatek; świeżością i blaskiem im podobny, poi się ich słodkim nektarem i zamieszkuje tylko takie strefy gdzie ciąga wiosna coraz piękniejsze z łona ziemi wyprowadza rośliny.

Ptak-muszka zamieszkuje najgorętsze okolice Nowego-łądu, bardzo jest liczny— ale przebywa tylko pomiędzy dwoma zwrotnikami, a chociaż czasem wśród lata, zapędzi się w umiarkowaną strefę, niedługo w niej gości; zdaje się jakby w przeznaczeniu jego było, biedz w zawody ze słońcem, z niém się usuwać, i na skrzydełkach zefiru za wieczną uganiać wiosną,

Nadzwyczajną obdarzony żywością, łączy z nią jeszcze odwagę, albo raczej zuchwałą śmiałość; widziano jak w gniewie doganiał nieraz dwadzieścia razy większego od siebie ptaka, przyczepiał się do niego, i pozwalając unosić się, w szybkim locie dziobał go bezprzestanku, aż

gniew swój nasycił. Czasem pomiędzy swojemi wszczyna bardzo żywą bójkę; niecierpliwość zdaje się być duszą jego: skoro zbliżywszy się do rośliny znajdzie jej kwiat zwiędniały, wrywa listki i rozrzuca z złośliwą szybkością. Całym jego głosem jest ciche brzmienie *skrep, skrep*, powtarzane bez-ustanku; krzyk ten słyszeć się daje w lecie od wschodu jutrzhenki, a z pierwszym promieniem słońca ustaje, bo całe gromady rozpierchają się po kwiecistych błoniach.

W. T.



ZORZA.

— 300 —

W śmie nocy błysnął promień jutrzhenki,
Za chwilę dzionek zaświta;
W różowe, miłe zdobna sukienki
Na niebie zorza rozkwita.

Witaj więc, zorzo! wśród nocnych cieni
Ty nam zwiastujesz wschód słońca,

Ty senną ziemię blaskiem promieni
Przebudzasz z końca do końca.

Ciebie więc, nieba poranny kwiecie!
Mile powitać się godzi,
A ty śpisz jeszcze— ocknij się przecie
Zorzo wspaniała, cna młodzi!

Tak dziatki, wyście zorzą narodu—
Lecz wiedźcie: chyżo czas leci;
Kto ranną zorzę prześpi zamłodu
Ten nigdy słońcem nie świeci.

Powiem wam jeszcze: kto rano wstaje,
Jak niesie stare przysłowie,
Ten w łasce Boga, temu On daje
Dostatki, rozum i zdrowie.

A więc z dnia świtem do pracy szczerze;
Bo wierna, szczerza i hoża
Nowe nauzki dla was w ofierze
Bez przerwy składa wam Zorza.

Ig. Dobrski.



WSPOMNIENIA

Kobiet woławiouych w Łdźce

II.

JUDYTA.

—300—

Jeszcze Mieczysław za życia swego zaręczył syna Bolesława z Judytą córką Giejzy czyli Jerzego księcia węgierskiego, lecz niewiadomo z jakiej przyczyny w odwołkę poszło to małżeństwo, gdyż pierwszą żoną Bolesława Chrobrego była Hemilda margrabianka Misnji i dopiero po jej śmierci syn Mieczysława i Dąbrówki pojął zaręczoną sobie z dawną Judytę.

Dobroć jej i cnoty wielbione od współczesnych przeszły w pamięć potomności, i rzeczywiście ważnem téż było jej stanowisko. — Małżonka króla wojownika, który w surowych karbach posłuszeństwa trzymając wojsko i wszystkich podwładnych swoich, nie zwykł był pobłażać nikomu, który w najwyższych urzędniakach kraju spostrze-

głszy nadużycia karciał ich surowo, a nawet własną ręką napominał i utwierdzał w dobrém, małżonka, mówię, Bolesława Chrobrego obszerne miała pole da rozwinięcia łagodności i dobroczynności swojej.— Małżeństwo to było prawdziwie takim jakie jedna z czcigodnych rodaczek naszych zaleca, Bolesław był głową, Judyta sercem domu i kraju. Kochana od męża, szanowana i wielbiona od poddanych, ku ich szczęściu zwracała usiłowania swoje; i tak: kiedy Bolesław gromiąc sąsiadów ustanawiał sądy, z przepychem dwór swój urządzał by uczcić godnie Ottona III niemieckiego cesarza, który go własną koroną na polskiego króla ukoronował, kiedy tym sposobem zakładał podstawę przyszłej kraju wielkości, Judyta zwracała uwagę męża na ucisk i niedostatek wieśniaków, starała się o przyniesienie im ulgi. Kiedy król budował miasta i obronne wznosił grody, kiedy cudzoziemców bogatemi obsypywał darami, królowa zajmowała się urządzaniem owych sławnych uczt, gdzie na dziedzińcu zamkowym, pod okiem wielkiego władcy, przy jednym stole zasiadał szlachcic, mieszczanin i kmiołek ubogi, a smaczne jadlo i ożywiającego napoju czara, ściślej te trzy stany łączyła, niż wszelkie poprzednie usiłowania.

Pobożna, szczerą, cnotliwą, Judyta najwięcej starała się o złagodzenie surowych męża wyro-
męża wyro-

ków, a byle tego dokazać nie wahała się nieraz niewinnego użyć podejścia.— Pewnego razu; (mówią dziejopisowie) król skazał dwóch młodych ludzi na karę śmierci, a że wyrok ten wydał w uniesieniu, Judyta obawiając się by później daremnie nie żałował tego, wyjednała im kryjomo przed mężem odwłokę kary, i w niejaki czas potem, widząc króla dobrej myśli, zwróciła rozmowę na dwóch skazanych.

— Szkoda! rzekł Bolesław, za ostro ich osądziłem, ale co się stało, to się już odrobić nie da.

— A gdyby się to dało naprawić? zagadnęła Judyta.

— Chyba wynagradzając ich rodzinę? bo inaczej ciężko, choć z duszy radbym wyrok mój odwołać.

Tu królowa szepnęła służebnicy słów kilka, a za chwilę dwaj młodzieńcy z wielką swoją radością, z większą króla pociechą stanęli przed Bolesławem dziękując mu za przebaczenie.

To jeden dopiero rys charakteru Judyty, ale musiało być podobnych zdarzeń w jęj życiu nie mało, kiedy ówczesne kroniki, tak skąpe w słowa na wspomnienia niewiast, rozwodzą się z jęj pochwałami, a pamięci jęj nietylko niezatarły dwie żony które jeszcze po śmierci Judyty po-

jął Chrobry, to jest Kanilda i Oda, lecz niedorównały jej o wiele, kiedy ich imiona ledwie w dziejach zapisano, nie sądząc potrzebną wzmianki o tém, czém były, i jak żyły.

P. K.

O czytaniu autorów polskich.

„**S**erce rośnie patrząc na te czasy,” zawołały z Kochanowskim, gdy tak pięknie zazieleniona niwa literatury słowiańskiej, coraz bujniejsze na przyszłość rokuje plony. Uwielbienia i naśladowania jest godny zapał, z jakim teraz prawie wszystkie słowiańskie ludy, dążą do wyświecenia narodowej chwały przodków swoich. Bo też już dzisiaj dzięki Bogu, usiłowaniom uczonych nietak, jak kiedyś, udział kilku magnatów towarzyszy— ale całe narody niosą im swą pomoc i wsparcie.

Przy tak więc sprzyjających okolicznościach, kiedy i samych rządów jawna jest dzisiaj opieka

i troskliwość o jak największe rozszerzenie się nauk; nie należy się dziwić, że oświata tak olbrzymie czyni postępy, że dzisiaj rok jeden wydaje tylu pisarzów i dzieł tyle, na ile dawniej wiek się cały nie zdobył. Obok takiej atoli mnogości powiększającej rok w rok księgozbiory nasze, pilną bacność zwracać należy na plody niez mordowanych pisarzy, mianowicie, że i między nimi więcej jest zawsze wezwanych, niż wybranych. Szczególniej też zwracać ją powinni ci, którzy niedostatek umysłowego ukształcenia, czytaniem książek chcą zastąpić, którzy na języku i stylu pisarzów naszych, język swój, styl i smak ukształcić pragną. Do nich to dziś obracam moje słowa, i rad im udzielić pragnę.

Aby dzielnie jakim językiem władać, aby w nim trafnie swe myśli na piśmie i ustnie tłumaczyć, potrzeba przede wszystkim poznać jego grammatyczne prawidła, zbadać wszystkie zasady, naturę, własności; i to nie powierzchownie, ale gruntownie, rozbiorowo, wewnątrznie: Trzeba, mówię, poznać grammatykę języka, ale nietak jak ją najwięcej dzisiaj uważa: jako suchy zbiór prawideł i form językowych, uporządkowanych według zewnętrznych; jedynie znamion, ale trzeba ją pojąć tak, jak ją pojmował Kwintyljan, jako zbadanie języka, będącego wpływem ducha i usposobienia ludu, jako umiejętność, wdrażającą

nas głęboko w umysłową krainę początku, wzrostu, udoskonalenia pojęć i wyobrażeń. — Wyrazy języka są to, jak mechaniczne środki, w których utajona jest siła umysłowa: im tedy stosowniej, im z lepszym doborem urobione i użyte, tém-wyżej wnoszą umysł, tém-potężniejszy dają mu popęd, tém-większe wzbudzają nad tą niewidzialną siłą zdumienie; ale geniusze też tylko tą siłą władają. Z tego stanowiska uważana grammatyka, przyniesie obok praktycznego jeszcze i formalny użytek.

Sam przecież język, chociażby najlepiej praktycznie i teorycznie był ukształcony, stanowi tylko mowę a dalekim jest jeszcze od tego, co stylem, w prawdziwem tego słowa znaczeniu, zowiemy. Styl czyli raczej doskonała sztuka pisania, jest prawdziwą koroną i najpiękniejszym wieniecem mowy. Jest-to mowa do najwyższej potęgi wzniesiona. Mówi każdy, pisze zaś poprawnie tylko ten, kto odziedziczony z natury talent mowy przez wszystkie doskonałości stopnie przeprowadził i pojął całą estetyczną jej piękność. „Udoskonalona na przepisach stylu mowa, jak się wyraża Słowacki, cudownych dokazuje skutków: ona. to zanosząc przekonanie w umysł i wzruszając serca, stanie się najdzielniejszą bronią, pod którą bezpiecznie spoczywa niewinność, a której się lęka występki i zbrodnia.

Najświętsze prawdy religji i moralności, najważniejsze sprawy narodów, najgłębsze badania nauk, nierównie mocniej i skuteczniej bywają głoszone przez usta albo pióro wymowne.

Mowa zaś polska, twierdzi nasz uczony Kazimierz Brodziński, równie jak wszystkie ze słowiańskiego szczepu pochodzące, „tę jeszcze między innemi miewają wyższość nad mową mieszkańców Tybru, Sekwany i starożytnój Germanji, że poczynający niemi mówić cudzoziemcy, nad ich wyrazami, jak bezsilni nad podniesieniem starożytnój zbroi się mocują i nie jak mężowie, ale jak dzieci, pieściwie naśladują prawdziwie męzkie mowy sławiańskiej dźwięki. Lecz i w tej niezaprzeczonój a właściwój im tylko samym twardości, mają oni także swoją harmonię i śpiewność, ale jest-to szum odwiecznego i rozłożystego dębu, nie poświst chwastu, który za każdym polotem wiatru zgina się lub łamie i cieniem tylko odgłosem jęczenia wydaje.“

Szczęśliwy naród! w którym wzrost nauk był zawsze stopniowy i ciągły, gdzie nie było przyczyny zupełnie tamującej, lub gwałtownie zmieniającej kierunek oświecenia;— tam celne utwory pisarzów z każdej epoki czasu za wzór do udoskonalenia języka, stylu i smaku posłużyć mogą. Lecz w dziejach literatury naszej inny całkiem przedstawia nam się obraz. Zawsze ja-

kiś duch złowrogi zionął na jęj kwiaty zaraźliwe
tehnienia i niszczył w chwili rozwicia. Dla tego
też słusznie utrzymje Wiszniewski: „że język
polski cztery razy uległ sile nieprzyjaznych mu
okoliczności, pierwszy raz w wieku X i XI jako
pogański przez cudzoziemskich księży zarzucony;
ledwie się podnosić zaczął w wieku XIV gdy
w XV znowu go zaniedbano przez obawę Hus-
sytów; w XII dla łaciny, a w XVIII dla fran-
cuszczyzny.“

Widzimy tedy, że żaden może z nowych je-
zyków nie doznał tyle przemian, co polski, nim
się ustaliły jego prawidła,— że żadna może li-
teratura nie doświadczyła tyle wpływów różno-
rodnych, co literatura polska, przybierając, w miarę
panujących okoliczności i opinji, coraz to nowy
krój i barwę; a tém samém, że bez świadomego
przewodnika, nie można się zapuszczać samemu
w rozległą a niezawsze bezpieczną nauk pol-
skich dziedzinę.

Nieznane nam są pomniki polskiego języka
z czasów przedchrześcijańskich, żelazna ręka cza-
su i nienawiść ludzka wyniszczyła wszystkie; a
i później w pierwszej połowie XVI wieku z po-
wodu zaczynającego się szerzyć różnowierstwa,
tudzież dla zagłuszającej wszystko łaciny, ojcowie
nasi niewiele dla ojczystej mowy uczynić mo-
gli. Mamy wprawdzie i z tych wieków zabytki

świadczące o chwalebnych usiłowaniach przodków naszych na polu nauk. Długi szereg kronikarzy, lubo w języku rzymian piszących, jak: Marcin Gallus, Kadłubek, Boguchwał, Baszkon, Długosz i tylu innych, jak niemniej pozostała pieśń *Boga Rodzicy* i pieśń na powitanie Kazimierza I, przekonywają nas widocznie, że i w owym czasie nie milczały ciemnościami okryte muzy polskie. Ależ większa część tych starożytnych zabytków, są to „djamenty, które pierwój z błota i twardój skorupy oczyścić należy, nim się z nich wydobędzie ów szacowny blask i piękną grę kolorów.“

Właściwie mówiąc, dopiero z wstąpieniem na tron familji Jagiellońskiej, a mianowicie Zygmun-tów I. i II. zabłysła i dla nauk ojczystych zorza świetniejszej przyszłości. „Pod berłem-to tych dwóch ostatnich królów Jagiellońskiego szczepu, doszła Polska, jak mówi Brodziński: do swego południa, nietylko pod względem politycznym, ale i pod względem oświaty. Słusznie też uczeni nasi nazwali wiek ich: wiekiem złotym dla nauk i literatury polskiej.“

Tyle dzieł znakomitych w ojczystym napisanych języku, tylu mężów z wyższym talentem, pracujących nad udoskonaleniem wszystkich gałęzi nauk— kazało się spodziewać, że język polski, będąc już na takiej drodze postępu, nigdy nie

upadnie:— ale niestety! rządzeniem nienawistnych nam losów, słońce które tak pięknie muzom polskim przyświecać zaczęło, zachmurzyło się znowu w samym prawie poranku.

Zgubna jakaś żądza w wieku XVII sadzenia się na wzajemne pochwały i panegiryki, tudzież mylnie zasadzana uczeność na mieszaniu do każdej mowy i pisma wyrazów i całych zdań łacińskich,— spowodowała zupełne zepsucie smaku i stylu.

Tak więc zamiast pięknego ranka wschodzącej nowej ery literackiej, ujrzeliśmy grubą i brudną mgłę kłębiącą się nad ojczyzną literaturą. Zdawało się, że się wyparto języka przodków, którym Kochanowski opłakiwał swą Urszulę, którym Skarga tak ostro karciał dumę i występki możnych,— zdawało się, mówię,— że zapomniano tego języka, a utworzono sobie inny dziki, nastrzępiony, na wpół z łacińskich i polskich makaronizmów. Atoli głos rozsądku przemógł narreszcie, ostudzeni z dobrowolnego szału pisarze, poznali swe błędy, zapłonęli wstydem, jedni drugim przywary wytykać zaczęli, a tym sposobem odrodził się smak lepszy, z nim język i literatura. To zaś odrodzenie winniśmy jedynie Stanisławowi Konarskiemu pijarowi, który jużto własnym piórem, już też przez rozliczne zachęcające środki, znowu postawił język ojczyzny na tej drodze,

z której go przed dwoma wiekami powodowani zbyteczną może gorliwością jezuiti, sprowadzili byli.

Pokazawszy koleje, przez jakie aż do XVIII, wieku przechodził język i literatura polska, a którego-to rzutu oka, dalszy wątek rzeczy koniecznie wymagał, teraz zajmę się tylko samym wywodem; których? z jakiej epoki czasu? i dla czego tych a nie innych polskich pisarzy brać należy na samprzód do ręki? gdy na nich swój język, styl i smak ukształcić chcemy.

Tu zaraz na wstępie mojego wywodu, następcza mi się pytanie: czy dzieła pod tak odmiennymi wpływami wykonane, napisane w czasach tak różnemi ideami i duchem tchnących, czy, mówię, te dzieła mogą być zawsze i wszystkie czytane z równą korzyścią? i czy zamierzone nabycie czystości języka, wprawy stylu i dobrego smaku z czytania onych, zawsze pomyslnym będzie uwienzione skutkiem? Łatwo odpowiedzieć, że nie. Czytelnik bowiem z większą niż gdziekolwiek bacnością i przygotowaniem przystępować powinien do czytania i wyboru autorów polskich. Od trafności bowiem i wyboru stosownych wzorów, cała jego przyszła korzyść zależeć będzie. Kto ma smak ustalony i na dobrych zaprawiony jest utworach, ten może czytać z równą korzyścią książki z XVI, XVII, jak i XVIII wieku,

bo zdrowy i wytrawny rozsądek, znajomość krytyki, łatwo mu wskaże owoc i łupinę, ziarno i plewę, kwiat i pleśń.— Ale gdy do czytania przystępują ludzie młodzi, lub cudzoziemcy nie obznajmieni wszechstronnie z językiem, którzy obok umysłowego ukształcenia, swoje pióro także ukształcić pragną, w takim razie nie radzę im zaczynać od autorów z wieku XVI, ale raczej z wieku Stanisławowskiego. Jakkolwiek bowiem pisarzom złotego wieku nie może nikt odmówić ich moralnej wyższości i wewnętrznych przeważnych zalet, przecież liczne przestarzałe wyrazy i wyrażenia, dzisiaj albo całkiem nie zrozumiałe, albo już tylko w mowie gminnej mające miejsce, mogłyby całkiem zbić z toru niedoświadczonych jeszcze czytelników, zepsuć ich smak i język.

Bez zaprzeczenia korzystniej dla nich będzie, gdy ze czcią winną zasługom i wiekowi odłożwszy na później tych prawdziwych mentorów polskich,— zaczną od czytania autorów średniej epoki, to jest: Stanisławowskich. W dziełach bowiem w tym czasie tak bujnie zakwitłych i tak piękne na przyszłość rokujących nadzieje, ucząca się młodzież znajdzie złotą polszczyznę, piękne przykłady stylu, czystego, chociaż może nadto wytwornego, bo na panującej w owym czasie francuszczyźnie, kształconego smaku.

Tu przed wszystkimi innemi wielkie imiona: Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego, Książna, Karpińskiego, Dmochowskiego, Śniadeckiego jaśnieją. Wznoszą się one jak olbrzymy jakie w literaturze naszej; nikt też przestąpić nie może jej progu, jeżeli się wprzód z nimi nie pozna, nie spoufali i nie pożyczą klucza do obszerniej nauk polskich świątyni.

Wyborne ich dzieła prozą i wierszem pisane, dostarczają czytelnikowi w każdym rodzaju stylu trafnych wzorów. Jakoż: historia polska Naruszewicza; Doświadczyński, Pan Podstoli, bajki i satyry Krasickiego; Sofjówka Trębeckiego; sielanki, przekład psalmów Dawida, Karpińskiego; jak niemniej przekłady z Homera, Wirgiljusza, Milтона i Junga, Dmochowskiego; czyż mało zawierają przykładów do zaostrenia dowcipu, z bogacenia imaginacji, oświecenia rozumu i przejęcia się tą miłą prostotą, naturalnością i męzką jędrnością wystowienia?

Przeczytawszy ze czcią, przynależną prawdziwym talentom, tu wymienionych klasyków, należy już do coraz nowszych pisarzy przystępować, pisarzy mówię, którymi się chlubił wiek XIX, lub podziśdzień chlubi.

Odgłosem sławy Bajrona, Szyllera, Getego wzbudzeni polscy pisarze, z młodzieńczą radością powitali jutrzenkę, wróżącą błogie zmiany i

przeobrażenie się literatury naszej. Odtąd wzgardzili oni prawodawczemi Boalów i La Harpów przepisami, lecz twórczym talentem zwrócili całą uwagę uczonych ziomeków na skarby w własnych niwach odkryte, na wypadki z dziejów ojczystych wysnute, na lud, na gmin— i stworzyli literaturę romantyczną, albo raczej narodową.

Przebaczmy tu może zbyt zbytecznym wykrzyknikom i uniesieniom wprost skierowanym przeciw powstającej romantycznej szkole; przebaczymy tém bardziej, że wyszły z pod pióra tak znakomitych i w literaturze naszej ze wszech miar zasłużonych mężów, jakeimi byli Jan Śniadecki i Ludwik Osiński. Przykro im było rozstać się z dawnymi wyobrażeniami, do których byli nawykli, przykro było patrzeć jak gmach klassycyzmu z taką starannością przez nich wspierany, coraz i coraz upada, a z pod jego gruzów bujna i tryumfująca wyrasta romantyczność, hodowana przez tak młodych ogrodników, jak autorowie: Grażyny, Rusalek, Marji, zamku Kaniowskiego i t. p.

Lecz jeżeli kiedy, to teraz młody czytelnik ostrożnie sobie poczynać powinien: nigdzie bowiem nie znajdzie tyle omamienia i fałszywego towaru, co w dziełach z téj epoki autorów; skłnią się one wprawdzie niemałym blaskiem, są napełnione niemałym bogactwem imaginacji, ale téż większa ich część prócz szumnych wyra-

zeń, tych zewnętrznych błyskotek i fantastycznych przebujalności— rzeczywiście nie zawiera w sobie żadnego, a przynajmniej bardzo mało pokarmu dla duszy, żadnej budującej nauki i tylko myśl błąka i wprowadza na rozmaite bezdroża i manowce, z których bez oczywistej szkody i uszczerbku wybrnąć nie podobna. Dla tego też radziłbym usunąć z przed oczu wszystkie romanse, których tłem nie jest ani historia, ani rzeczywistość; wszystkie blahe książeczki przez młodych pisane dla młodych, a co gorsza przez zepsutych dla zepsutych, a czytać i aż do gruntu zgłębiać wszystkie piękności dzieł, prócz wyżej wymienionych, także nieco poważniejszych romantyzmu zwolenników, jako to: Brodzińskiego, Korzeniewskie, Grabowskiego, Wiszniewskiego, Kraszewskiego i tylu innych znakomitych pisarzy dzisiejszych czasów. Ich dzieła zwłaszcza też Kazimierza z Królowki, wystarczą nam do zaprawienia się w wybornym stylu, w sposobie nowego i trafnego zapatrywania się na rzeczy, oraz tój słodczy i wdzięku w wylewaniu uczuć swoich, w czem Brodziński nie ma sobie podobno równego.

Teraz dopiero, gdy czytelnik poznał już zasadnie wszystko to, co było godnym poznania, w pisarzach z wieku XVIII i XIX, może bez żadnego wachania się, bez żadnej dla swego je-

zyka i stylu szkody, przystąpić i do dzieł złote-go wieku Zygmunów. Nabywszy już bowiem znacznej wprawy stylu i ustalwszy swój gust na pisarzach czystą i poprawną polszczyzną pi-szących, nie ma się już potrzeby obawiać o prze-jęcie przestarzałych wyobrażeń, niezgodnych dziś z duchem czasu, o zepsucie sobie wysłowienia na wyrazach i wyrażeniach dawnych, dzisiaj już w żadnym rodzaju pisma nieużywanych.

Rej z Nagłowic, Jan i Piotr Kochanowscy, Bielscy, Szymonowicz, Klonowicz i Zimorowicz, Górnicki, Skarga, Grochowski, są najcelniejszych mi wieku XVI pisarzami.— Ich dzieła są wzorem szczególniejszej prostoty myśli i stylu, jak niemniej trafnego malowania wszystkich zwy-czajów i obyczajów starożytnych przodków na-szych. Z nich to pozna czytelnik, jako z pier-wiastkowego źródła, ściśle pobratymstwo narze-cza naszego z innemi słowiańskimi,— pozna ile to wprzód trudności zwyciężyć musiano, nim język polski gruby i nie okrzesany w początkach, zdołano przyprowadzić i ugiąć do tej formy, jak go widzimy w rzewnych trenach Kochanowskie-go, jedrnej i dzwięcznej prozie Górnickiego. I któż potrafi być nieczułym i obojętnym na tyle zasług tych znakomitych mężów, którzy byli pier-wszymi twórcami ojczystej mowy i literatury? A też troskliwość ich i nieskażona żądza nie-

sienia na wyścigi swych rad i pomocy dla dobra kraju i współobywateli, nicże u nas nie będą znaczyć? Ach, dopóki mowa, dopóki pismo, co mówię, dźwięki ojczystego języka słyszane będą, dopóty wysławiać ich i przekazywać z największą wdzięcznością odległym pokoleniom, najświętszym będzie naszym obowiązkiem.

Otóż przebiegliśmy w krótkości wszystkie skarby piśmiennictwa polskiego, podaliśmy rady od jakich autorów poczynać powinni młodzi czytelnicy i na których kończyć mają, aby się dla nich stali prawdziwie korzystnymi, nietylko pod względem wewnętrznym, ale i pod względem zewnętrznej barwy czyli stylu i wysłowienia. Tuszymy sobie, że postępujący podług tych rad z przekonania wysnutych, nie zawiodą się na nas; lecz przeciwnie, że droga przez nas wytknięta doprowadzi ich do najpomysłniejszych skutków, że smak i pióro takim porządkiem kształcone, przyrzuci także kiedyś, jaki niezwykły kwiatek do piśmiennictwa naszego.

A. Z.



SOBOL.

Sobol należy do rzadszych i kosztowniejszych zwierząt, żaden zaś kraj ani tyle, ani tak pięknych soboli nie mieści jak Syberja, w której gęstych lasach najliczniej na nich polują. Sobol, chytre, zwinne, szczególnie bystrym słuchem obdarzone zwierzątko, stroni od mieszkań ludzkich, i najchętniej przebywa nad pustemi rzek brzegami, w zaroślach, gdzie nawet promień słońca przedrzeć się nie może.— Żyje w jamach ziemnych lub w wydrążeniu starych drzew, żywi się leśnemi owocami, rybami, a nawet w ziemi mięsem wiewiórek i młodych zajęczków które z nadzwyczajną chwyta zręcznością. Sobol ma zwykle długości stóp 2 wysokości st. 1. ciało ma okrągłe, głowę szeroką, szyję krótką,

nogi niskie pięcioma ostremi pazurami zakończone, ogon puszysty prawie połowę tak długi jak całe zwierzę.

Futro sobolowe, tak wysoce cenione, odznacza się cienkością, miękkością i połyskiem włosa, niemniej trwałością skóry. — Sierć sobolowa tak jest osadzoną w skorze, że na wszystkie strony z równą łatwością układać się daje; dzielą ją na trzy gatunki: — włos długi na półtora lub dwa cale, świecący, ciemny, a czasem srebrzysty; drugi gatunek krótszy, wełnisty, szarawej barwy i bez żadnego połysku, zwany podsadem; na koniec tuż przy skórze wznoszący się krótki, miękkuchny puszek. — Barwa soboli od brunatnej do zupełnie czarnej się zbliża.

Północne okolice Azji i Ameryki obfitują w sobole, te z nich które wschodnią zamieszkują stronę, piękniejsze mają futra od tych co ku zachodowi żyją. Najpiękniejsze i najdroższe jednak, których włos tak jest czarny i świetny jak krucze skrzydło, chwytają w Syberji nad rzeką Olckmą, z téj strony Bajkału i w okolicach Nerczyńska.

Polowanie na sobole zaczyna się z pierwszymi śniegami. — Strzelcy opatrzeni w strzelby, łuki, łyżwy, i kilkodniową żywność, wybierają się pojedynczo na łowy, każdy bierze z sobą psa

gończego, i za jego wężchem idzie w najciemniejsze lasy, przeciska się w najgłębsze zarośla, a jak tylko spostrzeże sobola, już biedne zwierzę choć na drzewo się wdrapuje, lub w pień spróchniały się wsunie, nie ujdzie z życiem.— Gdy po śniegu brnąć wypadnie, strzelec przywiązuje do nóg łyżewki, to jest podeszwy wielkie, drewniane, w kształcie czółenka zrobione, które ułatwiają mu drogę; w czasie gołoledzi wdziewa bóty kolcami podbite, by się na śliskiiej utrzymać drodze, a jednak bywają pory, gdzie niepodobna zwykłym sposobem zastrzelić sobola.— Wtedy zastawiają na nie łapki rozmaite, najczęściej zaś w znajomém przejściu zakopują łuk naciągnięty, skoro zatém sobol przebiegając dotknie wyprężonej cięciwy strzała wypada i ubija go na miejscu. Zręczny i czynny strzelec, może z dobrym psem ubić czterdziestu soboli w prześiągu miesiąca;— ale ileż to trudu, ile niewygody, ile nocy przemarzonych na śniegu pod gołym niebem, przy słabym płomieniu zmarzłych gałęzi, bo łatwo pojąć że myśliwi na noc do mieszkań nie wracają.

Nazbierawszy pewną ilość futer, strzelcy opuszczają lasy, przy wyjściu z nich spotykają zwykle czekających już w chatach przekupniów, którzy od nich skóry kupują, płacąc najczęściej tytuniem, płótnem i suknem grubém, solą, ma-

słem i innemi nieodzownie potrzebnemi przedmiotami, dokładając niewielką sumkę pieniędzy, która po pięciu miesiącach polowania, musi wystarczyć na wyżywienie myśliwca i jego rodziny przez resztę roku.

Sobolowe skóry przechodzą dopiero w ręce garbarzy, wyprawione dobierają podług gatunków, wiążą w pęki zwane sorokami z których każdy czterdzieści skórek liczy, i wysyłają na jarmarki.— Cena takich pęków rozmaita bywa, od tysiąca rubli do 5 — 6 a czasem i więcej dochodzi.— Najlichsze futra sobolowe wyprowadzają do Chin, gdyż chińczycy biegli w farbowaniu, mało cenią piękną barwę. Z rąk kupców skóry sobole przechodzą do kuśnierzy, i tu dopiero przybiegają postacie w jakich my je znamy;— już to z całkowitych skórek zszywają płaty znane pod nazwą *blamów* których na podszycie szub i sallow używają;— grzbiety służą na kołnierze lub obnowy, szyje i łebki na damskie *boa*, niemniej nóżki i ogonki, z których również tę część stroju wyrabiają, — Im-staranniej dobierane futerka, tém są kosztowniejsze; na palatynkę potrzeba czasem 200 do 300 sztuczek, a na *boa* 100 do 120 ogonków wychodzi, ale też za to trzeba za nie przeszło 1000 rubli zapłacić.

Ogromna summa! nieprawdaż? a jednak gdy

policzym ile to rąk przyłożyło się do wystawienia jednego takiego przedmiotu, przyznać wypadnie, że nie nadto opłaca taką fraszkę, komu się skarby dostały w podziale.

P. K.

WIDOK Z OGRÓDKA.

(obraz z natury).

—306—

Uiły, powabny wieczór przybywał na ziemię,
Zwolna się błękit nieba odziewał w płaszcz szary,
I głośnie wrzawy w ciche zamieniały gwary;
Ptaszek już do spoczynku drobne nagłąc plemię,
Przyjemną na dobra-noc piosenkę zanucił.
Już wieczerzę zwiastował dym idący z chatki,
Już i czułe wezwania kochającej matki
Nad brzegiem się bawiące powołało dzieci,
A rybak w nurty Wisły wątle swoje sieci
Po raz ostatni zarzucił.

Skryło się świetne słońce, promyk tylko blady
O wyniosłe klasztoru odbijał się wieże.
Wtém błysły dwa obłoczki białuteńkie, świeże,
Ku zachodniej dążąc stronie.

Jeden w drugiego wiernie postępował ślady,
Obu pełen wyrazu ozdabiał rumieniec,
Jakim w uroczych chwilach uniesienia,
Uderzony zjawiskiem zdobi się młodzieniec,
Gdy w sercu pełnym uczuć święty ogień płonie
Dla wzniosłych dzieł przyrodzenia.

Przede mną cicha Wisła korytem wód czystych
Jaśnieje jak zwierciadło wybrzeżów kwiecistych,
Jak oko prawdy, jak serce bez zmayı!

Czasami tylko łódka, po trudzącym biegu,
Z szybkością do znanego przybywając brzegu
Lekkie na wód powierzchni pozostawia ślady,
Lecz drobniutkie, jak smutek co pośród roskoszy
Na chwilę czoło zachmurzy,

Ale małą chmurką niewróżącą burzy
Którą słońce szczęścia spłoszy.

Z drugiej strony zamczyska bielą się ułomki;
Widać małe ogródki, w nich mieszkania pszczołek
I wiejskie domki,

Nad którymi wyniosły panuje kościółek.
Dalej błyszczy gościniec jak srebrzysta wstęga,
Z niechcienia na kwiecistym rzucona kobiercu,

A gościniec prowadzi do rodzinnej strony
Któręj oko nie dosięga,
Za którą jednak ciągle goni wzrok spragniony
I myśl bez ustanku krąży
I stęsknione serce dąży.

W. T.

MOTYLEK.

Maleńki Władzio skacząc radośnie, powracał z ogródka i wołał: patrz, patrz tatko, jakiego ślicznego złapałem ptaszka. Siedział na kwiatku a skrzydełka jego błyszczały jak srebro, jak złoto — ach! piękniej jeszcze! cichutko zbliżyłem się do niego i schwyciłem. O, schowam go starannie, dam mu mleczka, bułeczki, pewno mi nie uciecze. Tak mówił Władzio szczęśliwy.

Pokaż-że nam zdobycz twoją, rzekł ojciec, niech i my się nią nacieszymy.

Władzio prędko sięgnął ręką za suknię i wyjął dużego motyla.

Ależ niestety, skrzydełka blask utraciły, deli-

katna ich tkanka zupełnie się potargala, a różnobarwny pyłek przylgnał do rączek dzieciны.

Władzio westchnął gorzko. Jaka smutna zmiana, powiedział, już zupełnie niepodobny do tego ślicznego ptaszka, co siedział na kwiatku. Ach! jeżeli są tak zmienne!... i rzucił z niechęcią motyla na ziemię.

Przeciw komu się oburzasz? powiedział ojciec, czyż to jego wina, że tak delikatne miał kształty, i że ty zbyt ciężką chwytając go rączką zniszczyłeś blask jego skrzydełek?

.W T.

POŻAR W STEPIE NA WYSPIE ŚWIĘTEJ TRÓJCY.

(z notatek podróżnika).

Od kilku miesięcy przebywając w wiejskim mieszkaniu gościnnego hiszpana, umyśliłem, przy suchém i pogodném powietrzu wybrać się na koniu do stolicy wyspy, dla załatwienia niektó-

rych okoliczności; — pewnego zatem poranku wybrałem się konno w drogę, gospodarz mój obawiając się bym nie zabłądził, dał mi konnego przewodnika, a tak, wesoło i bez przypadku, za kilka godzin stanąłem w Chaguanas, gdzie posiliwszy się nieco, i dawszy wytchnąć koniom ruszyliśmy w dalszą drogę.— Czteromilowa przestrzeń dzieliła mię jeszcze od miasta, można ją było przebyć rzeką Carony, lecz nie znalazłszy nigdzie przy jej brzegach przewozowego statku, musiałem się puścić stepem, czyli jak to zowią sawanną.

Cały ten kawał urodzajnej ziemi, dla braku spławów nadzwyczaj jest błotnisty, a nawet w dżdżystej porze zupełnie wodą zalany, lecz wtedy właśnie po dłuższej suszy można było bezpiecznie i wygodnie przebyć tę puszcę, śmiało więc i ochoczo puściłem się za moim przewodnikiem.

Lecz ujechawszy kilkaset kroków spostrzegłem że towarzysz mój chwiał się na koniu, na pytania moje niewyraźnie odpowiadał, słowem okazywał dowodnie że na popasie zawiele wypił araku.— Widząc że zamiast pomocy, utrudzenie z nim tylko mieć będę, wypytałem go się jak można było najdokładniej o drogę przez step, i kazałem wrócić do domu, co też z największą wykonał chęcią.

Z początku szło mi dobrze, jechałem wśród bujnej, do czterech stóp wysokości trawy, natrafiłem na cztery piękne palmowe drzewa, o których mi przewodnik wspominał, i z kąd w prostym kierunku miałem już zmierzać ku miastu, ale oczywiście nieprzytomnym sobie był wówczas, gdyż prosto przede mną wznosił się las, trawy i sitowia który niebardzo łatwo przebyć było można. Olbrzymie trzciny grubości ludzkiego ramienia wznosiły się na dwanaście do piętnastu stóp w górę, a rosły tak blisko siebie, że koń mój z największą trudnością przedzierał się między niemi.— Kilka razy chciałem się już wrócić, lecz widok gór wznoszących się przed stolicą przekonywał mię, że w właściwym dążę kierunku, i wstydziłem się sam przed sobą wracać, mając już tylko milę drogi do celu.

Nagle z podziwieniem ujrzałem gromady zwierząt przeciskających się spieszenie w rów sitowia, choć z nikąd nie dochodził odgłos polowania; tu lekkich aguti i antylop trzoda, tu psów dzikich kilkunastu, tu tygryca z kilkoma młodemi; gromada świń dzikich z przeraźliwem przeskakała chrząkaniem, ogromny wąż dusiciel przesunął się o kilka kroków ode mnie, nawet żółw powolny w tę samą zmierzał stronę.

Kiedym się namyślał co-by to wszystko znaczyć miało, i jaka nieznana przyczyna pogodziła

nagle tak nieprzyjazne sobie zwierzęta, koń moj parsknął, najeżył grzywę, i rozwartém nozdrzem poskoczył w stronę, którą tyle już istot pobiegło.— Nie pojmowałem zupełnie dla czego żadnym sposobem nie dał się ku miastu zawrócić, i choć zmęczony poprzednią drogą biegł pędem błyskawicy, ale wnet dziwny trzask i dym lekki, objaśniły mi okropność mego położenia, step się palił;— jeszcze kilka minut, a ja i koń w węgel się zamienimy! — Szlachetne zwierzę ostatnich sił dobywając wyniosło mię jednakże z zarośli, i dziwnie instynktem wiedzione zmierzzało ku ogromnemu bagnisku, w którym mnóstwo rozmaitych zwierząt przyczaiło się przed niebezpieczeństwem.— Czas już było; zaledwie stanęliśmy wśród bagna, gdy z okropnym świstem płomienie dosięgły nadbrzeżnego sitowia i skrzyżowały się nad naszymi głowami.

Zeskoczyłem z konia, i zanurzyłem się aż po piersi w błotnistej wodzie, bo niepodobna było znieść okropnego upału, cała kałuza parowała, zwierzęta jęczały z gorąca i drżały z przerażenia, koniowi memu musiałem głowę wodą polewać bo omdlewał z wysilenia, a sam zanurzyłem się aż po szyję, a nawet kilkakrotnie zamknawszy oczy i usta zagłębiłem się zupełnie dla chwilowej ochłody.

Przez pół godziny zostawałem w bagnie, i oswo-

jony cokolwiek z swoim stanem, dziękowałem Bogu, że mi to schronienie znaleźć pozwolił, a razem z podziwieniem patrzyłem jak w obawie o życie węże w kłęby zwinięte przytulały się do psów, tygrysięta i ich matka nurzały się między antylopami, — tymczasem pożar ustał; — znużone oczy moje spoczęły na niebie czarnemi zasępieniem chmurami, i nadzieja ocalenia wstąpiła do méj duszy: — bo nie minęło jeszcze dla mnie niebezpieczeństwo, — Zwierzęta tak spokojnie przed chwilą mogły rozpocząć walkę pomiędzy sobą, lub rzucić się na mnie, a do ucieczki nawet podobieństwa nie było, gdyż ziemia rozpalona pożarem porozpadała się, i podobną była hutnemu piecowi z gorąca.

Pragnąc jak najspieszniej wyjść na suche miejsce, począłem skórzaną czapkę czerpać wodę i polewać nią wysuszone brzegi bagniska, lecz woda z sykiem niknęła na ziemi i zamiast chłodu gęsta para obwiewała mi twarz i ręce. — Nakoniec rozwarły się ciężkie chmury, deszcz obfity zlał spieczoną ziemię, a w godzinę potem siadłem na konia i oddaliłem się od zbawczej kałuży na której brzegu *Boa constrictor* potykał już dzikiego jamnika. — Obmywszy się w rzece Carony, zmęczony pospieszyłem do miasta, i dowiedziałem się że co rok umyślnie zapalają stepy, już dla przeszkodzenia zbytnej roślinności,

która z czasem mogłaby wszelkim związkom między jedną a drugą częścią wyspy przeszkodzić, już dla wytopienia szkodliwych zwierząt, a czasem téż pożar taki prowstaje przypadkowo, iskra z cygara, lub końskiej podkowy może wywołać płomień na milę lub więcej rozległe, może tysiącom istot odebrać życie.

P. K.

MIALI SABAUDCZYKOWIE.

Któż z podróżnych przebiegając Alpy Sabaudji, na widok tych rozległych dolin rozwijających się przed jego okiem w całej ponęce świeżej zieleności, przy szemrzeniu tych potoków co bezustannie to nad głowami jego się toczą, to pod stopami wrą w głębiach rozpadlin skalistych, kto nareszcie przy tém żywém wzruszeniu które powietrze stref górnych w duszy jego obudzi, nie pozazdrości cudnej siedziby mieszkańcom tak pięknej okolicy. Któż w snach swojej młodości nie marzył o chatce na schyłku alpejskiej góry— przy źródle strumyka, otoczonej bujnemi łąkami i cieniem drzew kiłku? Ależ te krajobrazy tak uśmiechające się letnich ozdób wdziękiem, tak

poważne śniegową swoją szatą; te wzgórza tak cudnej zieloności, ponad któremi wznoszą się Alpy niebotyczne, a nad niemi odwiecznie Mon-Blanc króluje, ta nareszcie ziemia tak pełna wziostłych i poetycznych wrażeń, nie ma chleba dla swoich mieszkańców. Po najcięższych trudach nie prawie nie przynosi uprawiającej ją ręce, a jednak dla ozdoby swojej zachowuje wszystkie skarby obfitej wegetacji, jakgdyby chciała okazać i niepodległość i własną siłę swoją, odmawiając urodzajności wszystkim obcym jej ziarnom. Lud sabaudzki, można powiedzieć, tylko się rodzi na ojczystych dolinach i na nich umierać powraca. Podobni do tych rzek wielkich które ich góry szlą ku Niemcom, Włochom i Francji, i oni rozpierzchają się po sąsiednich krajach, wyczerpnąwszy z niskich chatek swoich, których nie zapominają nigdy, prostotę, prawosć i wierność tak niezachwianą jak śniegi wierzchołki ich gór okrywające.

Zwykle przy końcu jesieni karawany się zbierają. Każda matka wyprawiająca dziecię, już od tygodnia nie zmrużyła oka, chwilki spoczynku nie zakosztowała, tyle ją starania zajmowały, niepewność trapiła! Trzeba było sporządzić kaftan z grubego sukna, wyprawić dzieci z czystą bielizną. Dzieci te czyż zawsze będą miały robotę i pożywienie?... Czy powrócą kiedy do wioski swojej?... Ileż łez przerywało te zajęcia! ile modłów wywołały z głębi serca!

Nakoniec nadszedł dzień rozłączenia. W osadzie każdej znajduje się kilku ludzi którzy wędrowali po Francji, ich więc opiece powierzają teraz dzieci. Jeszcze nie rozpierchły się mgły poranne, oni już są na miejscu zebrania i przewodzą zbiegającej się gromadce, i uspakajają zasmucone matki; dzieci stoją smutne ale posłuszne, bo pleban mówił: że Bóg chce tego. W torebkę składają chleb podany, jeść nie mają odwagi. Oczy wlepiły w żegnającą rodzinę, w matki oblicze która im napomnienia jeszcze daje; słuchają, — długo może nie! usłyszą tego słodkiego głosu, może nigdy... Uszy ich żadnego wyrazu nie rozróżniają, ale myśl serce pojęło, rzuciły się w objęcia i ciche łzy ukryły na łonie kochającej istoty. Msza na intencję podróżnych się zaczęła, z wielką pobożnością wysłuchała jój gromadka; teraz się każdy gotuje do drogi, podano dzieciom skrzyńczkę z uspiętym bobakiem, pokazano im jak trzymać kominiarskie narzędzia; matki przywiązują im wylądowane tłumoczeki, ściskają je po raz ostatni i wracają do chaty oplakiwać rozłączenie. Gromadka zstępuje w milczeniu dróżką z góry wiodącą, towarzyszą jój młodsze dzieci, zachęcająca do wytrwałości rodzina i pleban który zatrzymawszy raz jeszcze wszystkich, błogosławi oddalającym się, żegna ich krzyżem Zbawiciela i z zasmuconą rodziną powraca do wioski.

W. T.

Dobroczywność nagrodzona.

Bo kto sierotę przyjmuje pod strzechę,
Z tym bliższy Bóg — w dom zsyła pociechę.

K. BRODZIŃSKI.

W jednym z wyniosłych domów Starego-miasta, nad czwartym piętrem, było waziutkiem oknem oświetlone poddasze; z trzech stron tarcicami utworzone ściany, z czwartej część dachu ukośnie go zakończyła; musiało kiedyś służyć na skład niepotrzebnych sprzętów, teraz mieszkaniem się stało. Pośród niego na pęku rozrzuconej słomy, spoczywała młoda i piękna niewiasta. Twarz jęj blada i smętna nosiła piętno wielkiego cierpienia, licha odzież okropną nędzę zwiastowała, a jednak w całej postawie malowała się jakaś szlachetność, wyższość i boleść uciśnionej cnoty.

Wysoko już na niebie musiało być słońce kiedy przez wązkie, w górze umieszczone okienko wcisnęło się na poddasze; promień jego padł prosto na twarz spoczywającej kobiety— zbudziła się— Ach, ona może już dawno nie spała, tylko obawiała się otworzyć oczu, spojrzeć na nędzę swoją— a może snem dłuższym chciała przytłumić głód straszliwy i zimno dokuczające nieznośnie.

Obok niej zakwiliło wynędzniałe dwumiesięczne dziecko, lichemi owinięte szmatami. Usiadła niewiasta, na kolanach położyła dziecinę, a otulając ją starannie wytartą suknią, rozgrzewała tchem własnym.

Moja jedyna córo, mówiła żałośnie, nie w takiej ja cię nędzy kołysać myślałam, nie w takie szmaty ubierać!“ I przycisnęła ją do łona, jakby pieczęcią macierzyńską złagodzić chciała surowość losu. Łzy rzewne oblały twarz biednej matki. Mój Boże! na świecie tak było wesoło, słońce świeciło tak jasno! Dzień pogodny, wyborna sanna większy ruch sprawiła na ulicach stolicy, tysiące rączych sanek przesuwało się w różne strony, dzwięcznie w powietrzu rozlegał się odgłos miłych dzwoneczków; wszystko zdawało się przemawiać swobodą, szczęściem,— a tam na poddaszu... tak gorzko płakała cierpiąca niewiasta.

Nagle się drzwi otworzyły, wszedł młody mężczyzna wysokiego wzrostu, ale ciężarem myśli i troski pochylony ku ziemi; rozpacznie rzucił się na posłanie i nic niemówiąc wsparł głowę na dłoni.

— I cóż, Karolu, zapytała słabym głosem niewiasta, sprawa nasza czy sądzona?

— Przegraliśmy! odpowiedział ponuro.

Niewiasta głośno płakać zaczęła— po chwili rzekła.

— Widzisz Karolu, wszak ja mówiłam nieraz, prosiłam, zaklinałam: zgodnym skończcie sposobem, po co te procesa? pytałam, jaki ich koniec będzie? lepiej na małym a pewnym przestać. Jedna wioseczka, cichy kawałek chleba, sumienie spokojne; ach! czyż-to do szczęścia tak wiele potrzeba było!— Nie chciałeś mnie słuchać— a teraz... Pójrzała ku niemu— twarz Karola dziwny przybrała wyraz, oko łzą nabrzmiało. Widok męskiego żalu rozbroił serce niewieście.

— Przebacz mężu! zawołała, przebacz niewczesnemu uniesieniu, to nie żona mówiła— to mówiła matka. Przypatrz się tylko tej nędzy, temu wyniszczeniu, nie mam czém żywić dziecięcia, wszakże od wczoraj rana nic w ustach nie miałam.

Widok dziecka powrócił przytomność ojcu, wyciągnął dłoń ku żonie.

— Aniela! ja zblądziłem, ale co czynić teraz? mów, wszystko wykonam, bo ja już nie umiem myśleć.

Aniela zdjęła z palca obrączkę ślubną, Karol już swojej nie miał. Oto, powiada, złoto... zmień, sprzedaj— a przynieś prędko chleba. I niepatrząc wsunęła ją w rękę męża, który wybiegł natychmiast. Nieszczęśliwa kobieta ostatnim uderzona ciosem rzuciła się na posłanie przepelniona żalem, widziała całą okropność swego położenia; gdyby chociaż mogła pracować, gdyby miała matkę, siostrę, rodzinę; ale ona sama jedna na świecie, a mąż tak okropnym dotknięty zmartwieniem, nieprędko będzie mógł się oddać jakiemu zajęciu; serce jej rozdzierało się z żalu, dreszcz gorączkowy przebiegał, łza ani jedna nie spłynęła. Złożyła ręce do modlitwy— usta już głosu wydać nie mogły, przytomność ją opuściła.



W kilka dni potem w gmachu szpitalnym Ś. Rocha, w gorączkowej sali, już późno w noc, przechadzała się wolnym krokiem Siostra-miłosier-

dzia pomiędzy rzędem ustawionemi łózkami; troskliwie badające ję oko przebiegało kolejno po twarzach ję pieczy powierzonych osób. W rękę trzymała rożaniec, ale jużto podobno po trzeci raz go od początku zaczynała, końca niedoszedłszy, bo tu trzeba było chłodzący napój podać, tam godzina lekarstwa wzywała, tu wreszcie dotknięcie chłodnej ręki zmniejszało żar gorączki. Bóg pewno czyny te przyjmował za najżarliwszej modlitwy słowa, bo twarz młodej swojej służebnicy upromienił takim wyrazem wewnętrznego wesela, takim odblaskiem szczęścia, że gdzie zwróciła spojrzenie, nadzieję wlewała w serce, ufność nieciła w duszy.

Zbliżyła się teraz do rogu sali i siadła przy łóżku bezprzytomnie leżącej niewiasty, która jako najmocniej cierpiąca, największą troskliwość wzbudzała. Niewiastą tą była znajoma już nam Aniela, mąż rozpaczający znalazłszy bezprzytomną i tak bardzo cierpiącą, umieścił w szpitalu— ależ mimo starań lekarza i gorliwych doglądań zakonnice, dotąd żadnej nadziei życia nie było. I teraz właśnie pasowała się prawie ze śmiercią, gorączka paliła ję usta, a pot zimny oblewał czoło, zdawała się głębokim snem uspiona już od kilku godzin, sen ten albo śmiertelne osłabienie, albo przesilenie choroby miał wróżyć, dla tego więc litościwa Siostra-miłosierdzia tak

badawczo śledziła każde wzniesienie piersi, każde poruszenie nawpół zmartwiałej twarzy. Ufność tak silna w łaskę Boga, ani na chwilę nie opuszczała pobożnej chrześcijanki i przy łożu konającej już prawie Anieli, jeszcze powtarzała cicho akty nadziei.

Wtém nagle chora poruszyła się na posłaniu, ręce zsunęła ku piersi, a otwierając zwolna oczy zcicha wyrzekła:

— Boże wielki! tobie oddaję dziecinę moją; — niech się dzieje święta twoja wola.

I znów zamknęła oczy — sen ją opanował, ale już nie ten sen gorączkowy, męczący, tylko spokojny, krzepiący siły zwątlale; zdawało się że choroba ustała, osłabienie tylko jeszcze było wielkie. Tak przespała noc całą. Z pierwszym blaskiem dnia następnego, mąż jój wszedł do sali; czuwająca jeszcze zakonnica opowiedziała mu pocieszające swoje spostrzeżenia, z niedowierzaniem ich słuchał; usiadł przy łóżku i ujął rękę cierpiącej w drżące swoje dłonie.

Chora otworzyła oczy, spójrzała na niego, potem w koło siebie. Cóż-to jest Karolu? wymówiła słabym głosem, co się ze mną działo, gdzie jestem?

Mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko ukląkł przy łóżku i całował jój rękę.

— To szpital, rzekła ciszej Aniela, tak, widzę,

to szpital; ciężkie westchnienie wydarło się z jej piersi. Mężczyzna pochylił głowę, oko zakonnicy dużą łzą zabłysło, spostrzegła to cierpiąca i wyciągnęła ku niej rękę, wdzięcznym spojrzeniem przyjmując oznakę współczucia.

— Ależ Karolu, zapytała znowu Aniela, gdzie dziecko nasze? I patrzyła mu badawczo w oczy— cała miłość macierzyńska odbiła się w tém spojrzeniu. Karol podniósł głowę, chciał coś mówić, ale się wstrzymał, walka przeciwnych uczuć mallowała się na twarzy jego.

— Zgaduję, ono już nie żyje! Czegoż się wachasz potwierdzić domysły moje; nie lękaj się, nie lękaj o mnie, jam go już dawno ofiarowała Bogu. Jego święta wola się wypełniła. Cicha łza jednak spłynęła po licu pokornej chrześcijanki.

— Bądź spokojna Anielo, odrzekł mężczyzna, nie płacz, Bóg zasmucił, Bóg pocieszy. I wybiegł z sali bojąc się dłuższą rozmową utrudzać zaledwie do życia wracającą żonę.

Znowu kilka tygodni minęło; Anieli z każdym dniem sił przybywało, już dawno opuściła salę chorych; troskliwe zakonnice otoczyły ją najczulszemi staraniami, ale przy tych wszystkich sta-

raniach i wygodach smutek ciągly malował się na jęj twarzy, bo pierwszy dzień jęj powrotu do zdrowia, był zarazem ostatnięm widzeniem się z ukochanym małżonkiem. Naprózno go odtąd codziennie wyglądała, oczekiwała daremnie, dzień za dnięm upływał, a on nie wracał. Nareszcie zranione tyloma ciosami serce przygotowało się i do tęg straty; w cichości oplakując zgon jęgo, zaczęła myśleć jakim sposobem dalszy byt sobie zapewni. Jak wywiązać się za tyle pieczołowitości, tyle odebranych dowodów miłosierdzia.

Wtęm dnia jednego przynoszą jęj list obszerny, serce Anieli zadrżało— ręka nie śmie zerwać pieczęci— Zakonnice odwagi jęj dodają, świadome poniekąd treści pisma, i nieodstępując nieszczęśliwej balsam pociechy wlewają w zępkane serce. List-to był od dalekiego kuzyna Karola z którym majątkowy prowadził przez lat kilka proces; potwierdził on domysły czujacęj kobiety— jęj mąż już nie żył. Szlachetny współzawodnik Karola w tych słowach donosił o tęg:

„Po zapadnięciu wiadomego zapewne pani wyroku, mianujacęgo mię dziedzicęm przez męza pani dzierzonych włości, ja niezmienając w niczém dawnięj podawanych mu układow, postanowiłem, częśc która jak sądzę słusznie mu się należy, oddać mu, pomimo przeciwnego wyroku. Niemogąc jednak dokładnie wywiedzić się o za-

mieszkań państwa, zwlokłem dni kilka wypełnienie myśli mojej. Los nastęczył mi spotkać Karola; znalazłem go zmienionym bardzo; tém spieszniej opowiedziałem mu postanowienie moje — z początku nie chciał mi wierzyć, ale kiedy po kilkakroć upewniłem go o prawdzie zamiarów moich, zerwał się nagle, chciał wybiedz, krew wystąpiła na twarz i padł bez przytomności. Przywołałem lekarza, otoczyłem staraniami — nic nie pomogło; władza i mowa ani na chwilę nie powróciła, robił usiłowania aby nam myśl swoją wyjawić, zrozumieliśmy tylko że chciał mówić o pani i o dziecięciu swoim, zresztą nie dojsć nie można było — a po kilko-dniowym cierpieniu na moim ręku oddał ducha Bogu.“

List ten kończyło zapewnienie wrócenia osierociałej żonie Karola, części dawniej posiadanych włości. Biedna kobieta obojętnie przyjęła ten dodatek, jej serce zmartwiałe na obraz pomyślności ziemskiej, żadnego do niej nie czuło popędu, jednakże nie odrzuciła daru, on jej zapewniał cichy, spokojny byt do śmierci i większą możność łagodzenia losu uciśnionych.

—306—

W dziesięć lat po tém zdarzeniu, Aniela strudzona mozolnym wiejskim życiem, które przy

nadwątloném zdrowiu tém trudniejszém się stawało; wypuściła majątność swoją w dzierzawę — a sama przeniosła się do stolicy. Nie miała ona zamiaru zajaśnieć wśród świetnych salonów, ni przepychem ćmić oczy drugich, chciała w cichości chwalać Boga, mieć częstszą sposobność poniesienia ulgi prawdziwie potrzebnym których zawsze tak wielka liczba po dużych miastach się znajduje. Obrała więc sobie skromne mieszkanie na ustroniu, zapelniła dni swoje pożyteczném zajęciem, wieczory czytaniem budującém, chwile wytchnienia nawet, dni świąteczne zwiedzaniem nędznych nadwiślańskich chatek, gdzie często udało się jój wyrwać z ostatniej toni nieszczęśliwą rodzinę — i tak jój dzień za dniem upływał cicho, nieznacznie. Kto widział jój pogodne czoło, rozjaśnione wewnętrznego pokoju blaskiem, kto spostrzegł uśmiech zdobiący jój twarz wybladłą, w chwili błogosławieństwa jakie zlewał na nią kaleka, starzec cierpiący, lub opuszczona sierota, myślał może, że ona jest bardzo szczęśliwa. A jednak Aniela kosztując pokoju cnoty, często była tęskna, zamysłona; sercu tkliwej kobiety brakowało istoty dla którejby mogła wyłącznie się poświęcić, którejby przywiązanie złagodziło gorycz bolesnych wspomnień. Już myślała nieraz aby przysposobić sobie dziecinę jakich ubogich rodziców, otoczyć ją stara-

niami, dać przyzwoite wychowanie, albo wziąć ubogą sierotę— ależ znów myślała sobie: dziecię przysposobione zawsze dowiedzieć się musi o swoich rodzicach, może do nich zatęskni, lub może kiedy wstydzić się będzie swojej rodziny; a sierota rzadko sercem córki ukocha, bo zbyt jęć drogą pamięć rodziców;— i po takich uwagach odsuwała myśl powstającą.

Dnia jednego, więcej niż kiedy myślała o swoim sieroctwie, marzyła o niém we śnie, wtém budzi ją dzwonek w szpitalu Dzieciątka Jezus, na ranne wzywający nabożeństwo. Aniela od kilku miesięcy mieszkająca blisko tego gmachu, nigdy jeszcze nie była w jego kaplicy— zrywa się więc spiesźnie, ubiera i idzie. Przed dużą bramą zwraca jęć uwagę koło z kolebeczką w którą zwykle wkładają dziecię opiece dobroczynnego zakładu powierzane. Ścisnęło się serce poczciwej kobiety:— mój Boże, mówiła, ja nie mogę utulić żalu po śmierci mojej dziewczki, a są rodzice co dobrowolnie wyrzekają się tego szczęścia!

Weszła na obszerne, starannie urządzone korytarze, widać tam było czystość utrzymującą w kwitnym stanie tę instytucją i staranie szczególne o zdrowie dzieci, w ogrzaniu przed-sionków kaplicy, do której codziennie zgromadzają się one na modlitwę.

Sama kaplica skromnie ale gustownie urządzona, oltarz zdobny pracą rąk młodych tutejszych wychowanek, przemawiał żywo o wdzięczności dla Najwyższego Pana, co wzbudziwszy tak piękną myśl w sercu gorliwego swojego wyznawcy, do skutku ją doprowadzić pozwolił.

Aniela klęka blisko drzwi wchodowych; z uderzeniem szóstej godziny lekki szmer dał się słyszeć na korytarzu, drzwi kaplicy szeroko się otwarły i wsunęło się parami liczne grono dzieci, osobno dziewczynki, osobno chłopczyki, młodsze na przodzie, starsze za nimi. Ukłękły wszystkie, korny Bogu oddały pokłon, potem złożyły nabożnie ręczki; kapłan rozpoczął ofiarę mszy świętej— a one łącząc niewinne swoje głosy, odezwały się dźwięcznym, choralnym śpiewem. Nie było w tym śpiewie trudnych spadków, przejść zadziwiających, ale była rzewność przemawiająca do serca, odbijała się ufną miłością Boga, którego wolno im było zwać pojętnym imieniem ojca. Aniela z rozczuleniem słuchała tej harmonji, nareszcie dziatki z prawdziwym wyrazem czucia zaczęły się modlić za nieznanym rodziców swoich. Tu już Aniela łez wstrzymać nie mogła; nagle myśl jej przychodzi jakim-by to szczęściem było dla której z tych nieszczęśliwych istot, gdyby znalazła osobę coby jej miejsce i czułość rodzicielską zastąpić chciała.

Tak, rzekła, Boże, ty sam mi myśl tę podajesz, dziękuję, stokroć ci za nią dziękuję!

Msza się skończyła, dzieci pozostały jeszcze chwilkę, Aniela wyszła i stanęła tuż przy drzwiach na korytarzu. Po chwili, pary dzieciak zaczęły się przesuwać koło niej, uważała je bacznym okiem. Chłopczyki mniej ją obchodzili— dziewczynki wszystkie jakby jednakie, w równych niebieskich sukienkach, białych fartuszkach, i obcisłych przy głowie czepeczkach. Trudno wybór w takim gronie uczynić. Wtém nasuwa się jedna bielsza i delikatniejsza od innych; promyk jasnych włosków wysuwa się z pod jej czepeczka, ciemne oczko jakby łzawe, a w całej twarzy wyraz głębokiego czucia, może świeżą obudzony modlitwą. Aniela posunęła się ku niej, zatrzymała w objęciu i tkliwe pocałowanie złożyła na jej czole. Dziwnie spójrzało na nią dziecię, ale musząc się łączyć z innymi odbiegło śpiesznie, w smętnym zamyśleniu pozostawiając Anielę.

W obszerniej sali, w gmachu Dzieciątka Jezus, zebrane dziewczynki starsze zasiadły do roboty. Jedne szyły cieką bieliznę, drugie przy dużych krośnach haftem się zajmowały, inne nakoniec

pilnie zajęte wyszywały skaplerze, nawłoczyły koronki lub też z wprawą widoczną kończyły różne drobnostkowe ozdoby kobiecego stroju.

Mistrzynie ich, czynne zawsze Siostry-miłosierdzia poprawiały uchybienia tych robót, wskazywały sposoby i przyrządzały nowe zajęcia kończącym wydzieloną sobie pracę. Jedna z dziewcząt z kolei wybrana czytała na głos Żywota Świętych Pańskich, wtém drzwi się otworzyły wbiegła śliczna ośmioletnia panienska i za nią bogata pani, która tu właśnie bogaty kostium na bal dziecinny dla córeczki swojej zrobić poleciła. Pięknie haftowana koszulka batystowa już była ukończona, a spódniczkę różową atlasową w śliczne zielone liście wyszytą, skończyła właśnie ta sama jasnowłosa dziewczynka, którą po mszy tak czulém uściśnieniem obdarzyła Anieli.

— Jadwiniu! przymierzysz zaraz twoje przebranie, rzekła pani do córeczki swojej, a usłużna dziewczeczka poskoczyła z ukończoną spódniczką pomódz panience. Ucieszona Jadwinia widokiem ślicznego stroju radośnie w rączki klaskać poczęła, i żywo poskoczyła w objęcia matki, która tysiącznemi pieszczoty obsypywała jedynaczkę swoją. Z boleścią serca na to spoglądała biedna dziewczeczka; ach! ona nigdy nie uściśnie matki swojej, myślała sobie, nigdy nie dozna jój pieszczoty! Przyszło jój na myśl pocałowanie

nieznanéj pani—jakaś tęsknota za tym uściskiem w sercu powstała, duże dwie łzy stoczyły się szybko po jéj twarzyczce i spadły... niestety! na nowiuteńką różową spódniczkę panienki. Przeżalenie i bojaźń odjęły jéj przytomność, zamiast usunąć kosztowną szatę, pochyliła się ku niéj i potok łez nowych oblał świetne ubranie.

Na widok ten pani groźne rzuciła na nią spojrzenie—mistrzynie surowo łajac chciała, ale dobra Jadwisia ujęła rękę matki i całując ją z uczuciem zawołała:

— Nie gniewaj się, nie gniewaj na nią, mamó! patrz ona taka biedna, ona jeszcze płacze!“

Znowu się drzwi otworzyły i z przelożonym nad zakładem weszła Aniela, powiodła do koła okiem i poznawszy po łzawych oczkach rano wybraną dziecinę rzekła:

— Oto ta dziewczeczka!

Przełożony kazał przybliżyć się wskazanej wychowance.

— Jak ci na imie, kochanko! zapytała pani.

— Marja.

— Imie mojej córki, rzekła ucieszona pani. A lat masz ile?

— Podobno jedenasty.

— Ach to zupełnie będzie złudzenie, i moja córeczka teraz właśnie jedenasty byłaby rok kon-

czyła. Cóż, zapytała znowu: Maryniu, chcesz być moją córką? będziesz mnie kochać jak matkę?

Dziewczynka stanęła w osłupieniu, ale że niedoli tak obcy uśmiech— łzami tylko radość swoją zwiastowała, wreszcie rzuciła się na kolana i zaczęła całować ręce tak dobrej pani co chce jój sieroctwo ukrócić.

— Ach, zawołała, ja myślałam że dopiero w niebie zobaczę matkę moją.

— Czy nie ma żadnej wiadomości o rodzicach téj dzieciny— zapytała pani zwracając się znowu do przełożonego. Czy żadnego przy niej nie znaleziono znaku?

— I owszem, odrzekł, a nawet zdaje mi się że będzie trudno oddać ją pani— bo podobno jest zastrzeżenie. Muszę jednak niepewność tę skończyć; i wyszedł szybko z sali. Pani tymczasem w rozmowie z zakonniciami dowiedziała się wiele bardzo szczegółów o dobroci, pracowitości i szlachetnych uczuciach Maryni; wszystko to jeszcze bardziej utwierdziło ją w przedsięwzięciu zajęcia się jój losem, tém-niecierpliwiej więc oczekiwała powrotu przełożonego, który miał albo dopomódz jój zamiarom, albo je zniszczyć zupełnie. Niedługo dał na siebie czekać, wszedł trzymając w ręku starannie przechowany papier przy którym znajdował się mały pierścionek z drutu złotego zakończony węzłem.

— Oto, rzekł, przy dziewczynce znalezione ślady.

Pani pochwyciła pierścionek, zdawał się jój być znajomy — ale czyż-to jeden podobny pierścionek na świecie — zbliża go jednak chciwie do oczu i czyta na boku węzła drobniutkiemi głoskami wyryte imię: *Aniela*.

Cóż za zdziwienie! taki sam pierścionek ona kiedyś mężowi swemu dała; i kształt jego i napis w zupełne wprowadza omamienie, ale czyż nie mogła inna Aniela mieć takiego pierścionka kiedy i wartość jego tak drobna! Chwyta więc szybko papier złożony — rozwija — oczom nie wierzy, dziwne uczucie sercem ośwładło. — To pismo jój tak znane, nie, ona się już nie myli, lecz stoi osłupiała; bladość śmiertelna na lica wystąpiła, znowu rumieniec niezwykły je oblał. — nareszcie czyta, jak zdaje się, drżącą ręką pisane wyrazy.

„Okropna nędza ciężką chorobą złożyła matkę dziecięcia, a ojciec nieszczęśliwy dziś własną ręką jedyną, ukochaną córkę swoją, wkłada w koło podrzutków.... Ach jakaż to jest boleść! nigdyby jój nie zniosło serce czulej matki, kiedy ojciec tak długo wachać się musil! — Ale czegoż się lękam — Przenajświętsza Marja jest jój patronką — a czuwać nad nią będzie Dzieciątko Jezus. — Idź więc, dziecińo moja! idź, od kolebki

próbuj dzwigać krzyż Chrystusa, łatwiej, korniej kiedyś zniosą go przywykłe ramiona, a czyjeż życie wolne od ciężaru jego?....

Błogosławieństwo ojca idzie za tobą, modły jego gorące do nieba się wznoszą— a może Bóg wielki pozwoli niedługo przycisnąć cię znowu do łona i już nie trać nigdy.

Na boku był dopisek:

Dziecię ma dwa miesiące; dołączony pierścienek droga mi pamiątka, będzie znakiem dziecienia gdyby przypadkiem pismo moje zaginać miało.

Więc to jest córka moja, zawołała Aniela z uniesieniem, moja najdroższa Marynia, którą ja od lat tyłu oplakuję!

I porwała w objęcia dziewczynkę, niepojmującą swojego szczęścia.— Boże! wołały obie: jak wielka jest dobroć twoja! jak łaskawie wysłuchałeś modłów naszych!

W tej chwili, rzekł przełożony, Bóg nagradza tylko myśl szlachetną;— chciałaś pani skrócić sieroctwo jakiej biednej dzieciny, On ci w niej córkę znaleźć pozwolił.

Wszyscy przytomni równie zdziwieni tak niespodzianem zdarzeniem, dzielili radość szczęśliwej matki i dobrej Maryni, która żegnając towarzyski swoje, mistrzynię i wszystkich przełożonych, same błogosławieństwa zbierała w upo-

minku, a oddawała im wzajem życzenia szczerze i obietnicę że co dzień przyjdzie do kaplicy Dzieciątka Jezus, w jednej z niemi godzinie dziękować Bogu za łaski doznane i błagać go o pomyślność wszystkich opuszczonych dzieci.

W. T.

MYŚLI O JĘZYKU.

W tej mowie, dziatki ukochane, którą przemawiacie do ojca lub matki, w której, zaczynając od wdzięcznego szczebiotania aż do rozwiniętej, dojrzałej pory młodości, niesiecie im pociechę i uspokojenie wewnętrzne, w tej mowie przez którą wznosicie modły do Stwórcy za zdrowie kochających was istot, za pomyślność bliźnich, czy pomyślałyście kiedy, jak wielki, jak cudny powszechny panuje porządek? czy przeszło wam przez głowę że w jej otchłaniach nurtować może wyobraźnia i rozwaga? że wre-

ście w umysłowej dziedzinie człowieka nie masz nad nią piękniejszej budowy rozleglejszej i głębszej! Upadło tyle narodów, przerabia już sama nawet ta ziemia po której idą nieustannie pokolenia wieki, i w ich łonie wygotowane losy dla ludów. Tym czasem patrzcie, nad ich grobami zakwitła mowa życia, zmartwychwstają w pamięci potomnych, imiona bohaterów, i miłośników ludzkości, imiona wieszczów starożytnych krążą pomiędzy nami, jakby żyjących. Dla czego? bo ich myśli i czyny nie spoczywały gnuśnie w zimnej i samolubej bezczynności, ale ciągle wysnuwały się na jaw przez słowa. Słowo tedy, jak widzicie, jest rękojmią przedłużenia życia nad krótki zakres ziemski. Za pomocą niego duch nasz, niewidomy, tajemniczy, obraca się ku stronie zmysłowej, ku drugim ludziom. Należy więc ten skarb niebieski cenić wysoko, dzielić się nim łaskawie z otaczającymi nas, ale broń Boże marnotrawić go, rozrzucić daremnie. A cóż dopiero powiedzieć o tych, co świętego daru słowa używają na złe, i tym sposobem poniewierając pierwotny i właściwy cel, mają go za narzędzie do poróżnienia ludzi, do szarpania dobrej sławy i imienia bliźnich! cóż powiedzieć o tych, co plamią usta swoje kłamstwem, obłudą i pochlebstwy wszelkimi. Słowo, powtarzam, należy szanować, obchodzić się z nim, nie jako skne-

ra który siedzi na skarbach martwie i nieruchomości, nie jako rozrzutny, który jednej chwili trwoni owoc trudów i rządności rodziców, lecz jako pan możny a dobroczynny, przynoszący pomoc i ulgę niedostatkom bliźnich 1).

Słowo jest także węgielnym kamieniem składu towarzyskiego. Uczciwy człowiek kiedy wymawia słowo, ma to na pamięci, iż ono jest niczem inném, jedno skazówką, godłem czynu samego. Ztąd powstaje świetny przymiot w pozycyi. Słowność. Kto mówi, a nie myśli o urzeczywistnieniu wyrazów swoich, jest wiarołomcą w obliczu natury i w obliczu społeczeństwa.

Wiadomo z resztą, co znaczyło u starożytnych wyrzeczenie; „co usta wyrzekły, to prawem być ma“ jest zasada XII tablic. Czytaliście zapewne i o Peryklesie, iż zabierając się na obradę publiczną, prosił Bogów, aby mieli jego usta na wodzy. Czuł bowiem, iż jeden wyraz może wiele zgubnych następstw sprowadzić.

1) Byli na świecie mężowie tacy, byli filozofowie, po których nie został właściwie żaden spadek piśmienny, a jednak ich wyrazy rozeszły się po śmierci współczesnym i potomnym, wywracając dawne przesady, budując nowe piękne wyobrażenia. Nic nie napisał Sokrates o jednak, rozmowy jego z młodzieżą utworzyły pokolenie! są ludzie którzy nie działają, ale gdy mówią, ich słowa nabierają mocy czynu, wydają skutków miljony.

Kiedy więc tyle ma wagi słowo, godną zastanowienia jest rzeczą, wiadomość o jego początku. A przede wszystkiém zapytać się należy, czy jego pochodzenie jest historyczne, lub nie? to jest: czy można powiedzieć że język zaczął się o to wtenczas, lub później. Wiele rozprawiano w tym przedmiocie, niewątpię nawet, że i wam, młodzi czytelnicy nawinęło się nieraz zagadnienie, co to jest język, ztąd pochodzi, dla czego się zmienia nieustannie? od najdawniejszych czasów już to trudne zagadnienie uwijało się pomiędzy mędrkami, badającymi przyczyny o rzeczy. Jedni z nich sądzili iż cudny dar malowania myśli swoich przez głosy, zesłany został na rodzaj ludzki bezpośrednio z niebios. Indjanie nazywają pismo swoje „boskiem.“ Inni znowu mienia go rzeczą ludzką, ułożoną i udoskonaloną stopniowo. Ztąd możnaby odwieść sposób wyprowadzenia początku języka do dwóch przeciwnych sobie zasad, z tych jedna uważa go za wródzony, druga za przyrodzony t. j. nabyty. Pierwsza zasada odmawia człowiekowi całkowicie udziału w tworzeniu wyrazów, druga, odwrotnie, wszystkie utwory przypisuje człowiekowi. Zasada uważająca język za rzecz nabytą, może się także nazwać zasadą umowy. Podług niéj ludzie niby to rzekli sobie: „nanośmy drzewa, kamieni a zlepwszy je razem, nazwijmy to *domem*.“ albo:

oznaczymy granice przestrzeni, pokrytą drzewem rozlicznym, i to będzie się u nas nazywać lasem.„ A to wszystko mieli czynić dla tego iżby się *umówić*, co pod tym lub owym głosem rozumieć będą.

Tak jeden jak i drugi sposób zapatrywania się polegać musi na pewnych zasadach, skoro miał i ma dotąd swoich obrońców. Albowiem poniekąd można przyznać, że, kiedy pewne pojedyncze brzmienie wzbudza we wszystkich albo w wielu ludziach podobne wrażenie, kiedy np. pod wodą wszyscy rozumiemy jeden i tenże sam żywiół, więc jest to znak umówiony, na który zgadza się cały naród. Z drugiej strony, ponieważ wszystkie władze umysłu są darem najwyższym nieba, przeto i język, jako objawienie tych władz, także słusznie odniesionym być może do ogólnego źródła wszystkich spraw i myśli ludzkich— do Boga. Jednakowo tenże sam Sprawca wszechmocny zostawił człowiekowi obszerne pole do rozwijania samodzielności, zostawił mu wołę, aby chciał, rozum, aby umiał, i siły, aby mógł zechcieć, obmyślić i wykonywać. Nie darmo to powiedziano: „stworzyłem cię człowiecze bez ciebie, ale bez ciebie zbawić cię nie mogę.“ Bóg dał człowiekowi zdolności do wszystkiego, dał mu też władzę myślenia a zarazem i mówienia, to jest pokazania innym ludziom

tego co myśli. Więc nie dosyć na tém że mamy ten szczytny dar, tę zdolność, tę władzę. Udzielić nam jój, było rzeczą Najwyższego, ale wykonanie jój, urzeczywistnienie, do nas należy, i bez nas stać się nie może; do odziedziczonych, w chwili przyjścia na świat, praw, potrzeba koniecznie aby się przyłożył własny nasz udział. Przecież każdy z nas obdarzony jest rozumem, niechże go niedoskonali, niech pozwoli mu zasypiać beczynnem w nieczułości i odrętwieniu.... Tak samo rzecz się ma z innymi stronami ducha, tak samo z językiem. Więc wrodzonym jest człowiekowi zamiar, albo *cel* mówienia. Pytanie, cóż pozostaje do czynienia? oto użycie wszelkich *środków* do dopięcia zamierzonego przez Bóstwo celu. Środkami w tym zakresie działań są narzędzia mowne: usta, gardło, piersi i t. p. A za-tém bliższym i właściwie naszym udziałem w tej sprawie będzie: pojednanie środków z zamiarem. Rodzi się w umyśle jakie wyobrażenie, w sercu zapala się jakie uczucie, zaraz rodzi się i popęd do odmalowania go, i chwytamy się jednego z rozmaitych, danych nam środków. Rozkazujemy piersiom, wydają tchnienie; rozkazujemy ustom, roztwierają się lub ściskają, łagodzą lub wzmacniają tchnienie; przywołujemy na pomoc inne narzędzia, stawiają się, podnoszą lub zniżają tony, nadając im miljonową postać i urok

nie przewidziany, a zatem chcąc badać początek języka, przedewszystkiem, jak już powiedziałem, należy rozważyć i zadać sobie zapytanie: „czy jego początek jest historyczny.“ Dla tych którzy sposób objawiania myśli mienią skutkiem ugodę powszechnę, mowa rzeczywiście ma początek historyczny, oni bowiem polegają na tém że nauczyli się jęj od ojców, ich ojcowie od dziadów. Ale nieprzyjdą im na myśl dwie okoliczności:

1. Gdzie też był ten język przedtém, nim zaczęli go używać ojcowie i dziady? i robią tak właśnie, jak gdyby kto, widząc z daleka lecący kamień, jego punkt wyjścia kładł tam dopiero gdzie oko dosięga, a niepomyślał o ręce, która rzuciła w przestrzeń.

2. Nie zapytają się, dla czego to ten materiał mniemanęj umowy tak ciągle się zmienia, a zmienia podług praw rozważnych i zmieniać się będzie w kolejach przewidzianych? i znowu w tym razie robią jak ten, któryby chciał obrzędy np. uważać li tylko za rzecz umówioną, a nie widział kryjącej się pod niemi wielkiej myśli religijnej.

Tak tedy mowa ludzka jest koniecznym wypadkiem składu człowieka i jest potrzebą społeczeństwa. Stałaby się ona wtenczas tylko zbyteczną, gdyby duchy mogły się nawzajem i bezpośrednio przyjmować. Pięknie i prawdziwie poetycznie odzywa się jeden z wieszczów naszych,

kiedy żaląc się na konieczność tego pośrednika między duchami, mówi. Czemu chcąc podzielać uczucia, nie mogą prosto duszy w duszę prze-
lać. Sposób tworzenia i udoskonalania mowy jest wprawdzie w naszej mocy i naszemu zo-
stawiony jest wyborowi. Ale pytam się czyliż my możemy utworzyć coś albo zmienić wbrew ustawom naszego ducha? czyli możemy nadać wyrazowi postać i zaokrąglenie przeciwne prawom języka? czy możemy nadać wyrazowi własność przeciwną tymże prawom? Ale, rzekniecie, toż właśnie tém prawem jest zwyczaj, umowa! więc pytam was znowu, niechże kto narzuci społeczeństwu jaką formę, lub zasadę.... Albo dla czego, gdy jedne nowości przyjmują się i urabiają do społeczeństwa, drugie choćby gwałtem przyczepiane, odpadają jak od ściany? a, bo widać że nie nadają się do przecucia swego (instynktowego) usposobienia téj, lub owéj społeczności.

F. Jeziński.

(Dalsey ciąg nastąpi).

PORÓWNANIE
SŁOŃCA Z CZŁOWIEKIEM.

-306-

Widziałam raz jak słońce stopniowo wznosiło się na widnokręgu. W godzinę południa najwyższym zajaśniało blaskiem, który powoli był coraz słabszym, aż wreszcie znikło za górą. Wtenczas pomyślałam sobie: jakże słońce podobnym jest do człowieka, różowe jego promienie które się powiększają z każdą chwilą, a których blask nie razi nikogo, są podobne do szczęśliwych chwil dziecięcia, rosa poranna do łez wylanych za jednym kwiatkiem, motylkiem lub ptaszkiem. Lecz gdy coraz żywszym goreje blaskiem, można je porównać do tych lat, gdzie już nie dziecię lecz w całym kwiecie wieku młodzieniec się ukazuje. Jak zar południa, tak w jego duszy wrą ogniste namiętności, przytłumione do piero później-

szym rozsądkiem. Ale niedługo starość ostudza w nim te uczucia; ścieżka jego życia staje się coraz ciemniejszą i wkrótce niknie w grobie. Lecz ta śmierć jest tylko pozorna, zacznie on żyć na nowo, jak słońce które zaszło tylko dla tego aby na drugi dzień z większym ukazać się blaskiem..... I przeznaczenie nasze równie do siebie jest podobnym. Człowieka i słońce stworzył Bóg na to, aby byli drugim użyteczni, jak to pierwsze wszystkim równo przyświeca, tak my w każdym z ludzi, złym i dobrym, brata widzieć powinniśmy. Każdego równo kochać, o ile możliwości dobrze czynić, i zawsze mieć w pamięci te słowa Fenelona: „kto żyje tylko dla siebie, nie wart ażeby żył.“

R. R.

O ŻUBRZE.

Dziki wół mieszkający niegdyś w różnych krajach Europy, znany od dawnych Germanów pod imieniem *Wysent*, od Rzymian i Greków *Biso-*

nem zwany, u nas *Żubrem* czyli *Turem*, nastę-
pstwem różnych okoliczności opuszczał zwolna
dawniejsze siedliska, przenosząc się do Polski,
w szesnastym wieku tak już rzadko ukazywał się
w innych krajach, że cudzoziemcy zwiedzający
Polskę jako o osobliwości wspominają o Żubrach
chowanych w zwierzyńcach królewskich.— Dziś
zwierzę to przebywa jedynie w białowieskiej
puszczy, i pomimo czynionych doświadczeń, nie
daje się zwabić do sąsiednich lasów;— dotąd nie
można było dojść dla czego żubry tak polubiły
to schronienie, niektórzy utrzymują że dla obfi-
tości ulubionych im roślin, inni że dla spokoj-
ności jakiej tam używają, lubo tę nie zbyt da-
wno im zapewniono, bo dopiero w roku 1802,
uważając na zmniejszającą się liczbę żubrów, rząd
wydał zakaz zabijania ich, a za pielęgnowanie i
chronienie ich od niebezpieczeństw wyznaczył
nagrodę.

Pomimo téj opieki nie wielka jest liczba żu-
brów żyjących teraz w białowieskiej puszczy,
przed kilkoma laty liczono ich do 750.

Żubr z postaci ma podobieństwo do zwyczaj-
nego wołu, lecz znacznie jest większy, i oka-
zalszy, prócz tego odznacza go grzbiet garbato
wzniesiony, kędzierzawa grzywa i podobnaż bro-
da. Sierć jest krótka i miękka jak wełna ja-
gnięca, kędziory grzywy i brody wydają zapach

piżma, niemniej skóra choć wyprawna, i mięso, które przyrządzone należycie mogłoby być przyjemnym i posilnym pokarmem. Mięso Żubra wędzone, królowie polscy rozsyłali w podarunku jako osobliwość postronnym monarchom. — Wzrok nadzwyczaj ma bystry, w gniewie świetne oko jego czerwoną przybiera barwę; — rogi czarne obłączone z tylniej części czaszki wyrastające dawnym Germanom i Litwinom za naczynia do picia służyły.

Żubr żywi się liśćmi, pączkami drzew, i rozmaitemi ziołami, szczególnież zaś lubi korę jesionową, która zdaje się że mu sił i życia dodaje, w starości bowiem, gdy zęby żubra stępieją tak, że wcale z dziąseł nie wystają, a tém samym do obdzierania kory służyć nie mogą, żubr chudnie, słabieje i powszechnie z zupełnego wyćnięcia kończy życie.

Zwierzę to rośnie do sześciu lub siedmiu lat, żyje zaś około pięćdziesięciu. — Siłę ma nadzwyczajną; dziki, odważny, nie obawia się zwierząt drapieżnych, i dzielnie się rysiom, wilkom; i niedźwiedziom broni; — do dzieci swoich wielce jest przywiązany; — widziano nieraz żubry broniące młodych przeciw gromadom wilków; — wtedy pomiędzy siebie biorąc cielęta stawali sami w czworokąt, zewsząd odpierając napastników, a gdy im podolać nie mogli, co-

fali się pomału, wstrzymując żarłocznych nieprzyjaciół, dopóki ukryte za nimi żubręta nie schroniły się w bezpieczne miejsce.

Żubr schwytyany w bardzo młodym wieku, łatwo przywyka do ludzi podających mu pożywienie, lecz wrodzonej dzikości nigdy się zupełnie nie pozbywa, bo na zbliżenie się obcej osoby, lub na widok czerwonej szaty, wpada w największe uniesienie, i gotów się zajadle rzucić na idącego w nią człowieka.

W lesie nie ucieka od ludzi, lecz schwytać się, a nawet zaczepić nie pozwoli, czego też zwykle człowiek unika, gdyż jedno uderzenie rogiem lub rąbicą o śmierć przypisać może.— Żubry żyją gromadnie, jeżeli zaś przypadkiem gromada w rozsypkę pójdzie, zwołują się głosem podobnym do chrząkania chlewniej trzody;— pomimo to, często biją się pomiędzy sobą, a nieraz nawet zabijają się rogami w takich potyczkach.

Żubry nie mają wstrętu do wody, lecz zbliżają się do niej tylko w celu ugaszenia pragnienia, kąpiącego się żubra nie widziano nigdy.— W lecie sierć żubrów rzadzieje, wtedy więc najwięcej cierpi od owadów, i chcąc się od nich uchronić ociera się o drzewa, z których płynące soki twardniejąc z czasem pokrywają go żywiczną skorupą.

Zdaje się że zwierzę to nie wyjdzie nigdy ze

stanu dzikości, bo wszelkie usiłowania ugłaskania go i użycia siły jego na pożytek człowieka nie udały się dotąd.— W średnich wiekach polowanie na żubry stanowiło główną rozrywkę znakomitych mężów; dziś wytępione ich pokolenie wypoczywa po długim prześladowaniu, jakim będzie późniejsze ich przeznaczenie niewiadomo, lecz nieużytecznymi zapewne nie pozostaną, bo Stwórca, który najmniejszej istoty bez celu nie rzucił na ziemię, zakreślił bez wątpienia zawód użyteczności i temu zwierzęciu taką siłą i tak długiem życiem obdarzonemu.

P. K.

WRAŻENIE

pierwszej przechadzki wiosenniej.

KOCHANA FRANIU!

Wyjeżdżając z Warszawy, myślałam się nudzić na wsi, jej przyjemności znalazłam tylko z książek, a zdawało mi się że autorowie nasi więcej na-

dają uroku przyjemności życia wiejskiego, niż go ma w istocie; dziś w oczach moich stokroć piękniejszą się wieś wydaje; co straciła na wyszukanych i łudzących obrazach, zyskała na wdzięku naturalności, którego żadna sztuka zastąpić nie potrafi.

Przekonaj się o tém z opisu pierwszej wiosennej przechadzki w Kawęczynie, ręczę ci że prawdziwy. W przeszły czwartek namówił nas wuj na mały spacer do lasu. Najprzód wstąpiliśmy do gajowego gdzie był zamówiony podwieczorek, wybornie nam smakował, a śmietana; o! wierz mi że ani w Królikarni ani w żadnym warszawskim ogrodzie nie dostanie podobnej. Gdy wuj z leśniczym oglądał stan lasu, ja z ciotką i Natalcią, robiłam małe wycieczki. Córka gajowego, Kasia, towarzyszyła nam także. Ona to pokazywała nam najpiękniejsze miejsca okryte kwiatkami. Narwawszy ich dowoli, chciałam oddać mój bukiet Kasi, lecz nie było jój przy nas, tylko zdała spostrzegłam, jak klęcząc przy krzyżu składała u stóp jego drobne pierwiosnki. I ona także przejęta była wdzięcznością ku Bogu, dziękowała za Jego dary, za kwiatki wiosny, któremi przystroił ziemię, za dni sprzyjające urodzajom. Jój dzięki doszły zapewne do tronu Najwyższego, gdyż to był szczerzy popęd niewinnego serca. Tkliwa jój pobożność wzbudziła

we mnie podobneż uczucia, dziękowałam Bogu, nie tyle za kwiaty i przyjemności wiosny, ile za to że raczył to serce niewinne natchnąć wyższém pojęciem, przez które biedne dziecię umie cenić i uwielbiać wielkie Jego dzieła. Temi zajęta myślami, wróciłam do domu i długo będę pamiętać wrażenie pierwszej przechadzki wiosennój.

K. R.

WSTĄŻKI.

Czyście też pomyślały młode czytelniczki, zaplatając wstążkę we włosy, lub przypinając do sukni kokardkę, że ta wstążeczka ważnym i bardzo ważnym jest przedmiotem w handlu i rękodzielnictwie?— Pozwólcie poprowadzić się do Saint-Etienne, miasta we Francji w którym najliczniejsze fabryki wstążek istnieją.

Saint-Etienne, dziś jedno z większych miast, przed niedawnym jeszcze czasem, nędzną i nieporządną mieściną było, fabryki wstążek wzniosły

je w tak zadziwiający sposób, tam gdzie przed laty ledwie kilka tysięcy było ludności, dziś samych robotników jest 27,000.

Za panowania we Francji Ludwika XIV, wyrabiano piękne i bogate wstążki złotem i srebrem przerabiane, używając do tego krosien z wysokim brzegiem, na które po jednej tylko sztuce zakładać było można.— Ubogi jakiś mechanik z Zurych, którego nawet imię zaginęło, udoskonalił te krośna w taki sposób, że teraz kilkanaście sztuk rozmaitych wstążek tkać na nich od razu można.— Długo robotnicy nie chcieli przyjąć tego ulepszenia, zdawało im się bowiem, że przy większej ilości wyrabianych wstążek, zmniejszy się ich cena, a tém samém i zarobek.— Na koniec dali się przekonać, że nigdy udoskonalenie szkody przynieść nie może.

Wejźmy do fabryki dzisiejszej: — jest to ogromna sala, oświetlona z obu stron mnóstwem okien w równych przedziałach wybitych;— w każdym oknie stoi ciężka machina pokryta żelazem i jedwabiem, to krośna.— W chwili spoczynku ujrzymy spuszczoną się od półapu przejrzystą siatkę mieniającą się w tęczone kolory, jest to *postaw* wstążki, i nie jednej, lecz dziesięciu lub dwunastu.— Cieniuchna jedwabna niteczka *wątkiem* zwana, przebiega i krzyżuje się z *postawem* na przodzie krosien, każde ich poruszenie wy-

daje odgłos podobny młotowi spadającemu na kowadło, a słysząc taktowe uderzenia dwudziestu takich krosien, prędkiejby mniemać można że tu idzie o wykucie hartownej zbroi, niżeli że się tylko jedwabna krzyżuje przedza.

Za dotknięciem świadomego robotnika, poruszają się krośna, obracają koła, *postaw* wysuwa się w miarę potrzeby, *wątek* przebiega i powraca, a wszystko tak równo, porządnie, że trudno uwierzyć by tém wszystkiém żelazna kierowała maszyna;— tymczasem patrzącemu stają w pamięci cudowne o wrózkach powieści, bo wśród tych mechanicznych ruchów, na krośnach powstają świetne wzory, wyrasta zielona wysmukła gałązka, wypuszcza listki, pączki, rozwijają się kwiaty, obiadają je motyle;— tu tysiące rażących cieni łączą się z sobą, spływają w jedno, tworząc lekkie przejrzyste i świetne obłoczki.— Z każdym poruszeniem krosien przybywa wstążki na jedną tylko nitkę, a przecież w przeciągu dnia jednego, jedne krośna więcej jój wyrobią niż się jój na dwóch lub trzech balach zniszczyć może.— Skoro się zerwie niteczka zaledwie dojrzana, krośna zatrzymują się same, a robotnik który inaczej nie dojrzałby nawet tego wypadku, ostrzeżony naprawia szkodę, i pracuje dalej.

Nie wszystkie wstążki wyrabiają w fabrykach Saint-Etienne, po wsiach między górami istnieje

jeszcze do 18000 dawnych krosien z wysokim brzegiem, na których po jednej tylko sztuce na raz tkąć można; wstążki te są tańsze i nie tak piękne jak miejskie.

Robotnicy dzielą się na rozmaite klasy, bo wstążeczka nim ją w sklepie kupimy, przez wiele rąk przechodzi, a każdą jej przemianą inne się trudnią ręce;— i tak:— nie licząc pracy w dostarczeniu surowego jedwabiu podjętej, wprzód nim się do fabryki dostanie, bywa moczonym, wyżymanym, farbowanym, trzepanym, zwijanym;— wtedy idzie na krośna, i w ręku tkacza przeistacza się na wstążkę.— Lecz nie tu koniec wydoskonalenia jego, wstążka musi jeszcze przejść przez ręce kobiet które ją wycinają, karbują, morują, składają,— każda taka czynność do oddzielnéj klasy należy, a każda klasa mniejsze lub większe przyznaje sobie znaczenie.— Z mężczyznu najgłówniejszym robotnikiem jest tkacz, najwyższe zaś w całej rękodzielni miejsce zajmuje *Rysownik* to jest ten który wzory do wstążek układa, jego bowiem pomysły nadają pracy wszystkich nową barwę, od niego zależy zmiana w smaku, on kieruje modą, tą dziwną panią, która do najmniejszych drobnostek panowanie swoje rozciąga, on nakoniec jeden nazywa się *artystą* kiedy wszyscy inni prostemi tylko są wyrobnikami,

Wyrachowano że dziennie wyrabia się 350,000,

łokci wstążek, fabrykańci corocznie liczą do kilku milionów czystego zysku, a kilkadziesiąt tysięcy ludzi żyje spokojnie i dostatnio z wyrobu błahych wstążeczek.

P. K.

DO CZYTELNIKÓW ZORZY.

Minęła śliczna wiosna, ciepłe lato spłynęło, a chłodna dżdżysta jesień, zwiastunka rychłej zimy, już krańców swej mety dobiega. Zciemniały majowe błonia, próżnoby wśród nich oko szukało barwistych kwiatków, nad nimi motylków wzorzystych; kwiatki poblakły, zmartwiały motylki — drzewka w żalobną przybrały się szatę. Wszystko się zmieniło — słońce krócej u nas gości — a różnotonni śpiewacy, już w dalekich krajach znane nam piosenki nócą.

Dzieciom smutno, ciemno i glucho. Zamknięto je jak w klateczce, ni pobiegać gdzie swobodnie, ni weselić czém oka! Kto pracował ciężko, gorliwie, ten znajdzie z radością w zimie chwilkę swobodnego wytchnienia; mrówka spokojnie używa zapasów, pszczołka słodkiego miod-

ku kosztuje, woły użyteczne w opatrzonej oborce dłużej teraz przebywają. I człowiek co w pocie czoła pracował dla drugich, wieśniak poczciwy, z weselem wita porę łatwiejszego wypoczynienia po trudach, wzmocnienia sił nadwątlonych. Ale dzieci nie utrudziły się zbyt pracą przez lato. One tylko płąsały swobodnie po łąkach, igrały pod cieniem drzew rozłożystych, cieszyły się wiosną, używały lata. Tyle miłych spacerów, tyle przejażdżek niespodzianych, tyle dni wolnych od nauki! Dla dzieci lato było wytchnieniem, wzmocniło siły, utrwaliło zdrowie.

Tak, młodzi przyjaciele, czytelnicy moi! z mrówkami, z pszczółką, w odwrotnym jesteście stosunku, a kiedy dla nich zima spoczynkiem, dla was najdogodniejszą chwilą pracy.— Zmniejszyły się powody roztargnień, spokojniej oddać się możecie nauce, robotom ręcznym i wszystkim stosownym dla was zajęciom. W wieczór nie rozpierzchniecie się po łąkach, po ogródkach, ale zbierzecie się wspólnie przy jednym stoliku, lub przy ognisku kominka obsiądziecie, i wtenczas matka ukochana przeczyta wam ustęp z jakiego pięknego dzieła, zastosuje do życia, moralność i pożytek wyczerpnąć z niego nauczy, lub ojciec opowie jaką ważną chwilę życia, z podróży swoich wspomnienia przywiedzie— albo kto starszy jeszcze z grona o dawnych czasach

rozpowiadać zacznie. Wy z wszystkiego pięknego wzór życia tworzyć będziecie, we wszystkim nauki szukać, bo to jest pora zbiorów waszych. Kiedy zaś przyjdzie wieczór taki, że starsi rozłączyć muszą się z wami, i wtenczas znajdziecie jeszcze miłą rozrywkę. Myśleli o tém przyjaciele wasi, nagromadzili dużo już książek które sami czytać możecie. Dawne znacie po większej części — nowych z początkiem przyszłego roku przybędzie, jak zwykle, na kolendę kilka. Jedna wyszła niedawno powinna znajdować się w waszych rękach są to: *Powieści moralne przez Józefę Prusiecką.*

Sliczne są te powieści — zajmujące w nich opisy, nauczające wypadki; a cowieksza, wszystkie czerpane z serca pełnego miłości i bojaźni Boga, wszystkie na cnotach chrześcijańskich oparte, głoszą je, wystawjają tak ponętnie, że serce Ignie ku nim, dusza nad wszystko ukochać rada.

Autorka tych powieści znana z pięknych poezji z których niejedna i o wasze obita się uszko, słodkiego rozczenia wycisnęła łezkę, autorka ta mówię, mimo wyższego talentu, do was się zwróciła, dziatki, dla was napisała powieści. O! wdzięcznym sercem przyjąć winnyście tę pracę! — jak godnie wypłacić się za nią ugruntowaniem w duszy tej moralności którą ona głosi.

W. T.

WSPOMNIENIA

Kobiet wslawionych w Polsce

II.

RYXA.



Znana świata wspaniałość z jaką Bolesław I przyjmował w Gnieźnie Cesarza Ottona III;— ujęty nią Otton, a bardziej jeszcze może widokiem siły i potęgi Bolesława, po zawarciu z nim przymierza, zapragnął życzliwe stosunki mocniejszym spoić węzłem, i córkę siostry swojej Matyldy i Azona hrabi Ehrenfriedzkiego przeznaczył na przyszłą małżonkę dwunastoletniemu Mieczysławowi, synowi polskiego króla.— Z ochotą przystał na ten związek Chrobry, i małeńką Ryxę, której śmierć wczesnie matkę wydarła przywieziono w r. 1001 do Polski, by pod okiem przyszłej matki uczyła się mowy i obyczajów narodu którego kiedyś królową być miała.

Jaki przykład młodziuchna Ryxa odebrała od Kunildy przyszłej świekry swojej a trzeciej już

żony Bolesława nie wspominają dzieje, ale nie musiała ona z natury otrzymać szlachetnego i wdzięcznego serca w podziale, kiedy przez tyle lat żyjąc w Polsce, na dworze króla wielbionego od narodu, nie polubiła tych którzy na nią jako na rękojmię szczęścia swego poglądali, kiedy ubarwiwszy się zewnętrznie pobożności i pokory oznakami, zachowała w głębi serca chciwość, obłudę i lekceważenie powszechnego dobra.

Jednakże wady Ryxy nie wcześniej wyszły na jaw, w r. 1013 uroczyscie poślubiona Mieczysławowi, owdągnęła zupełnie umysł i wolę męża, wychowana z nim razem, przebiegła, nieugięta w zamiarach, nie lekką pewnie dłoń kierowała łodzią domowego poźycia, lecz charakter jój i skłonności, objawiały się tylko w szczupłym domowym zakresie, dopóki przeważna dłoń Bolesława piastowała berło kraju i najwyższą domową władzę.

Po śmierci króla bohatera, mnóstwo szlachty, panów i rycerstwa, zjechało się do Poznania, by uczcić jego zwłoki, lecz że podług ostatniej woli Bolesława pogrzeb jego miał się odbyć bez szczególnej okazałości, Mieczysław postanowił wynagrodzić tę mimowolną skromność przepychem koronacji.— Jakoż— skoro tylko Hipolit arcybiskup gnieźnieński przy właściwych obrzędach włożył koronę na młode głowy króla i królowej,

rozpoczęły się świetne uczty, gry, gonitwy i tańce.— Mieczysław pomny wspaniałości ojca, rozkazał częstować spóśpółstwo i srebrne pieniądze między nie rozrzucac, a Ryxa upojona blaskiem i hołdami, okazała się dobrą i uprzejmą.— Początek nowego panowania odznaczył się zatem powszechném zadowoleniem, lecz w krótcie przekonał się kraj cały, że losy jego już nie Bolesławowa dzierży prawica;— królowa bystrym obdarzona rozumem, zręczna, czynna, przymiotów swoich używała jedynie ku powiększeniu skarbów królewskich, i wywyższeniu współziomków swoich, którzy tłumami z sąsiednich przybywając krajów pod jój się opiekę garnęli.

Przez dziewięć lat panował Mieczysław gnuśny, a raczej Ryxa imieniem jego pokrywała swą władzę,— próżno król bolejąc nad swoją nieudolnością, pragnął synowi swemu staranniejsze niż sam odebrał dać wychowanie, próżno chciał go znanym z prawości i odwagi powierzyć mężom, Ryxa górująca wolą nad mężem, oparła się temu, a Kazimierz nietylko dziecinne lecz i młodzieńcze lata przepędził w ukryciu, mało znany od przyszłych poddanych swoich i sam ich nie znający.— Młody królewicz zamknięty w obrębie domowego życia, ukochał nauki i oddał im się wyłącznie, a korzystając z tego Ryxa, przy

końcu życia Mieczysława sama opanowała zupełną władzę nad krajem.

Jak rządziła, wiadomo z dziejów; jednakże kiedy w r. 1034 syn Bolesława chrobrego spoczął w ojców grobie, Ryxa wdowa po zgasłym, matka przyszłego króla, pozostała rządczynią kraju, dopóki by ośmnastoletni Kazimierz nie zdołał dźwignąć ciężaru królewskiej władzy, która przecież nie trudziła bynajmniej niewieściej ręki.

Tu było pole dla Ryxy do zatarcia pamięci lat upłynionych, serce kobiety powinno było odcenić szlachetne zaufanie jakie w niém pokładano, ale nie przyszła jeszcze dla niej chwila poprawy, a ostatek dobrych skłonności przytłumiła w niej pycha i nienasycona chciwość.— Smutna ta wada wzrastająca z wiekiem, zatarła w Ryxie wszelkie uczucia; głos powinności, miłość macierzyńska nawet, umilkła przed dźwiękiem złota;— w niezaspokojonej niczém żądzy zbiorów, usuwała syna od spraw publicznych, a na każde przedstawienie o zbytne nadużycie, obojętność jej dla kraju którym rządziła w nienawiść się zmieniała.— Cóż za okropne dla kobiety życie! ta którą Bóg ku szczęściu tylu tysięcy przeznaczył, ukochała zimny kruszec, głos przypominający jej obowiązki, niechęć i bojaźń w niej budzi, a bojaźń o to jedynie, by jej kiedyś tak miłych nie wydarto skarbów.

Nakoniec dręczona niepokojem, lubo z żalem zakłada kres swym zbiorom, ładuje niemi skrzynie, zabiera ze skarbcu klejnoty, i tajemnie, bez żalu, porzuca ziemię gdzie jój młodość spłynęła, gdzie była żoną, matką, królową, gdzie ile serc było tyle wdzięcznych dzieci zjednać sobie mogła, a zkąd przecież ani jedno za nią nie poszło westchnienie.

Ryxa wyjechawszy z Polski, udała się do cesarza Konrada II, na dworze jego zabawiwszy czas jakiś, dla bezpieczeństwa złożyła w jego ręce dwie korony, z których niedawno jedna zdobyła jój głowę, i kupiwszy na własność hrabstwo Salefeld, osiadła w niém na zawsze.

Teraz dopiero rozpoczęła się jój kara i pokuta.— Pani ogromnych bogactw, w pokrewnym lecz mało znanym zamieszkawszy kraju, uczuła że złoto nie wystarcza jój do szczęścia.— Nasyciwszy chciwość uczuła próżnię w sercu; zimni, chciwi słudzy dokoła, w oddawanych jój usługach swojej tylko korzyści szukali, jedyne serce w którym dla niój wrodzone tłało uczucie, było daleko pod zakonną szatą, bo Ryxa w pierwszych chwilach po wyjeździe z Polski, wyprawiła syna w podróż, a kiedy jój objawił chęć poświęcenia się wyłącznie Bogu, potwierdziła ją chętnie, by tym sposobem zniweczyć nadzieje ludu, który

sobie jeszcze w potomku Bolesława chrobrego króla obiecywał.

Sama wśród świata, odwykła od słodyczy i łagodności, którą kobiecie tak łatwo zjednać życzliwość, w goryczy i cierpieniu liczyła długie godziny.— Ileż tam myśli przez głowę, ile żalu przeszło przez serce, nim znękana boleścią, schyliła czoło przed karzącą ją ręką, nim do stopni ołtarzy po pociechę przyszła!

Religja, jak tkliwa matka, otworzyła ręce na jęj przyjęcie, uspokoiła skołataną duszę, wskazała środki nagrodzenia złego, a odtąd życie królowej Ryxy zaczęło płynąć cicho, spokojnie, wśród jałmużny i modlitwy.

Długi czas upłynął, do cichego Salefeldu dochodził nieraz odgłos świata, Ryxa niejedną odebrała wiadomość od dworów z którymi w tylu dawniej była związkach, z krajów sąsiednich i dalekich; ale najsmutniejsze brzmiały wieści z Polski.— Bezrząd i swawola tak okropnie wówczas grasujące, stawały Ryxie przed oczy, wyrzucając że wszystkie te nieszczęścia swoją ucieczką a raczej uwieszeniem Kazimierza sprowadziła.— Samotność, rozmyślanie, zmięczyły tę pyszną i twardą duszę, czuła ona że lubo czas na modlitwie trawiła, lubo hojną ręką sypała dary do koła, nie było przecież w jęj mocy cofnąć dawniejsze czyny.

Już teraz całą siłą pragnęła szczęścia dawnych poddanych, a syn jój który sam jeden mógł je sprowadzić i utwierdzić, w francuzkim klasztorze ciche modły odprawiał, zrzekając się na zawsze świata i korony.

Pewnego razu, do bram Salefeldzkich, zapukał orszak cudzoziemskich mężów;— wprowadzone ich do komnat, i oznajmiono pani.

Wyszła na ich przyjęcie mniemając że nieznanym jakich posłańców zobaczy, lecz nim próg przekroczyła, uderzył ją dźwięk ich mowy i całą jój wstrząsnął istotą, bo to była mowa w której najczulsze wyrazy przez połowę życia słyszeć przywykła;— zachwiała się wszędźszy do komnaty gdzie czekali, bo to byli znajomi jój polacy wysłani od kraju z prośbą, by im odkryła miejsce pobytu Kazimierza, którego chcieli szukać i na tron ojca przywrócić.

Z boleścią opowiedziała im Ryxa jaka zapora dzieliła jój syna od berła, z zalem słuchała smutnych opowiadań, a wysłańcy gościnnie przyjęci opuścili nazajutrz jój zamek, strapieni wiadomością o swym królewiczu, i zdziwieni zmianą jaka w jego matce zaszła.

Lecz bardziej jeszcze zmieniła się Ryxa od owego poselstwa, już nie o samo przebaczenie dla siebie błagała teraz Najwyższego, myśl którą jój odjeżdżając objawili posłowie, błyszczała przed

jěj duszą, myśl odzyskania Kazimierza; — po ty-
siąc razy trwoga i nadzieja miotała nią na prze-
mian, zaczęł szukający jěj syna przebyli prze-
strzeń dzielącą kraj ich od Francji, i Francję od
Rzymu; — nakoniec wrócił Kazimierz do Polski,
odgłos radości witający go doszedł do Salefeldu,
ucieszył skołataną duszę Ryxy, uspokoił jěj sumie-
nie, i ostatnie dni pogodą otoczył.

Ryxa królowa znikła w długim szeregu wy-
padków, z pamięci współczesnych, dzieje tylko
pamięć połowy jěj życia zachowały, ale Ryxa
hrabina Salefeld szczerym żalem okupiwszy winy,
umarła ceniona i żałowana od nowych podwła-
dnych i sąsiadów swoich, a skarby nieprawnie
zebrane, rozpiezchły się w pobożne i dobroczyn-
ne dary, jak ów deszcz błogi, tém miłszy, im dłu-
żej wśród czarnej chmury zawarty.

P. K.

KILKA SZÓW

O INSTYTUCIE OCIEMNIAŁYCH

W WARSZAWIE.



Jeżeli każde kalectwo ciężką jest niedolą, najprzykrzejszą z nich bezwątpienia uznamy ślepotę; — bo jestże nieszczęśliwszy człowiek nad tego, o którego ucho obijają się rozmowy współbraci, który słyszy wspomnianie tysiąca nieznanych przedmiotów, czuje do koła czynność, ruch, pracę, a sam w tém wszystkiém żadnego nie ma udziału, nikomu pożytecznym być nie może, nawet koniecznych potrzeb życia sam sobie zapewnić nie jest w stanie.— Niewidomy gdzieź znajdzie ulgę, rozrywkę, pociechę? tklivość otaczającej go rodziny może wprawdzie osłodzić w części cierpienie, może skrócić długie chwile ciemności, ale ta sama myśl że nieustannie potrzebuje kogoś, że sam sobie w niczém wy-

starczyć nie może, jakże mu bolesną być musi!— a przytém czyż to każdy dozna tkliwego zajęcia, czy każdy znajdzie litościwe serce któreby nie-szczęśliwemu połowę życia poświęcić chciało?— Nie widzieliśmy dzieci pozbawionych wzroku, które bez dozoru samym sobie zostawione nie-tylko rozmaitym ulegały niebezpieczeństwom, ale je i na innych sprowadzały?— nie widzieliśmy starców opuszczonych od wszystkich, którym zaledwie piesek za przewodnika służył? nie wi-dzieliśmy nakoniec ludzi w całej sile życia i zdrowia wyciągających zebrzącą rękę, i litościwe dary na najgorszy obracających użytek.

Dla niewidomego zamknięty jest świat zewnętrzny, w sobie on tylko może znaleźć otwarte do działania pole, w niebie cel bytności swojej na ziemi, a jeżeli przed oczyma duszy równie jest ciemno jak przed oczyma ciała, jeżeli serce jego rozdrażnione niedolą, nie nawykłe do tkli-wych uczuć, nie umie wznieść się ku Stwórcy, ileż, i jak okropnie cierpieć wtedy będzie!

W każdym stanie wzrok utracić można, ale najwięcej na to kalectwo wystawioną jest klasa uboższa;— zbytne natężenie wzroku przy pracy, którą najczęściej tylko odbłysek świeczki lub ko-pnącej lampy oświeca, zaniedbana słabość oczu, brak środków do jój leczenia, wilgotne mieszka-nia, przyczyniają się znacznie do tego nieszczę-

ścia.— Tkliwy na cierpienia bliźnich, ś. p. xiążę Edward Lubomirski założył instytut oftalmiczny, gdzie cierpiący na oczy, a osobliwie ubodzy otrzymują pomoc lekarską, i najtroskliwszych starań doznają;— lecz sztuka lekarska nie jest wszechwładną. z instytutu oftalmicznego wychodzą niewidomi, którym żadna siła ani wiadomość ludzka utraconego wzroku przywrócić nie zdoła. — Dla takich nieszczęśliwych nie było u nas przez długi czas schronienia, nie było opieki.

Wprawdzie szanowny X Falkowski zwiedzając obce kraje w celu przypatrzenia się instytutom dla głuchoniemych, zwiedzał również zakłady ociemniałym przeznaczone, bo w sercu tego sługi bożego goreje owo prawdziwie chrześcijańskie miłosierdzie, pragnące wszystkie złagodzić cierpienia, każdemu ulżyć nieszczęściu.— W r. 1818 staraniem czcigodnego kapłana, przy instytucie głuchoniemych w gmachu byłych koszar kadeckich] otworzono i dla ociemniałych przytułek, lecz dobroczynny ten zamiar dla zupełnego braku funduszków upadł wkrótce;— wznowiono go w r. 1829, lecz i wtenczas nie potwał długo;— wszelako błoga myśl nie zgasła wśród rozlicznych trudności, w przeszłym roku, przy instytucie głuchoniemych powstał znowu zakład dla ociemniałych; bez stałych fun-

duszków, bez innej prawie podstawy, prócz ufności w Bogu, i chęci złagodzenia losu nieszczęśliwych.— Cudowną zaiste jest prawdziwa miłość bliźniego; w świecie jakże-to trudno oderwać od zbytków cząsteczkę ku wsparciu potrzebujących! tu niedola niedolę wspiera.

Jeszcze się była nie wzniosła budowa przeznaczona na rozszerzenie instytutu głuchoniemych, kiedy już w dawnych zabudowaniach ustąpiono miejsca dla ociemniałych, jeden dozór, jedna opieka rozciąga się nad obudwoma zakładami, nauczyciele jednego, poświęcają drugiemu chwile na wytchnienie dla nich przeznaczone;— niezłomowane miłosierdzie czuwa nad obudwoma.

Dziś w zakładzie ociemniałych ośmiu się ich mieści;— dzieci, młodzieńcy, i jeden staruszek;— dla szczupłości funduszków zakład ten nie mógł się dotąd tyle rozwinąć ileby pragnęli przełożeni jego, a jednak jakież widok uderza wchodzącego tu po raz pierwszy!— Oprócz wszystkich potrzeb życia, ociemniali odbierają tu naukę, moralne, religijne wychowanie.— Najpierwsze i najgłośniejsze miejsce w ich wiadomościach zajmuje nauka religji; — znajomość własnego języka, arytmetyka, dzieje świata, wyobrażenie o ziemi na której mieszkają, o szczegółach stworzenia, których lubo widzieć nie mogą, uczą się poznawać pożytki, kształcą kolejno ich umysł,

ćwiczenia i roboty ręczne doskonałą zmysł czucia, przysposabiając im nietylko rozrywkę, lecz i sposób utrzymania się w przyszłości;— wyrabiają oni słomianki, sieci, siatki, jest zamiar uczenia ich koszykarstwa, który bogdajby mógł przyjść do skutku!

Najmilszą jednakże dla ociemniałych nauką jest muzyka;— natura wynagradzając utratę jednego zmysłu zaostrza w prawdzie inne, ociemniali mają zwykle słuch bystry i delikatny, ale ileż to trudności zwyciężyć potrzeba nim pojmą podział i gatunki nót, nim się nauczą mechanicznie władać muzyczném narzędziem, nim te głosy chciwe wylania się nabędą przyzwoitego urobienia,— jakiejże to niezmordowanej trzeba cierpliwości, by ziarko po ziarku złożyć całość taką, jaką już tworzą śpiewy i gra ociemniałych tutejszego instytutu.— W przeciągu jednego roku trudna nauka muzyki bardzo wysoko dojść nie może, a przecież dla tych co ją duszą nie uchem słuchają, śpiew ociemniałych może być źródłem rzewnej niczém nie zatartéj rozkoszy;— bo jakież wyraz w tych głosach, jakie uczucie! śpiewy ich do Boga zwrócone; z głębi serca unoszą się w niebiosa, pozbawieni zewnętrznych roztargnięć, odrywają się duszą od ziemi na której szczęścia znaleźć nie mogą, i na skrzydłach miodlitwy śpieszą ku niebieskiej krainie, która im

w ciemnościach tego żywota tak świetny cel przedstawia.

Jakiegokolwiek trudności ma muzyka, nie zrażają się nią ociemniali, ukochali ją jako sposób tłumaczenia wyższych uczuć, jak duchową rozrywkę, to też lubo mają dwa fortepiany i skrzypców kilka, instrumenta te nie wystarczają ich chęci, do późnego wieczora grają na przemiany;— widziałam małego chłopczyka, który w chwili wolnej od nauki, w dniu zimnym, z własnej chęci grał na organach w nieograniczonej stojących miejscu, drugi mniejszy jeszcze dostarczał mu powietrza, czyli kalikował, coraz obadwa rozcierali ręczyny, i coraz z większym upodobaniem wracali do miłego sobie zajęcia.

Czuję że te słów kilka niedostateczne o tak pożytecznym zakładzie dają wyobrażenie, ale kto zechce zapoznać się z nim bliżej, zasięgnie na miejscu dokładniejszych wiadomości, moim zaś celem było tylko zwrócenie uwagi na to nowe schronienie poświęcone cierpieniu, które u nas przez czas tak długi nie wywołało czynnego i wytrwałego zajęcia, a któremu przecież najżywszego współczucia odmówić nie można.

P. K.

ŚWIĘTO WRODZANKÓW.

(powiastka).

— 306 —

Pprzed dawnými już laty, w porządnój wiosce żył człowiek zamożny, surowych obyczajów, pobożności wielkiej; — nazywał się Szymonem. Na kilka mil dokoła znanym był i poważanym, — niejeden z najlepszych gospodarzy zajeżdżał do niego po radę w trudniejszych zdarzeniach, nie jeden w pieniądzech lub płodach ziemi czynną pomoc otrzymał, prawnicy nie wstydzili się zasięgać jego zdania w sprawach zawyłych, lekarze z zajęciem słuchali spostrzeżeń jego nad naturą, i nad tysiącem prostych środków jakie ona człowiekowi do utrzymania lub odzyskania zdrowia podaje. — Bóg go obdarzył pocziwą żoną i kilkorgiem dzieci, wychował je wszystkie w cnocie i bojaźni bożej, ale że życie na ziemi bez trosk i boleści nie byłoby dostatecznym do

wieczności przygotowaniem, nie minęły pana Szymona ciężkie strapienia; w przeciągu kilku lat, bez szczególnych wypadków utracił całą rodzinę, ani starania, ani modlitwa nie mogły ani jednej dzieciny od śmierci uchronić;— taka znać była wola Najwyższego!

Poddał się jój pan Szymon z rozdartém sercem, ale bez szemrania;— zagłębił się bardziej jeszcze w pobożności, a nie widząc już dla siebie szczęścia na świecie, czynniej, gorliwiej niż przedtém poświęcił się bliźnim.

Jednakże nieraz i dla niego bywały ciężkie godziny,— ów dom tak niegdyś ożywiony i wesoly stał pustką, nie było komu spędzić chmury z czoła gospodarza, nie było z kim odmówić dłuższej modlitwy, nie było dla kogo pracować, i to go trapiło; bo chociaż człowiek zapragnie poświęcić się ogółowi nie za to poświęcenie nie żądając oprócz własnego zaspokojenia, przecież czuje choć czasami konieczną potrzebę szczególnych z bliźnimi związków, chciałby niekiedy by go pieczyta, tkliwsze spojrzenie zachęciły i utwierdziły w powziętym zamiarze.

Kilka lat takiej samotności minęło;— pewnego ranka pan Szymon wybrał się piechotą do kościoła o milę blisko od jego domu odległego.— Zima to była, śniegi wysoko pokryły ziemię, pan Szymon był na nabożeństwie w pierwsze i

drugie święto Bożego-narodzenia, był i w dzień Ś. Jana Ewanielisty, bo to patron najmłodszego jego syna, konie i ludzie byli przy pracy, a przecież konieczną miał chęć pomodlenia się w domu bożym, bo też to był dzień młodzianków, dzień tak wesoło obchodzony w jego rodzinie przez pobożne i niewinne dzieci, których stratę opłakiwał jak niegdyś betleemskie matki.— Nie mogąc się oprzeć tej chęci, otulił się w futro, i jak mówiłam, poszedł do kościoła.

Uspokoiwszy serce modlitwą, we dwie godziny wracał do domu, nucąc pobożną pieśń dla skrócenia drogi, bo pogoda zmieniła się znacznie, śnieg sypał płachtami, wiatr przeraźliwy świszczął przez otwarte pole, na gościńcu jak oko sięgnęło nie łazarzał człowieka, nawet kruki i wrony ucichły przytuliwszy się wśród naddronych krzaków.

O ćwierć mili od kościoła stała figura, pan Szymon zbliżając się do świętego godła zbawienia, zdjął baranią czapkę i przeżegnał się z uszanowaniem, ale zdziwiła go ogromna ilość śniegu zebrana u podstawy krzyża, a jako znawca rozmaitych oznak przyszłej pogody, chciał zagłębiając laskę przekonać się o stopniu wilgoci i ściśłości tej świetnej powłoki spoczywającej ziemi.— Aleć niespodziewanie uczuł za dotknięciem niezwykły przedmiot jakiś, czémprędzej odgarnia

śnieg w tém miejscu, i z największém przerażeniem i litością, spostrzega dziecinę otuloną grubą płachtą, i już prawie skostniałą.

Pan Szymon rzucił natychmiast zmrożone okrycie, odział małą istotę obszerną delją swoją, i przycisnąwszy ją do piersi przyspieszył kroku by jaknajrychlej stanąć w domu.

Jakoż już w drodze rozgrzane nieco dziecko, w ciepłym mieszkaniu, przy staraniach pana Szymona otworzyło oczy, a posiliwszy się cokolwiek odzyskało wrodzoną żywość.

— Skądżeś ty dziecko moje? zapytał gospodarz.

— Z daleka, panie! z bardzo daleka, bo wyszłam z domu na tydzień przed świętami, i choć po całych dniach idę, tu ledwie stanęłam.

— A gdzież tak idziesz sama?

— Idę do *Czerwieni*, bom słyszała że tam moja ciotka mieszka.

— I puścili cię rodzice w taką porę?

— Nie mam ja ani ojca, ani matki, dawno już poumierali, chowałam się przy babuli, ale i ona zmarła przed adwentem, a jam się sama została.

— Jakże się zowiesz?

— Anusia.

— Było już, moje dziecko, przecierpieć zimę, albo czekać ażby kto jechał w te strony, a toć łaska Boga żeś nie zmarła w drodze.

— Ciężko było czekać panie! w naszej wsi wszyscy biedni, każdy ledwie dla swoich miał kawałek chleba, jakże mnie żywić mieli,— otóż wybrałam się do ciotki, wiedziałam że furą to i dwóch dni drogi do niej nie ma, myślałam że zajdę niedługo.

— I o czémże szłaś taki kawał drogi biedna Anusiu?

— O czém Pan Bóg dał; jednak przez cały ten czas nie byłam głodna, bo cowieczór wstępowałam do chałupki jakiej, i zawsze mi gospodynie dawały chleba z mlekiem, albo kartofli, i ciepłe miejsce na przypiecku.

— A przez dzień cały?

— Szłam póki mogłam, a jak się zmęczyłam siadałam przed chatą i prawie zawsze wpuszczano mię do izby dla ogrzania się.— Ale wczoraj...

— Nikt cię przyjąć nie chciał?

— O nie! przyjęli mię i wczoraj, ale gospodyni bardzo była chora, gospodarz koło dzieci i żony się krzątał, drzewa w domu nie miał, wieczerzy sam nie jadł, więc i o mnie zapomniał.— Przespałam noc o chłodzie i głodzie, a dzisiaj rano poszłam dalej, ale już wiele ująć nie mogłam, a zobaczywszy figurę położyłam się pod nią, bo mi matka mawiała: że kto się do krzyża pańskiego ucieka, tego Bóg nie opuści.

Z niewypowiedzianém wzruszeniem słuchał pan Szymon opowiadania Anusi, wypytywał ją o rodziców, o ciotkę, i dowiedział się że jej ojciec był stolarzem, że ciotka mieszkająca we wsi Czerwieniach niedaleko Białej była wdową po kowalu i nieźle się miała.— Przez kilka dni zatrzymał u siebie dziewczynkę, a tymczasem kazał się dowiadywać o jej ciotkę.— Długo szukano, kowalka bowiem przeniosła się do innéj wsi, później w pobliskim zamieszkała miasteczku, narzeczcie przywieziono panu Szymonowi wieść i dowody, że umarła przed kilkoma miesiącami rozdawszy swój mająteczek na kościoły i ubogich.

Wiadomość ta nie zasmuciła bynajmniej dobrego starca, Anusia lubo siedm lat miała dopiero roztopném była dziewczęciem, bogobojna, wyćwiczona w szkole niedostatku, uległa i pieśzczośliwa ujęła serce pana Szymona, i ożywiła smutne mieszkanie jego.— Od chwili znalezienia dziecięcia powstała w nim chęć objęcia nad niém opieki, zdawało mu się że sam Bóg natchnął go w ów dzień myślą udania się do kościoła, by biedną sierotę jego staraniu powierzyć, lecz wstrzymywała go pamięć na słuszność, na prawa jakie krewni do Aueczki mieli, i bez ich zezwolenia, nie myślał przywłaszcząć sobie miłej dziecińcy.— Przekonawszy się dopiero o zupełném

sieroctwie Anusi, przybrał ją za córkę, i zajął się serdecznie jej wychowaniem.

Przez długi czas żyli razem, a nigdy pan Szymon nie pożałował tego czynu, nigdy spać się nie położył, żeby poprzednio nie podziękował Bogu, za to dziecko tak niespodziewanym, tak cudownym prawie sposobem na jego pociechę zesłane.

Bo téż po długiej samotności, tém-milszém stało mu się towarzystwo istoty, która życie, dostatek, wychowanie winną mu będąc, najczulszą miłością odplacała dobrodziejstwa jego.

Wśród pracy, nauki, modlitwy rok za rokiem cicho i spokojnie spływał, szron starości coraz gęściej obsiadał głowę pana Szymona, na licach Anusi coraz świetniej barwa młodości jaśniała, już z małego dziewczęcia dorosłą stała się dziewczicą, ale piękność twarzy najmniejszą jej była ozdobą.— Skromna, pracowita, dobroczynna, nie szukała chluby w ubiorze, nie wynosiła się wiadomościami nad rówiennice swego wieku, ile razy zdarzyło się jej spotkać z niemi;— domowém gospodarstwem rządziła sama, i nie tylko rozkazem lecz czynnym przykładem przewodniczyła czeladce;— szczególną zaś posiadała umiejętność wspierania niezliczonych cierpień, odgadywania ich nawet;— nieraz kiedy matka spędziwszy kilka bezsennych nocy przy kołysce

chorego dziecięcia, upadała z utrudzenia, Anusia jakby niebieska posłanka zjawiała się niespodzianie by ją zastąpić w czuwaniu,— tam gdzie staruszek drżący z zimna lub osłabienia nie miał dostatecznej wygody, Anusia posyłała posiłek i kwitki na drzewo,— jeżeli gdzie brakowało obuwia, lub odzienia, u Anusi w komorze sztuka płótna, lub samodziału gotową zawsze była na usługi ubogich.— Pod przewodnictwem opiekuna swego nauczyła się poznawać własności ziół tak szcudrze po łąkach i polach rozsianych, corano zatem jak do lekarza zbiegali się do niej mieszkańcy wioski, potrzebujący rady lub lekarstwa. Tak więc pożytecznie zajętej mile dzień za dniem płynął, ja kiedy (wieczorem obok przybranego ojca ukłękła przed obrazem i otoczona domownikami głośną odmawiała modlitwę, anioł stróż zbierał jój czyny i wraz ze słowy niósł przed tron Najwyższego.

Tyle cnót choć w cichości pełnionych nie uszły oka sąsiadów, powoli, nieznacznie wzrastała sława Anusi, i kiedy doszła ośmnastego roku stawiano ją za wzór młodym dziewicom, a mimo ubóstwa i nie wysokiego urodzenia, każda matka z radością za córkę by ją przyjęła.

Jakoż wkrótce po ośmnastych jój urodzinach, pan Michał sąsiad bliski, młody, rządny, pobożny, zajechał przed mieszkanie Anusi, a nie

pozwolewszy wyprządz koni, prosił pana Szymona o rękę wychowanki i otrzymał przyrzeczenie, że jeszcze przed jesienią żoną jego zostanie, — Wprawdzie Anusia nie chciała z początku opuścić opiekuna swojego, lecz kiedy on sam przedstawił jej że niepowinna sprzeciwiać się rządzeniu Boga, kiedy jej przyrzekł że się często widywać będą, a może i wcale nie opuszczą, przestała się opierać.

Powoli, bez zgiełku i wydatków poczyniono przygotowania do ślubu;— Pan Szymon codziennie znalazł co dorzucić do wyprawy Annsi, pan Michał zdołał i odnawiał swój domek na przyjęcie żony, ona tylko nie myślała o sobie, bo pewną była że niedostatku nie dozna, a zbyteków nie pragnęła.

W dzień Ś. Szymona kapłan pobłogosławił młodą parę, a za powrotem z kościoła opiekun Anusi wręczył jej urzędowy zapis całego majątku, zostawiając sobie tylko małą sumkę i dołączając warunek by go przy sobie dochowała do śmierci. — Łatwo pojąć że tego zastrzeżenia nie było potrzeba, bo Anusia nie mogłaby nigdy być zupełnie szczęśliwą bez przybranego ojca swojego.— Złączono zatem obie wioseczki, i postanowiono wspólnie mieszkać przez jeden rok w domu pana Szymona, przez drugi w domu pana Michała.

Z powiększeniem majątku pomnożyły się zatrudnienia Anusi, ale nie brakło jęj siły ani odwagi; stała ona się zupełnie podobną do owej dzielnej niewiasty o której pismo Ś. wspomina, czuwała nad wszystkięm, pracowała bez spoczynku, i na wzór tamtęj nie dozwalała nawet w nocy gasnąć światłu w swęj komnacie.— Za zbliżeniem się świąt Bożego-narodzenia zwiększyła się jeszcze czynność Anusi, mąż i ojciec dziwili się ciągłemu jęj zajęciu, niemogąc zgadnąć nad częmbymy tak pracowała.

W wigilje, przyjętym zwyczajem w domu pana Szymona, rozdała podarunki domownikom, wsparcie i posiłek ubogim włościąnom, w pierwsze i drugie święto była na nabożeństwie, ale w dzień młodzianków dopiero, w ów dzień tak dla nięj drogi i pamiętny, objawić się miały powody niezwykłego jęj zatrudnienia.

Od czasu wstąpienia w dom pana Szymona obchodziła wdzięczna sierota dzień młodzianków szczególną pobożnością, i miłosiernemi uczynki, które zawsze prawie ku dzieciom zwrócone wrazały w miarę znaczenia i zaufania jakiego w domu przybranego ojca nabywała, lecz szafunek ten ograniczała zawsze pamięć, że nie swoją wyłączną rozrzadza własnością.

Teraz pani swęj woli, w własnym mieszkając domu, mogła śmiało zaspokoić żądę dobroczyn-

ności, tak jasno gorejącą w jój sercu.— Po nabożeństwie i śniadaniu, otworzyła Anusia drzwi gościnnego pokoju, a niezwyčajny widok uderzył oczy pana Szymona i Michała.

Na środku stał obszerny stół, zastawiony obficie, pod oknem wielką ustawiono skrzynię, a przy drzwiach ośmnaścioro dzieci czekało na przybycie młodej gospodyni.

Weszła Anusia, przywitała dzieci chreścijańskimi wyrazy, potem otworzywszy skrzynię zaczęła z niej dobywać nowe ubiory, niewytworne ale mocne, ciepłe, i własną jój ręką robione.— Rozdała odzienie dzieciom, pomogła im się ubrać, a zasadziwszy do stołu usługiwała sama pilnując by żadnemu na niczém nie schodziło, w czém jój przybrany ojciec i mąż ochoczém dopomagali sercem.

Kiedy nasycone młodzianki powstały od stołu, Anusia odmówiwszy z niemi dziękczynną modlitwę, opowiedziała wzruszonym głosem, jak w takimże dniu, ona sama szła o głodzie z daleka, jak bezsilna padła pod krzyżem, i jak Bóg litościwy zesłał jój zbawcę w osobie pana Szymona.

— Na pamiątkę więc téj łaski, co rok w dniu młodzianków, przygotowuję ubranie dla tylu dzieci ile lat wieku liczyć sobie będę, a obiad dla wszystkich, które do mego zawitają domu.

Mówiąc to, obróciła się do męża jakby czekając jego potwierdzenia.

Nie ociągał się wzruszony pan Michał:

— A ja, rzekł: co rok jedno z tychże dziełek biorę na opiekę swoją, łożąc na przyzwoite utrzymanie i stosowne wychowanie jego.

Pan Szymon ze łzami słuchał tych postanowień, a błogosławiąc Anusię i jej męża, dziękował Bogu, iż mu pozwolił jedną litości oznaką stać się źródłem szczęścia dla tylu niewinnych istot.

Pan Michał naciął ośmnaście kartek białego papieru, i na jednej krzyż napisawszy, pozwijał je w trąbki, wsypał w koszyczek, i podał dzieciom do wyboru.

Krzyżyk, owo godło zbawienia i szczęścia, dostał się ubogiej sierocie, żyjącej przy niezamożnych krewnych, i to była pierwsza pana Michała wychowanka.

Co rok powtarzało się to święto, a co rok z większą uroczystością.— Bóg błogosławił widocznie Anusię i jej męża, majątek ich wzrastał, rozszerzał się zakres dobroczynności. Później kiedy dzieci własne rozweseliły dom pana Michała, tkliwszym stał się jeszcze obchód święta młodzianków, bo i te drobne rączki do darów rodziców, swoje przydawały ofiary.

Długie lata żyła pani Michałowa, ileż to

dziatek otrzymało wsparcie z jój ręki, ilu z nich wyrosło uczciwych ludzi, gospodarzy, rzemieślników, dobrych żon i matek, a całe to szczęście nikomu nie przyniosło uszerbku, nie pochłonęło niczyjego zdrowia, majątku, spokojności;— powstało z jednéj myśli, z chęci odwdzięczenia boskiej opieki czynami miłosierdzia.

W rodzinie Anusi jeszcze po jój śmierci przechował się w części ustanowiony przez nią zwyczaj, lecz z czasem niķ zwolna i dziś już nawet śladów po nim nie zostało.

Jaka szkoda! jakżeby rada by ta powiastka prawdziwa w szczegółach, zdołała obudzić chęć obchodzenia godnie pięknego święta młodzianków.— Niekażdemu zapewne łatwo będzie takie świadczyć dobrodziejstwa, jakie świadczyła zaena pani Michałowa, lecz niechaj każdy pomyśli: że dzień ten powinniśmy uczcić jakim czynem miłosierdzia ku drobnym skierowanym dziatkom, a podług dawnego przysłowia:

Ziarko do ziarka, zbierze się miarka.

P. K.

KOLENDA.

—206—

Wielka była radość w domu państwa Wiernickich, bo jak się nie cieszyć, za tydzień będzie Boże-narodzenie? Dzieci po skończonych lekcjach mówiły tylko o kolendzie. Co też nam mama da tego roku, powtarzała ciekawa Justysia do swojej siostry Helenki, — pewnie ładne laleczki? — a może i tę kuchnię śliczną ze wszystkimi naczyniami, cośmy widziały przechodząc, w sklepie na Senatorskiej ulicy? a może tego pasterza, co trzyma fujarkę, jakby przygrywał bieluchnym barankom. A może przerwała Helenka, te małą dziewczynkę z chłopczykiem, co sypią ziarnka kurczątkom a kurczątko piszcą za poruszeniem sprężynki i dziobią ziarneczka? A może, a może, — och! bo tam wiele ślicznych rzeczy, i sama nie wiem cobym chciała.

— Wy tylko o sobie myślicie, przerwał markotny Jasio, układając książki w stoliku; jakbyście nie miały braciszka, jakbym i ja nie lubił cacek?

— Przebacz mój Jasieczku odpowiedziała żwawa Helenka, przymilając mu się i gładząc jego rumianą twarzyczkę; ale bo widzisz, twoje zabawki będą inne jak nasze, my nie będziemy mogły się nimi bawić, dla tego nie mówimy o nich.

— O i ja się waszemi lalkami nie będę bawił, odpowiedział dobry chłopczyzna, a jednak chciałbym aby były ładne, aby wam się podobały.

— Ty jesteś lepszy od nas zawołały obie dziewczynki ściskając Jasia. Ale czegoś ty sobie najbardziej życzył dodała Helenka? Może tego staruszka co to wiązkę suchych uzbierał gałązek i pochylił się nad nimi smutny, jakgdyby myślał czy je może udźwignąć, czy nie! Wszak prawda, prawda kończyła dalej, zwracając; błękitne oczki na niego, ty lubisz biednych?

— O! lubię i bardzo lubię, siostrzyczko; ale ja hym wolał ubogiego człowieka, jak ubogą lalkę. Czy wiesz wujaszek wstępował raz ze mną do sklepu, pytał się ile staruszek z wiązką gałęzi kosztuje, powiedział sklepowy że 30 złotych. O! to lepiej innemu biedakowi dopomódz, jak tego biedaka kupić, zawołał śmiejąc się wujaszek;— i prawda, bo za 30 złotych możnaby jakiemu staruszkowi sprawić odzienie, albo go jakiś czas

żywić: więc ja nie chciałbym takich drogich cacek; ale szabelkę, malutkiego konika, albo też... no zgadnij, Helenko co?...

— Tam tak wiele zabawek odpowiedziała po długim namyśle Helenka, że jabym nie zgadła.

— Oto tego słonia malutkiego na kółkach, na którym siedzi taki śliczny murzynek.

— A to dla czego słonia?

— Dla tego że to jest zwierzę bardzo dobre, pracowite, serce ma wdzięczne i przywiązuje się do ludzi.

— Prawda, prawda! rzekła Helenka kładąc paluszek na czole, przypominam sobie jak mama opowiadała o nim, pokazując nam książkę z malowanymi zwierzętami,— jak on zemścił się nad krawcem co go raz igłą ukłuł, i nabrawszy wody w trąbę zalał go całego, gdy siedział przy warsztacie, ale to dodała dziewczynka było nieszlachetnie z jego strony.

— Czy nie wiesz przerwała Justysia, co powiadała panna Anna, że każde stworzenie pamięta złe mu wyrządzone, tylko człowiek nie powinien pamiętać, a jeżeli zapomnieć mu trudno, to powinien za złe dobrém oddawać.

— O! my też tak zawsze będziemy robić zawołali Jasio i Helenka, bo panna Anna dobrze nas naucza, i to mówiąc poszli na lekcję rachunków którą im tatko dawał od 3. do 4. po południu.

— Otóż chwała Bogu mówił Jasio klaszcząc w ręce i wieczera niedługo się zacznie. Mama od dwunastej taka zajęta, ciągle wydaje do kuchni. Małgorzata ryby opracia, Basia mak wierci, rozynki przebiera, migdały kraje: o, co też to będzie przedziwnych rzeczy na wigilję. Najlepszy będzie karp na szaro, kluski z makiem i śliwki gotowane.

— To wszystko nietakie dobre, pszerwała Justysia, jak babki lukrowane, a bardziej jeszcze strucla z migdałami i cykatą:— nieprawda Helenko?

— E, mniejsza! co będzie jeść smacznego, odpowiedziała mniej łakoma Helenka, ale co my też znajdziemy pod obruskiem na sianie; panna Anna powiada, że zawsze każdy to znajdzie co mu się należy.

— Przecież nie będzie lalki, konika, ani szabelki pod talerzem, boby się nie zmieściło, a czego innego to ja nie ciekawy, przerwał Jasio.

— Już wazę Leon zaniósł na stół, zawołała Justysia, pójdźmy, aby mama i tatko nie czekali na nas. I skromnie, zwolna, bez hałasu weszły dzieci do jadalnego pokoju.

Panna Anna mając lat może 50 guwernantka jeszcze pani Wiernickiej, a teraz zarządzająca jej domem, trudniąca się wychowaniem dzieci które kochała jak własna matka; zbliżyła się pierwsza

do stołu, odmówiła głośno modlitwę a za nią wszyscy, i zaczęła się z każdym dzielec opłatkem i sług nie pomijając. Po skończonej ceremonji oddawna przechowywanój pomiędzy chrześcijanami, zasiedli wszyscy do wiochery. Każdą potrawę smacznie zajadano; bo od kawy nikt żadnego nie używał pokarmu, a teraz gwiazdka się już ukazała na niebie i wcale wcześniej nie było,

Po skończonej wiochery wszyscy odmówili dziękczynną modlitwę, a potem każdy zdjął talerz, i uchylił obrusa w miejscu gdzie siedział. P. Anna znalazła książkę od nabożeństwa, Jasio pióro za-temperowane, Justysia desenik na kanwę, Helenka książeczkę z obrazkami, pan Wiernicki pugilares piękny z perełek, a pani Wiernicka nic, bo to ona sama wszystko układała i nic nie przeznaczyła dla siebie.

Potem państwo Wierniccy poszli do dziecinnego pokoju, a dzieci zostały z panną Anną. Justysia z największą niespokojnością oczekiwała chwili kiedy ich zawołają rodzice, przrzucała kartki książeczki znalezionej pod obrusem, ale ją to wcale nie zajmowało, cała myśl jój była zwrócona do cacek, do ślicznych lalek które ją niezawodnie czekają, na każdy szelest nadstawiała uszko, czy mama nie nadchodzi? na każde skrypienie czy się drzwi ich pokoju nie otwierają, na każdy odgłos czy tatko nie woła?— Już mo-

że trzy razy zbliżała się do proga, co się tam dzieje, czy światełko nie błyska przez dziurkę od klucza; ale napróżno. Jasio zniecierpliwiony piisał suchém piórkiem po stole, poglądał na siostry z niespokojnością i chodził około stojącego jeszcze z sianem stołu, zbierając na nim różne proszki, różne nasionka, kiedy tymczasem Helenka, może dziesiąty raz liczyła krzyżyki w róży którą dostała do haftu. Nareszcie głos tyle pożądanym, tyle upragnionym; Dzieci! obit się o ich uszy. Justysia, Jasio i Helenka razem poskoczyli do drzwi, i jednym skokiem jużby byli w swoim pokoju, gdyby nie panna Anna która składając książkę od nabożeństwa nie— powiedziała poważnym tonem, dzieci, wróćcie się na chwilę.

Dzieci przywykły słuchać ją zawsze, wypełniać święcie jój rozkazy, chociaż nie z wielką chęcią, przecież w postawie pokory i posłuszeństwa wręcały do niój. Żadne nie śmiało jój zapytać dla czego kazała wrócić, dosyć że kazała, musiała być tego przyczyna.

Justysiu, Jasiu i Helenko, rzekła łagodnie ale uroczyście p. Anna przyciągając dzieci bliżej siebie: prawda że ten dzień był dla was upragniony, porządany, że wy się nim bardzo cieszyście. Powiedźcie mi otwarcie, szczerze, co jest tego największą przyczyną.

Dzieci nawykłe opowiadać zawsze to co myślały, jednomyślnie zawołały: kolenda!

— To jest zbiór cacek, zabawek, bawidełek moje dzieci, co was tak cieszy. Czyż nic innego w dniu tym nie sprawi dla was radości, nic uciechy nie przyniesie, oprócz podarków które was czekają.

Dzieci spojrzały po sobie, jakby chciały odgadnąć wzajemne myśli, i odpowiedzieć na zapytanie panny Anny, ale jak na przekorę, nic im nie przyszło do głowy.

— Moje drogie dzieci, jeżeli tylko sama kolenda ma przyjemność tych świąt stanowić, to starzy nie mieliby się z czego cieszyć, bo żadnych lalek, żadnych cacek nie dostają, a przecież dzień Bożego-narodzenia, jest dniem radości dla wszystkich;— i jeszcze nie wiecie dla czego?

—Dla tego odpowiedziała zapłoniona długą niewagą Helenka, że Jezus Chrystus w nim się narodził.

— Że przez swoje narodzenie dodał Jasio odkupił nas od grzechu pierworodnego.

—I że w tym dniu, kończyła Helenka przekonał nas o swój miłości, przychodząc na świat jako człowiek.

— Dobrze moje dzieci, widać że pamiętacie czego was uczą. Tak, dzień Bożego-narodzenia, nietylko nas do radości, ale i do wdzięczności po-

budzać powinien. Jaka to wielka łaska tego Boga który stał się człowiekiem, tego króla niebios który stał się ubożuchnym dziecieniem, który się narodził nie w okazałych pałacach, ale w nędznej stajence, nie w miękkich puchach, ale w twardym żłobie, który po narodzeniu tyle doznał niewygód, w swém życiu tyle niedostatku, przy śmierci tyle boleści i cierpienia.

Tak moje miłe dziatki gdybyście wy zamiast myśleć o cackach, przywiodły sobie na pamięć chwilę kiedy się Jezus w Betleem narodził i kiedy zamiast dostojnym panom, możnym królom, anioł ukazał się prostym pastuszkom, otoczony blaskiem, i oznajmił narodzenie Zbawiciela, gdybyście wy przywiodły na pamięć tę chwilę radości całego świata, gdy się ozwały chóry anielskie: „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“

Tak, drogie dzieciatki, przejmijcie się ważnością tego dnia który zwykle przepędzacie na igraszce, uciechach, niezwracając częstokroć myśli ku temu od którego wszystkie chwile przyjemne pochodzą, który jest źródłem wesela i radości. A teraz idźcie, idźcie, lube dziatki, przyjmując dary z rąk kochających rodziców; ja tylko chciałam zwrócić serca wasze ku Bogu, nie mieszając niewinnej radości. Dzieci ucałowały ręce swojej szanownej przyjaciółki i zwolna nie

wyprzedzając jedno drugiego weszły do pokoju gdzie rodzice na nich oczekiwali. Pierwszy przedmiot jaki Jasia uderzył była szabelka spora, ładna szabelka, dalej koń osiodłany i słoń dzwigający małego murzynka. Dziewczynki ujrzały dwie pięknie ubrane lalki niby panie, wsparte na wygodnej kanapce, a niedaleko od nich śliczną kuchenkę gdzie były pozawieszane małeńkie rondelki, tartka, rożen, durszlak, garnuszki i rozmaite drobnutkie naczynia, a przy kominku stojącą kuchareczkę, w niebieskiej spódniczce, w czystym fartuszkę przed pasem i z rękawami zawiniętymi do łokcia. Dzieci nie mogły ukryć swojej uciechy, ale jakże nierównie większa była ich radość kiedy pod zielonym drzewkiem, oświeconém mnóstwem świeczek, zawieszoném orzechami złoconemi, jabłkami, piernikami i ptaszkami ładnemi, ujrzeli także śliczną szopkę, złóbeczek w której małeńki Jezus spoczywał. Świętego Józefa miłutkiego, z siwą bródką starszuszka, Najświętszą Pannę pochyloną nad niebieskiem dzieciątkiem, pastuszków padających na twarz, nareszcie osiołka, zwierzątko nierozumne, które także poznało swego Pana, pokłon oddało swemu Stwórcy! Dzieci rzuciły się na szyje rodzicom; ze łzami dziękowały za tę miłą niespodziankę, a potem padły na kolana przed szopką oddawały cześć temu małutkiemu dzieciątku,

w malutkim położemu żłobie który był jednak Panem wielkim wielkiego świata. Panna Anna w tej chwili weszła do pokoju, a ocierając z oka łzę rozrzewnienia, wyrzekła zcicha słowa ewangelji: „Kto się tedy uniży jako to dziecko, tenci jest największym w królestwie niebieskiem.“

Józefa Prusiecka.

KAZEMIR SOBIESZCZAŃSKI.

Pprzed kilku laty, goszcząc w Lublinie, weszłam raz do kościoła Ś. Ducha, Byłoto w piękny, wiosniany ranek, siódma godzina uderzyć miała, dziadek kościelny do mszy przygotowanie czynił. Promień złotego słońca, przedarłszy się przez wysoko umieszczone okno, rozjaśniał ozdoby ołtarza, a widok jego błogiem uczuciem napelniał duszę, bo któż zaprzeczy przeważnego wpływu pogody na młodociany umysł. Byłam więc tak swobodna, szczęśliwa, że tylko same uwielbienie i dzięki niosłam przed tron Najwyższego.

Msza święta się zaczęła, ozwały się poważne organy, a wkrótce głos dzwięczy i tkliwy zanócił pierwszą zwrotkę pieśni porannej Karpińskiego. Znowu organy z tematu pieśni rzewliwém echem zagrały, i w miłych przejściach w zgodnych akordach złączyły dźwięk swój z pięniem sprawującego ofiarę. I wtenczas tylko kiedy pobożne uniesienie wzrastało z siłą muzyki, głos znowu dopomógł sztuce i znowu w murach świątyni rozległ się odgłos następnej zwrotki. Ależ sama muzyka tak była czysta i rzewna, tak przemawiająca do duszy słodyczą swoich dźwięków, że nosząc piętno prawdziwego genjuszu, wykrywała zarazem duszę tkliwą, która w pobożném uniesieniu zdradzała skryte cierpienie serca i ulgi dla nich szukać pragnęła u źródła prawdziwej pociechy, u tronu Przedwiecznego.

Napróżno siliłam się rozpoznać czyjego układu była ta muzyka tak urocza, zrozumiałam tylko że to są same improwizacje grającego i przejęta współczuciem już nie rozbierałam tonów rzewliwych ale z wywołującym je, łączyłam modły gorące dla wyjednania ulgi cierpiącym, bo muzyka smętna zbudziła w duszy myśl pierwszą: że im szczęśliwsi jesteśmy, tém mocniej winniśmy baczyć na innych niedolę.

Msza się skończyła, przysunęłam się do schodów chóru, chciałam poznać tego co z martwego

instrumentu tak cudne tony wydobyć umie; chciałam w świetnej postawie jego czytać uznanie własnej wartości, w oku uchwycić iskrę genjuszu. Szmer lekki dał się słyszeć, spojrzę ku górze, tam na rękę słabiej niewiasty wspiera się męczyzna średniego wieku i jeszcze niepewny stąpień, drżącą swą ręką naprzód poruszenia robi— a czy jego? czy— na wieki czarną pokryte zasłoną.

Zadrzałam, okropny jest widok takiego kalectwa u istoty, która tak silném obdarzona czuciem, że piętnem jego głos swój i instrumentu dzwinki nacechować zdolna. Obraz niedoli bliźniego przyćmił na chwilę urok swobodnej młodocianej szczęśliwości, smutna wróciłam do domu, a com się później dowiedziała o grającym to wam czytelnicy młodzi opowiem.

Ociemniały zowie się Kazemir Sobieszczański, ojciec jego trudnił się furmanką, mieszkał w Lublinie a przy pracy i zabiegach nieźle mu się powodziło.— Pojął cnotliwą żonę, Bóg im dał kilkoro dzieciak dwie córki i syna Kazemira. Cieszyli się oboje córkami, ależ syn ta prawdziwa chluba rodziny, najwięcej im przynosił pociechy. On miał być dziedzicem nieskażonego imienia, on po ojcu furmankę objąć, on podporą lat sędziwych ojców swoich, on siostr opiekunem. Tak sobie roili szczęśliwi rodzice, a trzechletni Ka-

zemirek słysząc podobną rozmowę, dziecinnemi słowy — uściskiem, pieszczotą, potwierdzał ich wróżby. Lecz któż nie doznał jak krótko-trwałą jest pomyślność ziemską! Kiedy szczęśliwi rodzice układali przyszłość świetną swego jedynaka, ospa panująca w mieście dotknęła go swoim jadem, złożyła ciężko osłabionego i zagroziła życiu.

Troskliwi rodzice nie szczędzili starań, przyzwali lekarza, ten wskazał potrzebne środki, a chcąc wzrok uchronić od szwanku, zapisał maść którą w bardzo małej, wskazanej ilości, używać zalecił. Bolejąca matka, nieznając skutków zjadliwej maści, przez zbytnią troskliwość w dziesięć kroć powiększyła wskazaną ilość, którą ciągle wcierała w zamknięte od początku choroby powieki i cieszyła się zawczasu pomyślnym skutkiem swoich usiłowań. — Po kilku tygodniach cierpień, zaczęło dziecię przychodzić do zdrowia, ospa zchodziła powoli — oczy tylko były jeszcze ciągle zamknięte i jakby cierpiące; jednego rana podnosi Kazemirek powieki, szczęśliwi rodzice przypatrują mu się pilnie, ależ z pod téj powieki nie błyska oko — niestety oczu już nie ma ukochany jedynak! Któż opisze boleść czulój matki, kto żalność ojca zrozumie! Biedni! płakali długo, płakali rzewnie; świetne ich nadzieje, ufne obietnice, wszystko zniszczone, a na pamięć ich marzeń zostaje tylko nieszczęsne dziecię — kaleka.

Kilka lat minęło — narzekania rodziców ucichły.

Kazemir oswoił się ze swoim stanem, przywykł do niego, tylko z głośnego, żywego chłopczyka, zrobił się cichym, potulnym, nabożnym; nikomu pomocnym być nie mógł, nikomu też w drogę nie wchodził— a myślał tylko często, myślał z boleścią co z niego później będzie.

Raz w dzień Zielonych-świętek matka go wzięła do kościoła S. Ducha, odpust tam odprawiał się właśnie; Kazemir nie widział ozdób ołtarza, przystrojeń na dzień ten poczynionych, ale czuł wonie kadzideł— słyszał choralne śpiewy ludu, rozumiał wielkość uroczystości i głos swój drżący, poraz pierwszy, złączył z głosem ogółu.

Zaczęła się ofiara mszy świętej, matka pochyliła się ku jednukowi i rzekła:

„Dzisiaj zesłanie Ducha Świętego, módl więc się synu, módl się do Ducha Świętego, on cię oświeci.“

W prostocie ducha wymówione wyrazy z równą prostotą przyjął Kazemir— klęcząc mszę całą, gorące prośby składał u stóp ołtarza, i Bogu podobało się wysłuchać słów modlącego dziecięcia i promieniem swojego światła oświecił umysł jego, a duszę natchnął niebieskim pokojem, o którym kaznodzieja mówił ze słów ewangelji świętej.

Tegoż dnia jeszcze wieczorem wędrowny dziadek znalazł schronienie pod gościnną strzechą Sobieszczańskich. Dziadek ten był kiedyś organistą w okolicy, przypadkiem wzrok stracił, z wzrokiem poszedł

majątek, a niemając rodziny po proszonym chodzić musiał. Kazemirowi myśl przyszła czyby dziadek ten pomimo ślepoty swojej, nie mógł go uczyć muzyki, do której od mszy dzisiejszej tak wielką miał ochotę. Sprobowano, rodzice wystarali się o małeńki klawikord, dziadka zatrzymano w domu, a mały uczeń w kilka miesięcy przewyższył swego nauczyciela.

Rozczulający to musiał być widok, niewidomy uczył niewidomego, oba niepewni i trwożliwi, uchem kierowali palce. Nót się Kazemir uczyć nie mógł, bo chociaż w innych krajach są wypukłe nóty i głoski dla niewidomych, u nas znane nie były jeszcze, przyzwyczajał się tylko śpiew naśladować tonami klawikordu a potem i sam wynajdować nótę począł. Muzyka stała się jego najmilszym zajęciem, poświęcił się jój zupełnie, wydoskonalił czuciem i wiecznie Bogu składając dzięki że oświecenie Ducha Świętego, przy kościele jego przyjął miejsce organisty i codzień rano o siódmej godzinie w tymże kościele odgrywa mszę nową, bo jak już powiedziałam nie zna zasad muzyki, codzień więc idzie za nowym natchnieniem, i stosownie do usposobień duszy swojej, do okoliczności lub rodzaju nabożeństwa, nowe tworzy dźwięki, zachwyca niemi słuchających i serca ich wznosi do Boga siłą rozrzewnienia.

W. T.

POCIECHA SIEROTY.

—306—

Sanna wyborna, mróz niewielki, wiatr zupełnie się uciszył, użyjem doskonale przejażdżki. Zdaje mi się że już widzę to mnóstwo mijających powozów, ten miły głos dzwoneków tuż przy nas, to znów zdała jakby echo tamtych. Jeżeli jeszcze zajedziem do cioci lub bratowej, gdzie po dobrze wywoskowanej posadzce suniem wieczorem mazura, o! wierz mi Basiu, mówiła Emma do biednej wychowanki siedzącej nad igłą, wierz mi, to mi to uciecha, to mi to prawdziwa zabawa.— Nic nie odpowiedziała Basia, bo i cóż odpowiedzieć miała jedynaczce bogatych rodziców a razem dobrodziejów od kilku lat sieroty, której łyzy nie oschły, bo któż łyzy sieroty policzy?— Każda niewinna zabawa, każde uniesienie radosne, każde uściśnienie macierzyńskie ścisnęło serce, toczyło łyzy kropliste po białych policzkach niegdyś także w pieścizotach, także w dostatkach chowanej a dziś ubogiej sieroty.— I czemuż sądzą z powierzchnowości ludzi? tych przyganiają, tamtych chwają, tu podziwiają dowcip, zręczne ułożenie, tu znów usuwają się od smutnych, zamyślonych, opuszczonych. Serce poznać wprzód trzeba, powody jego radości lub smutku, a zrozumiemy czy mu wesele czy łyzy przystoją.— Cieszyła się Emma; Basia, która dobre miała serduszko, rada była ją widzieć wesołą, i jeżeli łyzy kropelka zaćmiła jej oko, szybko ją otarła; biedna! lękała się małąką nawet

chmurką spędzić chociaż na chwilę uśmiech z jej różanych usteczek. O, jak ona szczęśliwa! cóżby nie dała ze jeden uścisk, jedną, czułą rodzicielską pieśczętę, myślała sobie Basia, bo chociaż dobrych opiekunów Bóg jej zesłał, nikt przecie sercem matki nie kochał biednej dziewczynki.

No, to już jedziemy zawołała Emma; i sobolowa szubka mignęła przed zaćmionem łzą okiem, i cicho było wszędzie, tylko głos woźnicy, echo coraz oddalających się dzwonek smutno obity się w serduszk Basii. Nie dziw więc, że kiedy samą została, rzewne łkania wydobywały się z piersi, lubo dziewczynka rączkami zakrywała usta, by ją nie posłyszano.— Może długo, długo byłaby jeszcze płakała, bo rozczulone serce, szczęśliwe kiedy łzą może ulżyć boleści, gdyby Bóg, ten czuły ojciec dobrych dzieciętek, nie przeniknął promykiem pociechy słabego serduszka dziewczynki.— Nad łóżeczkiem Basii wisi Pan Jezus w złożonych ramkach, Tego to ona nad wszystko kochała; obejmowała dziecięcym umysłem, rozwijającym się za ledwie pojęciem Jego wszechmocność i dobroć dla tych, którzy cicho poddają się woli Jego. Basia rzuciła okiem na obrazek Zbawiciela, a myśl błoga, radosna przeleciała po główce;— kłękła, wyciągnęła rączkę jakby na łonie tego czulego ojca chciała szukać pociechy, i utuliwszy się w żalu „Ojczy mój! ulituj się, ulituj sierocie zawołała.— W korniej postawie zanosila gorące modlitwy przed majestat Boski, a kiedy główkę schyliła ku ziemi, kiedy ucałowała krzyżyk który na czarnej nosiła wstążeczce,— uśmiech niebieskiego aniołka osiadł na jej bladych usteczkach, otarła zwilżoną twarzączkę i znów ochoczo wzięła się do igły.

— ❖ —
Marja Zar...

SPIS RZECZY

WTOMIE CZWARTYM ZAWARTYCH.



Proza.

Stron:

Wit Stoss krakowianin snycerz wieku piętnastego (z ry-	
ciną) p. J. W. - - - - -	1
Pielgrzymka do grobu Ś. Idziego p. W. T. - - - - -	43
Wiszczena p. Henrykę K. - - - - -	76
Tekla z Bielińskich Łubieńska p. Skimborowicza - - - - -	83
Sen Ś. Każemira królewicza polskiego (obrazek z r. 1469)	
p. W. T. - - - - -	92
Kobyłka i w niej kościół Ś. Trójcy p. W. T. - - - - -	131
Ptak-muszka p. W. T. - - - - -	143
Wspomnienia kobiet wslawionych w Polsce II Judyta	
p. P. K. - - - - -	147
O czytaniu autorów polskich p. A. Z. - - - - -	150
Sobol p. P. K. - - - - -	164
Pożar w stepie na wyspie Ś. Trójcy z notatek podró-	
źnika p. P. K. - - - - -	171
Mysli o języku p. F. Jezierskiego - - - - -	197
O Żubrze p. P. K. - - - - -	206
Wstążki p. P. K. - - - - -	212
Wspomnienia kobiet wslawionych w polsce III Ryxa	
p. P. K. - - - - -	219
Kilka słów o instytucie ociemniałych w Warszawie p. P. K.	227
Święto Młodzianków (powiastka) p. P. K. - - - - -	233
Każemir Sobieszczanski p. W. T. - - - - -	255
Dobra Helenka powiastka w rozmowach p. Józefinę O...	4
Ofiara niewiniątka p. Józefa Zochowskiego - - - - -	31

	<i>Stron.</i>
Lipa i topola p. Marję Za....	34
List i posążek obrazek szkolny p. P. K.	58
O zabawie u Ohma na korzyść sierot i ochrony p. Marję Za....	70
Użytek moralny zwierciadła p. Marję Zar..	74
To mi przyszło do myśli p. Zar...	80
Podróż do dziadunia p. Emilję Plużańską	102
Listy karnawałowe List I. Emilja do Celiny p. P. K.	122
List II. Emilja do Celiny	126
Motylek przypowieść p. W. T.	170
Mali Sabaudczykowie p. W. T.	176
Dobroczynność nagrodzona p. W. T.	179
Porównanie słońca z człowiekiem p. K. R.	205
Wrażenie pierwszej przechadzki wiosennej p. K. R.	210
Do czytelników Zorzy p. W. T.	216
Kolenda p. Józefę Pusiecką	246
Pociccha sieroty p. Marję Zar...	261

Wiersze.

Objawienie nagrobka dla małej J. C. p. J. N. Jaśkowskiego	34
Wet-za-wet p. W. T.	40
Do małej dziewczynki (w imienniku) p. W. T.	41
Prośba dziecięcia p. W. T.	82
Porównanie p. Teklę Łubiczańską	90
Zorza p. Ig Dohrskiego	145
Widok z ogródka (obraz z natury) p. W. T.	16g

PORTYKI DRUKU.

W TOMIE CZWARTYM ZAWARTE.

—306—

<i>Stron:</i>	<i>Wiersz</i>	<i>Zamiast</i>	<i>Czytaj</i>
1	17	najwyższego	Najwyższego
3	5	smętarzu	cmentarzu
4	9	Jakubek	Jakóbek
4	9	jedynaście	jedenaście
8	10	siostrze	siostrą
15	10	wez	węz
36	13	samotności	samoistności
54	20	bochatera	bohatera
57	4	jego	swojej
67	2	Heleny	Zofji
97	21	Fryderyk	Alexander
101	8	samego	sennego
135	19	pało-polskiej	Mało-polskiej
189	9	jednego	jednego
198	3	już	się
198	7	zakwitła mowa życia	zakwita nowe życie
199	18	Bogów	bogów
203	21	tylkoza	tylko za
218	26	jak	i
219	3	II	III
225	7	wprowadzone	wprowadzono
229	I	książę	książę

P.I
450